D Nr 155605

Cena

zł 24 gr

CUW — Kd 31 CWD. W-wa. 1864/Wa
Prl - 2. Zam. 3133. 10.XI.55. 2000 x 100

N 26

N. Sudnická

Z MOICH STRON

Druk. i Lit. Jana Cotty, Kapucyńska 7.

10503.
3199388

WILA

Z MOICH STRON

Bolesław Banach

WARSZAWA
JAN FISZER
—
1903

1000174497

300125

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Декабря 1902 года.

UMCS-
LUBLIN
K 553/80/19

PRZYSIĘGA.

I.

Żniwa już się były skończyły. Resztę owsa ludzie zwozili z pola, tylko gdzieniegdzie czerwone pokosy hreczki leżały jeszcze, narażone na ataki, spieszącego na jarzynne ściernisko, bydła. Dnie były coraz krótsze, wieczory chłodniejsze. Po natężonej pracy przy zbiorach ludzie uczuwali potrzebę wypoczynku, pogawędki wieczornej, może trocha hulanki dla kontrastu po gorączkowym sprzęcie.

Każdy gospodarz, wróciwszy z pola wieczorem, chętnie robił projekta na zimę, jadł pomału, pomału palił fajkę, przeciągał się leniwie, łaskawiej odzywał się do żony, brał na ręce dzieci, słowem rozkoszował się domowem ogniskiem.

Ci zaś, którzy jeszcze nie byli żonaci, przypominali sobie, że oto wkrótce nadej-

dzie najlepsza pora do żeniaczki, kiedy stodoły pełne, wieprzki kartoflami wypasione, robota pilna nie czeka, a pogoda i na dworze pozwala weselnym potańcować.

Hryćko widać także pod jesień czuł ten rodzaj *woli Bożej*, bo na polu u roboty często spoglądał na czarnobrewą Jarynę, a w chacie zamyślał się, albo obrachowywał matce plony letniej pracy.

To też zaraz poweselał, kiedy matka jednego wieczoru sama zagadnęła go w tej ważnej sprawie.

— Słuchaj-no, synku, ot prędko jarmark w Hruszowce, trzeba by jednego wieprzka zawieść i sprzedać. Niech by gotowy grosz był, jak, Bóg da, będzie trzeba ludzi potraktować. Na ugoszczenie dosyć będzie jednego wieprzka zakłuć, sera, chwała Bogu, dzieżeczkę nasoliłam za lata i masła garnuszek, chleba Pan Bóg narodził — to i wszystko jest, jak się należy, tylko czekać swojej pory, co sądzone. To jakże będzie?

— Pewnie, że pojedziemy na jarmark, jak Bóg da doczekać! Tymczasem do-

brze dawajcie jeść wieprzkowi, to będą lepsze pieniądze. Ja to już wam chciał i sam gadać, niby *za* Jarynę, ale ot, myślę, jeszcze pora, póki się obsiejemy, wszystko jedno teraz nikt nie zaswata.

— *Za* jaką Jarynę? co ty gadasz? albo ja to na myśli miała?—krzyknęła stara.

— Ale już jak swatać się, to ja *taki* chcę do niej posyłać. *Darmà*, że biedna, ale do roboty jak ogień.

Zapomniał rozmarzony jesienią Hryćko, że mogły być inne przeszkody, niż wybór narzeczonej. Matka prędko go otrzeźwiła.

— Czy ty *zduriw?* A ktożby myślał ciebie żenić na tę jesień. Co to ty u mnie nie gospodarz, nie wiesz, że pierwej dziewczęta trzeba pooddawać między ludzi. Czy to u nich, sierot, ojciec jest, że ty o nich nie potrzebujesz *żuryty sia*, tylko oddzielisz się, taj swoją gospodynię będziesz brał. A! ja nieszczęśliwa! ot jaki on gospodarz! Sieroty biedne chciał krzywdzić, cudzą mołodycę nad nimi starszą obrać! A niedoczekanie twoje.

Stara rozłościła się na dobre. Hryć, widząc swoje plany zagrożone, chciał się

jeszcze buntować. Dziewczętom, co im sądzone, nie ucieknie, a jemu kto tymczasem Jarynę zaswata, bo dziewczynie *lata wyszły*.

Ale matka ani słyszeć chciała.

— Ach, ty, wyrodku! To ciebie sam Pan Bóg starszym nad sierotami postanowił, kiedy im ojca zabrał, a ty tak o nich się starasz? Cóż to one tobie na twoim gruncie do siwego włosa robić będą? To Jarynie wiesz, że lata wyszły, a naszej Pryśce nie? A oneż rówieśnice, na *desiatuchę* osiemnasty im poszedł. To one cie bie, jak kogo ludzkiego szanują, za opiekuna, za gospodarza uważają, a to takie opiekuństwo?

W tem do izby weszły siostry. Skończyły wieczorne zajęcia, dały jeść wieprzkom, prosiakom, przygnały z wygonu gęsi, wydoiły krowy i przyszły na wieczerzę, ale przedewszystkiem spojrzały, czy Hryćko już jadł, bo przez uszanowanie, należne gospodarzowi chaty, jadały osobno z matką, po nim. Widząc, że matka nalewa dopiero w miskę krupnik dla Hrycia, usiadły cicho na zydlu pod piecem, szep-

cąc coś między sobą i trącając się łokciami, jakby dla zachęty, która ma się odezwać pierwsza.

Hryćkowi zaś ostatnie słowa matki poruszyły miłość własną.

Prawda, on jest gospodarzem, starszym nad siostrami i nie można powiedzieć, tylko one go szanują jak należy; on im wyznacza robotę; żadna kury bez jego pozwolenia nie sprzeda; jemu najlepsze miejsce za stołem; jemu z wierzchu najtłuściejszy barszcz z garnka i najhojniej omaszczona kasza; jemu we wszystkiem pierwszeństwo; co prawda, to prawda. I myśląc tak, a patrząc na pokorne zachowanie się sióstr, rósł we własnych oczach.

Ja nad nimi jak pan, jak ojciec, jak gospodarz, jak zechcę, tak i będzie, a one muszą słuchać; jak zechcę, to oddam, jak nie, to nie. Jak zechce *ich* zaswatać, choćby jaki *bohatyr*, to musi mnie się pokłonić, bo ja opiekun.

I zadowolenie miłości własnej usposobiło go do wspaniałomyślności i poświęcenia.

No, Jaryna, jeszcze rok poczeka, niema co, myślał sobie. Teraz oddam Pryśkę, a może, jak dobry rok popanuje, to w zapusty i na drugie wesele się zmożemy, a już na tamtą jesień sobie będę gospodynię brał. Tak ono i będzie. Niechaj wiedzą, że ja im opiekun, gospodarz i przed ludźmi wstydzić się nie będę.

Tymczasem dziewczęta porozumiały się szeptem i łokciami i młodsza, Małaszka, rezolutniejsza, odezwała się z pod pieca.

— Podobno jutro do dworu, do roboty, dużo dziewcząt trzeba i nas będą rano wołać. Czy można nam pójść, Hryciu? Niech by i my na kaftany sobie zarobiły.

W Hryciu wspaniałomyślność przelewała się przez brzegi. Głos siostry był w miarę nieśmiały. uległy, oczy niespokojnie szukały na jego twarzy wyroku, a krupnik był pełen skwarek, zamiast zwykłego razowego chleba przed miską leżała świeża pszenna palanica, wyłącznie dla gospodarza przeznaczona. To też Hryć, przeżuwając wolno i głośno palanicę z krupnikiem, łaskawie się odezwał:

— Możecie pójść sobie zarobić. Tymczasem u nas babskiej roboty nie ma, ja jutro będę młócił żyto na nasienie. Ty, Pryśko, pośpieszaj zarobić na kaftan, bo jak pójdziesz na swoje gospodarstwo, to już zarobić nie puszczą. A ot, tylko patrzeć, jak *dewoszluby* zaczną po chatach chodzić, a choć u nas na płocie koło nie leży, ale oni dobrze wiedzą, że tu jest kogo wywozić.

Dziewczęta chychotały, a Hryć zadowolony z własnego konceptu i z własnej wielkoduszności, syt krupniku ze skwarkami i ducha ofiary — wstał zza stołu, żegnając się z rozmachem przed obrazami, a ocierając usta garścią, poszedł spać do stodoły.

Matka wylała pozostały krupnik z garnka, schowała resztę palanicy dla Hrycia na śniadanie, a ukroiwszy córkom i sobie razowego chleba, zasiadła z niemi przy wspólnej misie.

Pryśka przybrała minę poważnej i zamyślonej dziewczyny, której nie spieszno wyjść za mąż, a Małaszka z matką gwarzyły długo jeszcze na temat mających

się zarobić kaftanów, mającego się sprzedać wieprza i przyszłych swatów i przyszłego wesela.

II.

Honor nie pozwalał Hryciowi się cofać, zresztą wiedział, że matka nie ustąpi, a cała powaga jego opiekuństwa opierała się na tradycyjnem, dobrowolnem poddaniu się kobiet domowych, niechby jednak matka nie chciała uznać tej powagi, skończyłoby się na wojnie domowej i oparło się o sąd gminny. Ale wielkoduszność powoli topniała, a zwłaszcza na widok czarnobrewej Jaryny. A nuż ją kto tymczasem zaswata?

A tu i roboty wspólne w polu skończyły się i zdaleka tylko mógł spoglądać na czarnobrewą. Radby był z nią pomówić, aby na niego czekała, a spotkać się bez świadków nie było gdzie.

Ale los czasem pomaga zakochanym, zwłaszcza jeśli oboje pomagają losowi.

Zdarzyło się, że gęsi Jaryny zapóźniły się do domu, zasmakowawszy w dworskiej hreczce, a właścicielka szukała ich sama po polu, cienkim głosem nawołując: husiu, husiu, husiuuu! A głos Jaryny znały nie tylko jej gąski, ale i *praworny* Hryćko, który też za głosem, jak za przewodnikiem, odnalazł dziewczynę i pomógł odszukać zgubę, a przy sposobności chciał ubić swoją sprawę.

— Zła z ciebie gospodyni, Jaryno, kiedy gęsi domu się nie trzymają. Proś mnie, żeby nie mówić parobkom, bo nie będą do ciebie *się przysyłać.*

— Ouwa! mała bieda! Albo ja chcę, żeby do mnie *się przysyłali. Jest* starsze odemnie dziewczęta we wsi.—I niby nie zważając na towarzysza, nawoływała na gęsi zbaczające z drożyny:

— A hyla, do domu, a hyla!

Ale wioska była już blizko, ktoś mógł nadejść drogą, nie pora było się przekomarzać dłużej; przez wieś nie mógł Hryć okazywać swej galanteryi zaganianiem gęsi, boby skompromitował swoją męzką,

gospodarską godność. Prędko też przystąpił do głównego celu.

— A jakby ja do ciebie przysłał, to co? ha?

— A bo ja wiem.

— A chtoż ma wiedzieć?

— Wiadomo, bat'ko — cicho odpowiedziała Jaryna. Ale po chwili dodała w tonie refleksyi: „A u ciebież siostry, trzeba *ich* pierwej pooddawać".

— Otoż to. Po obsiewkach oddam Pryśkę, a do roku może i Małaszkę. Żeby ty poczekała do tamtej jesieni?..

— A bo mnie co? Ja za mąż nie kwapię się, ojoj! Ale jak tatko przysiłują?

— Aby ty sama nie przepiła wódki, to i nic nie zrobią. Nie będziesz przepijała? poczekasz na mnie?

— Czy ja wiem? póki tatko *twerezwy*, to ja jego się nie boję, ale jak sztof wypije, to już do niego i przystępu niema. Śmierć zrobi, taj hodi.

— To nie chcesz czekać?

— Nie to że nie chcę, tylko nie wiem. Jak ja tobie sądzona, to tatko nie przysi-

lują, a jak nie — to już nie poradzę. Wola Boska.

— No, aby tylko ty sama chciała, a tam już będzie, jak Bóg da.

I rozstali się bez uścisków, bez przyrzeczeń. Hryć wesół, bo widział, że Jaryna postara się zaczekać, a że matki nie miała, a ojciec pijak zastawił swój grunt i biedował jak nędzarz, więc Hryć liczył, że niebardzo kto będzie śpieszył brać dziewczynę bez posagu.

Jaryna szła ku chacie smutna, bo przewidywała, że ojciec nie będzie ją pytał o zgodę, jak zechce postanowić o jej losie.

Grunt Tymka, ojca Jaryny, był jednak jeszcze smacznym kąskiem, tylko że o tem nie wszyscy na wsi wiedzieli, a tylko ci, którzy w kancelaryi gminnej mieli stosunki. Stary Tymko był w gminie winien kilkadziesiąt rubli, pożyczonych różnemi czasy i przepitych. Procentów nigdy nie płacił, woły i konie sprzedał na wódkę, a pole oddawał jednemu z gospodarzy na *snop*, t. j. za pewną część urodzaju, który też przeważnie, nie omłóciwszy nawet, przepijał. Żona mu dawno umarła, kwę-

kając parę lat przed śmiercią, bo jej ciągłem biciem *chrypy odbił,* jak mówili sąsiedzi.

Jaryna żywiła siebie i ojca tem, co ogród warzywny urodził, odziewała w swego wyrobu płótna; czasem trocha grosza na *chustki i kaftany* zarobiła we dworze, a i tę odzież musiała trzymać u sąsiadki w komorze, boby ją ojciec przepił.

Miano powszechnie Tymka za nędzarza, bo on sam nigdyby się nie zdobył na zapłacenie długu w gminie, ale grunt przenosił wartością dziesięciokroć długi, a Jaryna była jedynaczką.

Umiał też to dobrze obliczyć Maksym, który był starostą i w kancelaryi był jak u siebie, a na grunt był bardzo łakomy, bo miał czterech braci, którzy dorosłszy zechcą się podzielić.

Kiedy wszyscy na wsi byli zajęci sprzętem, a potem siewem, jeden tylko stary Tymko był stale pijany.

— No, już Tymko przepija niemłócone zboże — mówili chłopi.

— Gdzie tam! tamto przepił jeszcze zielonem. Teraz jemu Maksym, starosta,

co drugi dzień funduje. Widać chce, żeby od Karpa odebrał pole, a jemu na snop oddał. Mądry szelma, wie, że Karpo tak jak *durniczki* pole arenduje, bo za jakie wiadro wódki zawsze odkupi Tymkową część snopa.

Ale Maksym mędrszy był, niż myśleli sąsiedzi. Fundował wódkę staremu i robił z nim umowę, że mu odda Jarynę, *przepisawszy w gminie* na nią swój grunt formalnie, za co Maksym spłaci jego długi i poniesie koszta wesela.

Tymko uważał, że córce trafia się wyjątkowy los. Maksym, zamożny syn gospodarski, starosta, słowem dygnitarz.

— Cóż on, *czynownyk!* przy mendalu chodzi.

Dawniej tenże Maksym niejednokrotnie strachu mu napędzał, że kancelarya każe natychmiast dług ściągać i Tymko musiał czasem jaką kopę zboża poświęcać na załagodzenie *procentu;* teraz już żadnych długów mieć nie będzie, a za to zięciastarostą i tak hojnego, który coraz to sztof wódki przynosi gościńca.

Tymko był stale przez kilka tygodni z rzędu pijany i upojony. Jaryny nawet nie bijał, jakby już była żoną dygnitarza.

III.

Nadszedł wreszcie czas wesel.

Pryśka chodziła jak niema i martwa, bo już była zmówiona i musiała spłacić dług konwenansom wiejskim, opłakując zmianę losu, o ile na nią patrzono. W gruncie nie była zrozpaczona. Wprawdzie pierwszy raz w życiu widziała swego przyszłego przy zmówinach, bo był *zagraniczny*, czyli pochodził z innej wsi, odległej o pięć wiorst, przytem był brzydki i bardzo małego wzrostu, a wzrost, to bodaj w oczach dziewcząt rusinek, główna ozdoba mężczyzny, ale za to wiedziała Pryśka, że Sawka ma pół całego gruntu, że niema braci, ani matki, tego postrachu *newistek*, że ma parę koni, cztery woły — słowem całą gębą gospodarz. Że zaś, jak słusznie lud wierzy, każdy mąż jednakowy, więc nikt nie zważa na cechy, ani wewnętrzne,

ani zewnętrzne tej przyszłej połowy stadła; ale na uposażenie. Płakać zawsze w życiu trzeba, główna rzecz, aby było czem łzy otrzeć.

Sawka także, wysyłając swatów, nie dawał im wyraźnego rozkazu do zdobycia Pryśki — może nie wiedział jak ona wygląda. Powinni byli zaswatać mu dziewczynę zdrową, pracowitą, posiadającą krowę, skrzynię z odzieżą i dobrą reputacyą. A tego wszystkiego i przez ludzi można się dowiedzieć.

Tacy jak Hryćko, którzy sami sobie upatrują dziewczynę, trafiają się bardzo rzadko i nie cieszą się uznaniem. Żonę trzeba wziąć, to wiadomo, tak Pan Bóg naznaczył, ale żeby przebierać, czy ma mieć kosy czarne, a brwi jak sznureczki lub nie, to już nie po gospodarsku, nie po mężku. Aby baba w chacie była a zdrowa i gospodarna.

W przeddzień wesela Pryśka ustrojona w wianek z różnokolorowych kwiatów, farbowanych na zielono piórek i błyszczących szychowych ozdób, z plecami okrytemi rozpuszczonemi włosami i mnóstwem

różnobarwnych wstążek poszła z drużką równie pięknie przybraną, tylko uczesaną w warkocze, prosić znajomych i sąsiadów o błogosławieństwo. Chodziła od chaty do chaty, kłaniając się każdemu z domowych trzy razy do ziemi, nawet małym dzieciom; nie minęła nikogo z przechodzących drogą, ale i na ulicy biła mu trzy sakramentalne pokłony, aby zyskać trzy bratnie pocałunki i trzy „niech Bóg błogosławi," tak uczciła też zataczającego się po libacyi Tymka, który jej wybąkał: „niech Bóg błogosławi," z dodatkiem: i my będziem prosić na wesele.

Urzędowy smutek nie przeszkodził Pryśce być ciekawą, zaraz też podążyła do chaty pokłonić się Jarynie.

Rzewny obrządek pokłonienia się o błogosławieństwo tu dopiero wywołał pierwsze rozrzewnienie. Wszyscy dotąd stali poważnie, kiedy im się Pryśka *kłaniała w nogi*, wszyscy mówili serdecznie „niech Bóg błogosławi;" jestto jedyny podarek ślubny, który każdy daje dziewczynie na Rusi, widać tradycya wie, że dużo chwil ciężkich gotuje jej życie, kiedy każe tak

obficie zaopatrywać się w błogosławieństwa.

Jaryna całując kłaniającą się Pryśkę, uderzyła w płacz głośny. Tak niepoważne zachowanie się błogosławiącej do reszty zaostrzyło ciekawość.

— Co to Jaryno, bat'ko wybił?—pytały obie przybyłe.

Pokręciła głową, ale płakała jeszcze rzewniej.

— No, to czegoż? szkoda może jaka zrobiła się? Innego nieszczęścia godnegą tak gorzkich łez nie umiały sobie wyobrazić.

— Zaswatali — wyjąkała Jaryna i zasłoniła oczy.

— A do kogo? z naszej wsi, czy nie?

— Maksym starosta.

Dziewczęta zostały olśnione. Zaswatanie trocha usprawiedliwiło było w ich oczach płacz Jaryny w tak nieodpowiedniej chwili, ale takie swaty inaczej należało opłakiwać, konwencyonalnie.

Zazdrościły jej tak dobrej partyi, nawet panna młoda i wyszedłszy złośliwie zaczęły motywować pobudki płaczu.

— Płacze, bo robić trzeba będzie u *świekruchy*.

— I pewno, teraz była samą gospodynią...

— Oj, jaka tam gospodynia „sim horodyw, jedna dynia," cóż u niej za gospodarstwo; koło grządek tylko, *taj* koło jednego ojca, Kiedy chciała, mogła na zarobek iść, na polu swojem nie robiwszy.

— To prawda, toż ona w *niedwabiu* mogłaby chodzić, jakby zawsze szła na zarobek, tyle czasu mając.

— Zawsze była *niesamowita!* Czasem robi na ludzkiem, jakby się paliło, że i nadążyć za nią niemożna, a czasem pójdzie w pole z gęśmi jak mała i będzie leżała w trawie cały dzień — albo siedzi gdzie i płacze jak nawiedzona, a pytać czy ojciec nabił, to się nie przyznaje.

— Eh, ona widać nie spełna rozumu. Toż i teraz wyje, jakby ją rżnęli, a takiż Maksym nie jej nosem, mógłby choćby i *jaką* dziewczynę zaswatać.

— Nie będzie jemu z niej korzyści. Gdzietam. Ona i zdrowia niema dobrego.

Jak czego nastraszy się, to zrobi się biała jak glina, albo i nieżywa upadnie.

— Musi jej bat'ko także co przybił w głowie, jak była mała.

— Ej, taka już udała się. Jakby przybił, toby była durnowata — a to nie.

— Oj, będzież ją *świekrucha* ganiać, będzie, zaśmiała się nakoniec Pryśka z zadowoleniem osoby, której żadna *świekrucha* nie grozi.

IV.

Nic nie pomógł płacz Jaryny, prośby Hrycia, który wieczorem pobiegł do Tymka, ani wódka przyniesiona w ofierze srogiemu ojcu.

Hryć obiecywał zapłacić Maksyma t, j. zwrócić koszt wódki, wydanej przy zmówinach — ale nie mógłby zapłacić długów gruntowych, a co więcej zawiedzionych nadziei na wszystkie korzyści z posiadania zięcia-starosty.

Nic nie pomogło. Wesele Jaryny odbyło się z całym właściwym ceremoniałem

Była muzyka i taniec, było jedzenie tłuste, obficie zakrapiane wódką, były śmiechy i przyśpiewki swatów i swaszek, były i łzy panny młodej — ale to bywa na każdem weselu.

Hryć pochodził markotny, na wesele nie poszedł — ale, ani nie przysięgał wiecznej miłości cudzej żonie, ani strasznej zemsty jej mężowi. „Ot, nie sądzono było i koniec," myślał zapewne, a to wielce pociesza podobno.

Jaryna na weselu płakała, potem ucichła. Robiła, co jej kazali, słuchała świekruchy, tylko do męża się nie garnęła.

Kiedy się do niej zbliżał, truchlała więcej, niż dawniej przed pięścią pijanego ojca. Taka już widać była *niesamowita*.

Żeby tak nie grzech, to niechby już albo jemu, albo mnie śmierć zrobić, a niechby swoim *duchem* na mnie nie dychał, myślała ponuro. *Duchu* jego ja cierpieć nie mogę! Oj, biednaż moja hołowońka!

Robiła z całych sił naznaczoną robotę, ale chodziła chmurna, i w ciągłej trwodze przed zbliżeniem Maksyma.

Nic prawie nie jadała, wychudła i zbrzy-

dła i codzień bardziej nie znosiła *duchu* mężowskiego.

Maksym nie bardzo zważał na wstręty żony. Ziemię spłacił, od wiosny mógłby się nawet przenieść do chaty Tymka, a tymczasem doprowadzał do porządku budynki; nie tracąc schedy po ojcu, doszedł łatwo do posiadania ładnego kawałka gruntu z chatą i ogrodem. Cóż mu tam mogło znaczyć, czy jego baba go lubi? aby słuchała!

A jej ani przez myśl nie przeszło nie słuchać. Cóż, na to mąż, jego rzecz kazać — żony, spełniać.

Po roku jednak zauważył zmianę w Jarynie.

— Mamo, coś moja mołodyca słabuje, taka żółta zrobiła się, ha?

— A cóż, pewnie że słaba, bo nic nie je; ale kiedy nie narzeka, to może jej nic nie będzie.

— A może jej kto jakie *danie* dał? Ją Hryćko chciał brać, a jak nie dali, to może jakich czarów nasypał.

— Taki młody, gdzież on może na czarach się rozumieć?

— No, to jego matka. Ono to coś jest. Jakby wy starych ludzi popytali, poradzili się, mamo?

— Czemu? można! Stara Pałażka umie różne zamawiania odczarować, tylko trza jej gościńca.

— Nacie, kupcie pół sztofa i z komory coś zanieście — bo ludzie powiedzą, że u nas mołodyca jeść niema czego, kiedy taka sucha i żółta zrobiła się.

V.

Nazajutrz raniutko przed wschodem słońca, jako porze najbardziej sprzyjającej walce z tajemnemi potęgami, Pałażka ukazała się w chacie Maksyma, zaopatrzona w niezbędne środki lekarskie.

— Kiedyż mnie nic nie boli... broniła się Jaryna przed przymusową konsultacyą.

— Wiadomo, nie boli, takie nie będzie bolało, tylko ot tak *nyje, nyje* koło serca, aż ze wszystkiem człowieka wysmokcze.

— Tobie to *zrobione*, taj hodi!

— A może doprawdy zrobione — myśli Jaryna — przecie inne idą za paskudniej-

szych jak Maksym i nic, i dobrze żyją z sobą i zdrowe i wesołe... może doprawdy zrobione.

— Tobie, znaczy się, nic nie boli — tylko tak dobra niema, taj siły niema? he? dopytywała znachorka. Aha! potwierdzała Jaryna, dziwiąc się, skąd ona wie.

— Jeść tobie choć i chce się, to nie można, bo wszystko hydkie tak jak żaba, nie przy nas mówiąc, wydaje się? ha?

— Aha — powtarza pacyentka.

— Tyby czasem sama swoje serce rozdarła, jak *stanie* ciebie *nyć* we środku — a czasem do niczego ochoty niema, co?

— Aha, szepcze Jaryna i drży przed tą jasnowidzącą znachorką.

— *Zrobiono!* wyrokuje pytya. Tylko niewiadomo, czy z oczów tak stało, czy zadano w czem we środek.

— To jakże będzie? pyta niespokojna świekra.

— Trzeba na dwa sposoby zamawiać. Jak z oczów, to jest inny sposób, a jak nie, to inny. Na wszystko, moi kochani, swój sposób jest, a jakże; tylko do jednego

słońca nie można dwa sposoby robić, bo tyle pomaga póki słońce wstaje, to jak nie *pomoże się* dzisiaj, trzeba próbować jutro.

Świekrze błyskawicą przemknęła myśl, że taką rzeczą jutro znów trzeba przygotować pół sztofa i podarek, szkoda jej było wydatku, ale jakże narazić się osobie znającej tyle sposobów. Jeśli umie pomagać, to pewnie umie i szkodzić, a czyż nie mściłaby się za uchybienie?

Tymczasem Pałażka przystąpiła do kuracyi. Najpierw przyniesioną we flaszeczce wodą zmyła urok z twarzy, szyi i rąk Jaryny — spluwając przytem często za siebie i szepcząc niezrozumiałe, przeplatane westchnieniami, wyrazy; potem nabrawszy węgli w garnuszek, nasypała na nie ziela z węzełka, przyniesionego za pazuchą i okadziła dymem trzy razy dokoła chorą; nareszcie kazała jej wziąć ziemi z przed progu izby i rzucić na dworze na cztery strony świata i potem uciec prędko do chaty.

To miały być sposoby niezawodne na zczarowanie oczami — ale do wieczora Jarynie nie było lepiej, przeciwnie mdłości od dymu odebrały jej resztę apetytu. Więc

widocznie źródło czarów było inne, trzeba było nazajutrz znowu wzywać Pałażki.

Teraz znachorka była pewna swego.

— To *zadano* do środka i ono siedzi jej pod sercem i *nyje;* trzeba żeby ona jego z pod serca wyrzuciła, to będzie zdrowa. Tylkoż trzeba zaraz *na czczo-serca* pić lekarstwo.

— Nu, ona niech pije na czczo, a my to nie chore, to możem trocha przekąsić, gościnnie zaproponowała gospodyni prowadząc do stołu, gdzie leżały palanice i pierogi z fasolą, a wśród nich zalotnie wychylała zielony fartuszek i czerwoną główkę butelka „monopolu".

Pałażka chętnie przystała na poczęstunek i obie babiny zaczęły wzajemnie przepijać do siebie, zagryzając pierogami. Im bliżej było dna butelki, tem znachorka okazywała więcej współczucia dla gospodyni.

— Jaby wam nieba przychyliła, za to, że wy człowieka uszanować radzi, a jakże, *drugi* zawoła, żeby jego ratować, a nie zmyśli *potrachtować*. Cóż to mnie lekarstwo nie kosztuje?

— Oj Boże, czyż jeszcze takim, jak

wy, poczęstunku żałować? toż jak wykurujecie, to jak na świat narodzicie mołodycię. Już blizko rok, jak ona u nas i *nasz* jej grunt zajął, tyle pracy dołożył, budynki połatał, płatę w kancellaryi na siebie przyjął, a nie daj Boże na nią śmierci, to wszystko przepadnie. Żeby choć dziecko było.

— Będzie, będzie na tamten rok — aby no tylko ona z siebie te *danie* wyrzuciła, co z niej moc wyjmuje.

— Oj, że wyjmuje, to wyjmuje — ona teraz i za małe dziecko niema siły, choć i rada robić, to nie zduża. Tylko to sława, że newistka w chacie, a ot całe lato robota na mojej głowie. Żeby nie ten grunt, to niechby lepiej Pan Bóg zabrał, żeby nie męczyła się.

— No, już ja dla was lekarstwa nie pożałuję — za waszą cześć. Ja dla Was, jak dla samej siebie nie pożałuję.

— A moja hołubko, moja ptaszeczko, dziękowała rozczulona gospodyni—ja Wam i kurkę przyniosę, jak ona *oduża*.

Ostatnie krople z butelki widziały babiny już tak zaprzyjaźnione, że się popłakały i niepewnie się trzymały na nogach.

Ale Pałażka przystąpiła do kuracyi. Z przyniesionej za pazuchą szmateczki nasypała błękitnego proszku, w oczach samej gospodyni, nabierając trzy razy dużą szczyptę. Ot widzicie, czy ja dla Was pożałuję mojej pracy.

Jaryna żegnając się pobożnie wypiła rozpuszczony w wodzie proszek, a Pałażka zaręczała, że to już napewno pomoże i wyrwie z pod serca to coś, co źli ludzie zadali.

Skutek rzeczywiście był wyraźny. Wymioty nastąpiły tak gwałtowne, że zdawało się, iż Jaryna pewno z *pod serca* wyrzuci uparte *danie.* Ale kiedy całą dobę objawy walki lekarstwa z czarami nie ustawały, stara pobiegła po Pałażkę.

— Zmiłujcie się, chodźcie — nijak nie przestaje, a już het z sił wybiła się, nawet nie gada.

— Cóż na to poradzić? Jak złe zrzuci, to się uspokoi, aby tylko wytrzymała.

— Otóż to, a jak nie wytrzyma?

— Ej, młoda, wytrzyma. Chyba, że nie sądzono żyć.

Stara wróciła, ale zastała Jarynę bez życia. Leżała podobniejsza do skieletu, niż do zmarłej nagle młodej kobiety.

Maksym rozpaczał. Ziemia wysuwała mu się znów z rąk i tyle kosztów poniesionych na pojenie teścia i płacenie jego długów mogło przepaść. A i żona go kosztowała; na samo wesele musiał sprzedać parę wołów. Tyle poszło wódki i wszystkiego dobra. A co tego to już nikt we wsi nie pamiętał, żeby tak jak jaka *jeneralska córka*, młoda miała prawdziwy złoty pierścionek. Ot, jak on się wykosztował i wszystko na nic.

Leży oto teraz i jeszcze koszt nowy czeka — pochować!

— Żeby choć nie czepiali się, że nie swoją śmiercią umarła, turbował się.

Ale dość było księdzu spojrzeć na wychudłe, przezroczyste zwłoki Jaryny, aby nie wątpić o długiej chorobie i naturalnym zgonie.

VI.

Nazajutrz pochowano mołodycę, bo w izbie dla żywych nie było zawiele miejsca. Pogrzeb nie był tak wystawny jak wesele, ani komu *hołosić* było po niej, ani szczerze zapłakać. Ojciec zalał robaka i szedł jak błędny za trumną; mąż zawiedziony w nadziejach, żałował każdej złotówki wydanej na ten obrządek, który nic nie miał przynieść jego chciwości. Z dziadami o podzwonne targował się godzinę, tak że nie zdążono z chaty wynieść ciała, jak już dzwony bić przestały.

— Masz tobie dzwonienie! jaka zapłata, taka i cześć! — mruczał stary dzwoniarz do siebie, z pogardą patrząc na parę miedziaków „podzwonnego". I parady żadnej nie było: dwie chorągwie, kilkoro bractwa, ani czytania ewangelii po drodze, ani nabożeństwa w cerkwi; jakby to nie starostową żonę, a jaką biedną wyrobnieę chowano. Tak chciał Maksym, a nie wstydził się pokazać skąpcem, byle wywrzeć jakąś zemstę na tej nieboszczce, do

której miał żal za stargane marzenia o ziemi.

Dnie były smutne i ponure, jesień dziwnie wcześnie ustępowała zimie. Przymrozki nawet były silne i śnieg zmięszany z krupami polatywał tnąc w oczy orszak pogrzebowy. Niewielka też szła gromadka, najbliższa rodzina uczestnicząca dla *hodyt'sia* w obrzędzie. Gości nie było, bo nie zanosiło się na poczęstunek, a gapiów odstręczała szkaradna pogoda. Tylko niebo płakało po Jarynie, a i to takiemi ostremi lodowemi łzami.

Postawiono trumnę nad otwartym dołem, ksiądz monotonnym głosem odśpiewał ostatnią modlitwę, pokropił grób, i odszedł. Śnieg i wiatr siekł w oczy, dzień był powszedni—to też nieliczna gromadka zawróciła ku wsi pospiesznie, żegnając się i rzucając zmarzłe grudki ziemi z pośpiechem na stojącą w dole trumnę. Wieko trumny zadudniło kilkakrotnie, ale w niczyjem sercu nie odezwał się ten dźwięk straszny bolesnem echem. Maksym z matką i braćmi śpiesznie odszedł, aby grabarz nie upominał się o jaki naddatek za tru-

dną pracę usypania ze zmarzłej ziemi mogiły.

Pozostała tylko otwarta jama, ostatnie mieszkanie Jaryny, kupka żółtej zmarzłej gliny obok niej i stary grabarz z łopatą w ręku leniwie i z trudnością spychający w dół grudy zmarzłej gliny, bijącej z łoskotem o wieko trumny.

W końcu i temu wiatr mroźny zaczął nadto dolegać. „A szczob ty zhoriw“ — zaklął półgłosem, mając na myśli skąpego Maksyna. „To ja tobie za pół rubla będę jak pies na zimnie przepadał? Jaka płaca, taka praca! Niechaj tak leży do jutra... owa! toż nie ucieknie — a na taką słotę, to nikt nie wytrzyma. Ziemia pozmarzała jak kość, a pomocy od nikogo niema, żeby zasypać. Jak jutro się rozpogodzi, to po maleńku zasypię. Wszystko już jej jedno, nie wstanie!"

I powlókł się do domu. A nad Jaryną wył wiatr, płakał deszcz ze śniegiem, szumiały nieliczne drzewa cmentarza i rozmawiały stare drewniane krzyżyki mogilne, które pamiętały i takie pogrzeby

BIBLIOTEKA

i inne, na których płaczą dzieci, zawodzą matki, rozpaczają mężowie i żony...

I umierać różnie różnym sądzono!

Jaryna spała snem wiecznym w otwartej swojej mogile, a tymczasem Maksym w chacie łamał sobie głowę nad sposobem powetowania srat poniesionych przez nieszczęśliwe małżeństwo.

Po raz dziesiąty obrachowywał w myśli wydatki na wódkę dla Tymka, na weselne podarki, na przyjęcie, ślub, na *przepisanie* gruntu Jarynie, gościńce dla starszyny i pisarza—i oto co ma za to? Jeden jedyny urodzaj, a i to nieosobliwy, bo Karpo zazdrościł mu pola, to i nie urodziło.

Nagle aż poderwało go z ławki:

— Mamo! a *persteń* zdjęliście jej z palca?

Stara struchlała. Oto jeszcze jedna strata i to samochcąc!

— *Zabuła się*, synku, *jej bohu!*—wyjąkała ze strachem.

— Otóż to! mało jeszcze szkody, trzeba i tego! Pięć rubli, jak jeden grosz kosztuje i ma gnić w surowej ziemi, przez Was.

Wy ją myli, wy ubierali, powinni byli pamiętać.

— Prawda, synku, prawda! Bodaj mnie oczy powyłaziły, czemu ja nie widziała. Ot, nieszczęście! het ja głowę straciłam, już sama jak nie swoja z tej turbacyi. I jeszcze mnie ona i we śnie i w dzień przed oczami stoi, nieboszczyczka, a patrzy tak żałośnie, jakby ja jej śmierć zrobiła; to i do reszty głowa *otumaniała*.

— Wy winni a moja głowa za wszystko odpowiada. Tyle grosza wydane, woły na to poszły, a teraz jak grunt odbiorą, to znów jak byli biedni, tak i zostaniemy się z taką *semiją*, na takiej łatce ziemi. Bodaj jego choroba!

Klął Maksym co wlazło, niewiadomo kogo, pewnie domniemanego wydziercę gruntu, Tymka, a chodził nadęty cały dzień i rachował. Zmierzchało — kiedy ubrał się w kożuch i wywołał z chaty brata.

— Słuchaj Ilku, taki tego pierścienia szkoda, żeby przepadł w ziemi — pięć rubli, to grosz — leżąc ich nie zarobić. Trzeba, żeby ty mnie pomógł.

— Jakże, kiedy już pochowali i *zopieczętowali.*

— Owa! Abo ja ją z trumną zabiorę, czy co? Pierścień zdejmę, bo mój—a nazad ziemię zasypiemy, że i nikt nie pozna, Cóż, chcesz, żeby pięć rubli, tak jak w wodę wrzucić?

— A no, to prawda.

— Otóż widzisz. Tylko cicho chodźmy z łopatką, teraz taka pogoda, że i pies na mogiłki nie zaglądnie, a nie dopiero człowiek. Grabarz pewnie pijany ze te pół rubla, co odemnie zarobił, bodaj on *ich* wychorował.

Poszli, skradając się. Los czuwał nad pierścieniem, bo pogoda szkaradna trzymała wszystkich po chatach i grabarz upił się pierwej nawet, niż zarobił owe pół rubla.

Trumna była prawie nie zasypana.

— A szelma grabarz! a skarżył się, że mu mało pięćdziesiąt kopiejek! Powiemże ja księdzu.

— Et, co powiesz? A jak spyta, po co my tu chodzili po nocy.

— Aha, prawda! No, czort jego bierz— jutro zasypie.

Tymczasem wszedł do jamy, rękami usunął ziemię z wieka, odchylił je do pół i pośpiesznie, po omacku szukał ręki z pierścionkiem.

— A nie odchodź, Ilko, bo jakoś trocha straszno.

— Nie poszedłbym sam nawet dwa kroki—oj lepiej porzućmy.

— Ot już *namacał* ja. Ale ręka nawet nie *okolała*, jak żywa, tylko pierścień nie chce złazić—obmotany szmatką od spodu, bo zaduży był na nią teraz. Daj-no nożyk, przeżnę tę szmatkę, albo palec. Prędko!

Ilko opuścił wiszący u pasa na długim rzemyku nożyk.

Ale po chwili Maksym głucho jęknął i blady jak płótno wyskoczył z jamy.

— Baczyw ty? — szeptał do Ilka, biegnąc razem pędem ku wiosce,

Ilko nie mógł odpowiedzieć. Drżał jak w febrze, zęby mu dzwoniły i pot kroplisty spływał po twarzy, a włosy choć mokre, jeżyły się nad czołem,

Widział dobrze, jak po zadraśnięciu nożykiem palca, nieboszczka, poruszyła się, drugą ręką odrzuciła do reszty wieko i usiłowała usiąść w trumnie.

Teraz już napewno będzie zawsze *chodzić* po śmierćci, a może upiorem zostanie i krew z nich wysysać będzie przez zemstę, że nie uszanowali spokoju mogiły.

Obaj bracia biegli, wyrzekłszy się pierścienia i co gorsza łopaty, Ta ich mogła zdradzić nazajutrz — ale gdyby ich nawet za to kara śmierci czekała, co zrobili—żadenby dla zatarcia śladów n,e wrócił na straszne miejsce.

Po chwili usłyszeli od strony mogiłek słabe wołanie; „Maksymie! Maksymie! to ja!"

— Dusza Jaryny woła, aby wpić się upiorem w jego szyję, gdyby wrócił.

Odwrócili się trwożnie za siebie i zdało się im, że jakaś wysoka bardzo postać posuwa się od mogiłek za nimi.

— Dusza jaryny... — znów pomyśleli i przyśpieszyli kroku.

Dopadłszy chaty, słyszeli znów zdaleka głos i widzieli wysoką postać. Zasunęli

więc drzwi na zasówkę i drżący czekali w sieni.

Na prędce i matka i drugi brat dowiedzieli się o nieszczęściu.

– Zatknijcie komin, mamo. Nieczysta siła, to i kominem może wleść, a taka dusza, co chodzi, to już nie z dobrem idzie.

— Trzeba czem poświęcanem żegnać. A jak nie pomoże, to makiem posypać.

Tymczasem *dusza* zbliżała się do chaty i podszedłszy do drzwi, żałośnym głosem wołała.

— Maksym! to ja, to nie moja dusza— ja żywa, tylko mnie bardzo zimno i *młośno*, puście do chaty!

— Jak raz! a ty *neczysta syła!*—i wszyscy razem żegnali przeze drzwi, czem kto mógł.

— Puśćcie, bo siły niema — ledwiem dolazła. Maksymie, jaż twoja żona...

Garść maku sypnęła się przez szczelinę na nieszczęsną duszę.

— Ależ ja żywa, tak jak i wy — czemu wy mnie nie puszczacie, ja wam nic złego

nie zrobię, tylko dajcie ogrzać się w chacie...

— Słuchaj Maksym, to już inaczej nie odczepisz się tylko trzeba ją osinowym kołkiem przebić, kiedy już mak nie pomaga. A to ona co nocy tak będzie chodzić i nas wszystkich ze świata sprowadzi.

— Gdzież ja teraz osinowego kołka wezmę. Może już prędko koguty zaśpiewają, to i tak pójdzie, a jutro trzeba dobrego kołka zastrugać, taj w piersi wbić w mogile.

— Tu zaraz osina koło kapustnika za płotem, idźcie we dwóch *bez* podwórze...

Ale dusza nie czekała spełnienia wyroku. Samo wspomnienie osiny okazało się skuteczne. Zaledwie na tylne podwórko drzwi skrzypnęły — dusza odeszła od chaty i posunęła się słaniając ku wiosce, a w niej ku chacie Hryćka.

VII.

W miesiąc potem po Hryciowej chacie krzątała się młodyca żwawa, zdrowa i wesoła.

Stara matka patrzała na nią z pod pieca i kiwała głową.

— Ot, jak ty, *nieuroku odczuniała*, jakby ta Jaryna co dziewczyną była — ale co z tego, Maksym przyjdzie ze świadkami, z policyą, taj zabierze jak swoją, choć ty nię chcesz. Takie prawo. Komu przysięgała z tym żyj, choćby dusza przewracała się w tobie.

— Otóż nie! Ja przysięgała „aż do śmierci" to i żyła z nim do śmierci — a teraz ja na nowo żyję i z tym będę, z kim zechcę—moja przysięga skończyła się.

— Kiedy ksiądz mówi, że ty nie umarła była i że tobie znów trzeba do niego wracać się.

— Jakto nie umarła była? A onże sam mnie pochował. Żywych nie chowają, tylko umarłych, A czemuż Maksym mnie nie przyjął, jak ja z mogiłek szła? Jeszcze

i osinowym kołkiem chciał mnie przebić. A teraz chce nazad, jak ja u was poprawiła się, siły i zdrowie mam?

— Jaby radniejsza ciebie wziąć — ale jak siłą wezmą?

— To ja siłą jej nie dam tak samo— zakończył nadchodzący Hryćko i patrzył z przyjemnością na rozkwitłą Jarynę.

— No i prawda. My też znajdziemy kołki, choć i nieosinowe, na tych, co nas zechcą rozłączać.

Matka umilkła. Hryć zapalił fajkę, napatrzył się na Jarynę i znów wyszedł do młocki do stodoły, a ona usiadła prząść, wyśpiewując tak cienko, jak nitki, które wyciągała.

„Dwa hołuby wodu pyły, a dwa kołotyły
Bodaj tyji ne dożdały, szczo nas rozłuczyły;
Szczob nad nimi stelu rwały, jak budut" konaty
Oj szczob ony pamiatały, jak to rozłuczaty.

Hryć i Jaryna kochali się i było im ze sobą dobrze, ale nie narażałby się może Hryć, a tembardziej stara jego matka na taką odpowiedzialność, tylko dla pięknych oczu byłej nieboszczki.

Jaryny stratę odcierpiał był Hryć w swoim czasie i — pocieszył się, a nie przyszłoby mu na myśl przywłaszczać cudzą żonę, choćby zmartwychwstałą, gdyby nie to, że za Jaryną liczył się i grunt.

Dla świętej ziemi warto było zaryzykować zatrzymanie Jaryny, wbrew woli prawego małżonka.

Zaczęła się więc walka nominalnie o Jarynę, w gruncie o jej posag.

Maksym ocknąwszy się z zabobonnego strachu przed żoną-upiorem, przekonał się że Jaryna żyje, zdrowa i szybko poprawia się w chacie i pod opieką Hrycia.

Najpierw wysłał matkę, aby synowę zabrała do chaty.

Potem poszedł sam, posyłał braci z prośbą i groźbą.

Wszystko napróżno.

Jaryna stale odpowiadała, że przysięgała „do śmierci" i umarła — a teraz żyje, ale Maksymowi nic do niej.

Kolejno wzywał Maksym pomocy, księdza, starszyny, gromady, ale racye Jaryny wszystkim wydawały się logiczne, a zre-

sztą cudza bieda nie boli i nikt bardzo się nie troszczył z kim żyje Jaryna.

Ale wiosna zbliżała się, pole obsiewać trzeba będzie a utrzymanie Tymka w fazie przychylności dla zięcia dość było kosztowne, a zawsze niepewne; to też Maksym zażądał opieki prawa i pewnego dnia władza w osobie uradnika przystąpiła do spełnienia prawnego wyroku, odprowadzenia żony do domowego ogniska.

Dzień to był bardzo burzliwy we wsi. Co żyło, poszło się gapić na tak ciekawą komedyę.

Tłum był przeważnie, z wyjątkiem kobiet, po stronie Maksyma, a z nim i wykonawców prawa.

Ale Hryć nie widział, że niema się co spodziewać pomocy, słyszał piskliwe głosy kobiet, utyskujące na niesprawiedliwość rozłączania tego, co sam Bóg złączył, zsyłając śmierć dla rozerwania przysięgi. Słyszał krzyk i płacz Jaryny i widział w myśli pole Tymkowe znów w posiadaniu nienawistnego starosty.

— A ne dożdesz! — powiedział sobie

i rzucił się na oślep z kijem na gromadkę stróżów prawa.

Uradnik majestatycznie dobył broń w obronie zagrożonego życia lub czci— ale już tymczasem dziesięć życzliwych rąk sąsiedzkich rzuciło się na Hrycia i obezwładniło w mgnieniu oka szalonego parobka.

— Związać go, buntownika!—zakomenderował uradnik, pamiętny lekkiego dotknięcia Hryciowego kija. Ja jego w katorgę za to zeszlę, szelmę. Będzie wiedział, co to zbrojny opór władzy, przy pełnieniu obowiązku.

Jarynę tymczasem, krzyczącą w niebogłosy, pociągnęli chłopi na rozkaz uradnika ku chacie Maksyma.

Tam oddali mu ją urzędownie, a uradnik pisał tymczasem protokół.

Ale Jaryna nagle zmieniła taktykę. Przestała krzyczeć, tylko z podełba rozglądała się po chacie.

Wszyscy się uspokoili i z uszanowaniem otaczali uradnika, piszącego z jowiszową miną przy stole.

Nagle Jaryna porwała się z kąta i jak ryś skoczyła ku Maksymowi, uderzając go w plecy siekierą.

Nikt nie uważał, jak ją wyciągnęła z pod ławki, jak podbiegła do męża, dopiero błysk żelaza, krzyk ranionego i Jaryny poruszyły wszystkich.

Uradnik pienił się ze złości, chłopi żegnali się, jak przed złym duchem — a Jaryna z błyszczącemi oczami powtarzała;

— A co? Taki z nim żyć nie będę! Pójdę w katorgę tak jak Hryć, razem z Hryciem. Niechaj mnie nie siłuje, kiedy ja jemu nie sądzona. Jakby ja jemu sądzona, toby mnie Bóg śmierci nie dał.

VIII.

Maksyma rana okazała się lekką, prędko w szpitalu przyszedł do siebie.

Na jego wyzdrowienie czekano ze sprawą sądową Jaryny, która też skazaną została na pół roku więzienia, a potem nie

na taką *katorgę* o jakiej marzyła, ale inną: pożycie z Maksymem.

Nie obaczyła już nigdy Hrycia nim bowiem odsiedział karę, już Jaryna naprawdę umarła.

Mściwy Maksym postanowił sobie nauczyć rozumu zbuntowaną żonę i tak dobrze wziął się do tego, że do roku Jarynę pochowano, tylko tym razem trzymano po śmierci trzy dni w chacie, a w ziem zasypano starannie.

BEZ POSAGU

Obrazek.

Wierzbówka, 10 stycznia 1889 r.

Kochany Kaziu!

Spieszę natychmiast po otrzymaniu Twego listu, przesłać ci serdeczne powinszowania i życzenia. Obyś był tak szczęśliwy, jakeś tego wart, a nie wątpię, że tak będzie, bo i dotąd los cię nie krzywdził. Własną pracą zdobyłeś naukę, stanowisko, teraz miłość—cóż ci brak?

Zanim poznam Twoją narzeczoną (przecież mię na wesele zaprosisz?)—ucałuj jej rączki odemnie. Od siebie, pewnie się już rączkami nie zadawalasz, szczęśliwcze!

Ach, jak ja ci zazdroszczę, człowieku, że się żenisz—i to żenisz „podług serca." Pomyśleć bo, że ja, który tylko marzę o życiu rodzinnem, który byłbym takim gotowym *pantoflem*, ja, nie mogę się żenić! Ty masz tak niezależne stanowisko;

żeniąc się, możesz myśleć tylko o względach uczucia; ja zaś, jak wszyscy my, obywatele, patrząc na kandydatki do stanu małżeńskiego, musimy trzymać na wodzy uczucia, a oglądać się na posag. Znasz mię, że nie jestem chciwcem; oddałbym wszystkie na świecie posażne panny za jedną miłą sercu!... Ale czyż mogę odstąpić od idei, przy której sztandarze los mię od urodzenia postawił? A byłoby to odstępstwo idei zejść z tego ojczystego zagona, kiedy nań wrócić nie można!... Tak, muszę szukać posagu, ale żebyś wiedział, jak mię ta rola upokarza! I jak zazdroszczę tym wszystkim wolnym ptakom, moim kolegom, którzy nie są tak jak ja *glebae adscripti*, i mogą sobie wybierać sami kapłankę domowego ogniska!

Ja — bo nie mogę się zdecydować, aby już raz „zamknąć drzwi za sobą" i ożenić się, choć wiem, że to nieuniknione, żaden amerykański wujaszek nie wyratuje mię z tej smutnej konieczności przehandlowania mojej swobody na pewną sumę pieniędzy, potrzebnych do oczyszczenia Wierzbówki. A jednak, ile razy, namówiony

i eskortowany przez którą z łaskawych opiekunek-swatek, dam się zawieźć na taki jarmark małżeński, zwany dla przyzwoitości balem lub wieczorkiem—tyle razy sprawuję się na nim gorsząco. Wszystkie panny, mogące mieć znakomitą właściwość oczyszczenia wierzbowickiej hypoteki, robią na mnie wrażenie pudełek, zawierających bilety bankowe, a ustawionych na nogach i przybranych do tańca, Jak w balecie „Wieszczka lalek", gdzie takie skrzynki z nogami tańczą. Niemam odwagi rozmawiać z temi pudełkami, tańczę tylko z musu, całą noc spędzam w fumoirze i wracam do domu zły na siebie i na cały świat i na wszelkie swatostwa. Wstyd mi własnego furmana w drodze i całej służby po powrocie. Co tacy zdrowi, normalni ludzie myślą sobie o mnie, że jak wyżeł węszę, gdzie jest posag i tam jedynie uderzam? Bo w dodatku z tego wstydu już przestałem bywać wszędzie, gdzie niema owych pudełek na nogach.

Nieraz w takich chwiłach mówię sobie: pal djabli Wierzbówkę! nie chcę przywilejów mojej sfery, ale i jej obowiązków.

Co mam być związany wiecznie z kwestyą hypoteczną, gdzie idzie o całe moję życie, o szczęście!

Ba, ale kiedy do Wierzbówki przykuty jestem nietylko ja sam, ale ciocia Zuzanna i stryj Michał! Żadne z nich na papierze nic nie ma, i gdybym puścił Wierzbówkę na dłużników, dał sprzedać—to im zostałyby małe resztki, może pozwalające przeżyć te niewiele lat, jakie im zostały, ale nie zabezpieczające tego, do czego przywykli. Ciocia nie potrafiłaby się obejść bez pokoju, w którym się urodziła; bez różnych gratów, w których siedzi połowa jej duszy; bez starej sługi, która choć na wsi ma męża, dzieci, własną chatę, ale z przyzwyczajenia nie odstępuje ciotki Zuzanny, tak jak z przyzwyczajenia mówi jej, 60-letniej staruszce—„panienko".

Stryj mógł niegdyś całą Europę i pół pozostałych części świata oblatać.

Gdybym nawet uwolnił się od Wierzbówki, a dostał jaką posadę i zabrał swoich staruszków do siebie, czyż to będzie to samo? Nie dam im tej swobody, niezależności, tych drobnych wygód, które

tylko własne wiejskie gospodarstwo dać może. Za starzy są, aby ze swojej sfery wyjść potrafili.

Nie pozostaje mi zawsze wybór pomiędzy dwoma nieuczciwościami: albo polować na cudze pieniądze i niemi spłacić moralne zobowiązania względem tych starych i drogich mi ludzi i tej ziemi ojczystej, albo zrzucić z siebie owe zobowiązania, tłómacząc się przed swem sumieniem, że nie ja je zaciągałem.

I jedna i druga rola ładna? co? A trzeciej niema! To jest właściwie jest: ta, w której obecnie zostaję, pracuję, gospodaruję jak mogę, *wiszę* przy majątku na włosku, długów dawnych nie spłacam, nowych nie robię, trzymam się Wierzbówki, a raczej Wierzbówka mię trzyma. I tak *ad infinitum*, a raczej do smutnego kresu, bo do śmierci moich dwojga kochanych antyków. Ale przy tem niema miejsca na żonę bez posagu, bo to byłby nowy ciężar na budżecie wierzbowieckim!

A widzę ja na przykładach sąsiadów, co żona kosztuje?! Otóż i tak mamona decyduje o losie człowieka.

Ależem się rozpisał! Jak prawdziwy stary kawaler *in spe!* Ta kwestya ma właściwość wyprowadzenia mię z równowagi, a byle co ją wywołuje. Ot, wiesz co, może lepiej nie zapraszajcie mię na wesele, bo widok dwojga ludzi szczęśliwych, może mię przyprawić o żółtaczkę, Któż widział głodnemu nędzarzowi pokazywać obficie jadłem zastawiony stół? kiedy mu jeść nie wolno!

Żartuję, nie jestem aż tak zły, abym lepszych uczuć, niż zazdrość nie posiadał. Przyjaźń pozwoli mi cieszyć się Twojem szczęściem, jak własnem. Bywaj mi zdrów, drogi Kaziu, i jeśliś nie wszystkie władze serca oddał narzeczonej, to kochaj prawdziwego twego przyjaciela

Wacława.

Żytomierz, 20 stycznia 1899 r.

Waciu kochany!

Nie obrażaj się, ale wszystko, coś mi o swojej kandydaturze do stanu małżeńskiego napisał, jest *nic!* Nie będę się rozpisywał z argumentami, bo wszelką wolną

chwilę, spędzoną nie przy narzeczonej, uważam za ujętą swemu szczęściu. Dość tego, że mnie pacyenci odrywają od niej, nie chcę się przynajmniej sam okradać. Ale jak przyjdziesz, ustnie wytłómaczę Ci, że nie masz najmniejszej racyi. Gdybym zaś ja tego nie dokazał, to napewno potrafi to moja Marynia. List Twój czytaliśmy razem; wybacz; ale ja sekretów niemam przed moją panią, nawet cudzych, jak widzisz; Marynia była oburzona na Ciebie, że tak łatwo rezygnujesz ze szczęścia, zamiast borykać się z losem i wiesz co utrzymuje? Oto, żeś widać naprawdę nie zakochał się dotąd, pomimo trzydziestki, bo inaczej znalazłbyś w sobie dość energii, aby się nie wyrzekać ani idei, ani szczęścia, ale pracować dla jednej za pomocą drugiego.

Ale niech Ci to Marynia sama wytłómaczy, bo ja nie mam czasu. Przyrzekłeś być moim drużbą, więc z urzędu musisz asystować pannie młodej stale, będziecie mieli gotowy temat do rozmowy, na wypadek, gdybyście oniemieli oboje, moja Marynka ze wzruszenia w tych ważnych

chwilach, a ty poprostu na widok takiego ósmego cudu świata, jak ona. Bo przygotuj się, że nic podobnego nie widziałeś.

Ślub odbędzie się tu na miejscu 17-go lutego, a więc mniej, niż za miesiąc. Odkreślam dnie w kalendarzu, jak niegdyś przed wyjazdem ze szkół na wakacye, a pewno nie z mniejszą niecierpliwością. Przyjdzie i na ciebie ten *termin*, Wacku, bądź spokojny—niechno tylko która z tych *heritierek*, których tak nie lubisz, będzie dość ładna na to, abyś o jej posagu zapomniał. A jakby tego posagu i wcale nie było, to także nie nieszczęście! Grunt taka dusza, jak u mojej Maryni! to za miliony stanie. Ot, kocham się, jak student, *czego i Tobie życzę*, Ale wracam do rzeczy, bo czas płynie, a ja spieszę.

Pierwotnie mieliśmy projekt odprawienia weseliska w domu starszego brata mojej pani na Litwie, na wsi. Ale że to dość daleko i każde z nas musiałoby na pewien czas zaniedbać swoje obowiązki, Marynia, która jest bardzo praktyczna, wymyśliła coś lepszego. Do ostatniego dnia odrabia lekcye w domu państwa

F., gdzie jest nauczycielką, uprosiła zaś braterstwo, że tu przyjadą, do miasta, staną w hotelu i użyczą Maryni owego *chez soi*, skądbym ją mógł zabrać na zawsze. Tym sposobem ja nie opuszczę moich chorych, Marynia nie będzie się męczyła jazdą na Litwę, kościelne ceremonie odbędą się łatwo, bośmy oboje tutejsi parafianie od trzech lat, a ponieważ do zwyczaju trzeba jakiegoś *pied à terre*, z któregoby pan młody zabrał żonę do siebie, braterstwo udzielą nam tej firmy, a my będziemy spokojni, żeśmy nikomu nie przyczynili kłopotu i kosztu, bo cały hotel najęty i przyjęcie urządzone będzie przez nas. Prawda, jak to *fin de siècle!* A jednak kochamy się, jak średniowieczna jaka para!

Żebyś to ty, Wacku, spotkał panienkę taką, t. j. nie taką bo drugiej mojej Maryni na świecie niema, ale choć podobną do niej — i zakochał się!

Jestem pewien, że jakoś i Wierzbówkę, i ciocię i stryjaszka, i idee i wszystko dałoby się pogodzić. Że kobiety, trzeba im przyznać — niesłusznie dawniej były posądzane o egzaltacyę, bujanie po obło-

kach... przeciwnie, one są dziwnie trzeźwe w życiu, tam, gdzie my widzimy położenie bez wyjścia, one jeszcze wynajdą jakiś sposób, o którym się nam nie śniło.

Ach, co ja wyrabiam! tracę drogie chwile. Wieczory są zawsze moje, Marynia wtedy niema lekcyi. Pogoda śliczna, ludzie mało chorują (daj im Boże zdrowie) i nie odrywają mię wieczorami.

Bądź zdrów, kochany przyjacielu! A pamiętaj przyjechać zawczasu, 15-go, abyś się zapoznał z całem towarzystwem i koleżankami w urzędowaniu, t. j. druchnami. To ci pewno nie będzie dogadzało, bo obie druhny i uczennica starsza Maryni, panna F. — i przyszła moja siostrzenica Zosia — są *en âge de disgrace*, czyli nieopierzone podlotki, po lat 16. Ja bo cierpieć nie mogę panienek w tym wieku, może dlatego, że wśród nich mam najwięcej pacyentek z anemią, a to choroba tak jak one, niezdecydowana. A zbadaj, bądź mądry, osobę, która ci podczas auskultacyi jest ze wstydu i wzruszenia zupełnie chora; serce, puls, temperatura, oddech—

wszystko anormalne. I lecz taką! Nie, stanowco, to nie mój *genre!*

Moja Marynka to żona dla doktora! nigdy nie choruje, obraz zdrowia — będzie mogła za reklamę mężowi służyć!

No, dość tego, bo nigdy nie skończę. Całuję cię po sto razy i czekam

Kazimierz.

— Ależ panno Maryo! czyż można znajomość zaczynać od utarczki? Chce pani odrazu stanąć ze mną na wojennej stopie! Proszę przynajmniej pozwolić wypowiedzieć moje wrażenia z poznania narzeczonej mego najlepszego przyjaciela!

— O, bardzo przepraszam! Wszystkie ofiary, jakie trzeba było złożyć na ołtarzu konwenansu, już pan złożył na ręce pani F. Tam oboje państwo wypowiedzieliście sobie o mnie i o panu Kazimierzu wszystko, co *savoir-vivre* i nakazuje w podobnych wypadkach. Ze mnie dość żem tam jako niemy, choć zainteresowany, świadek, zachowała całą przyzwoitą konwencyonalność. Teraz chcę korzystać z tego *tête a tête* z panem...

— Aby się kłócić! Zwykle ludzie wcale inaczej z *tête—a tête* korzystają, będziemy więc oryginalni!

— Nie aby się kłócić, ale żeby się lepiej poznać. Zna pan francuskie przysłowie; „*les amis de nos amis...*" jest pan przyjacielem pana Kazimierza, trzeba więc, abyśmy byli przyjaciołmi, a jakże to może być, kiedy się nie znamy.

— Owszem, Kazio pisał mi, że pani jest ósmym cudem świata...

— No, to łącząc w ósmym znane cechy siedmiu poprzednich cudów, powinna bym być: stara, jak piramidy egipskie,— nieużyteczna, jak kolos rodyjski,—kosztowną, jak ogrody Semiramidy i t. d. Ale nie idzie o to, co pan Kazimierz o mnie pisał, bo pewno, że mię nie ganił. A każdy słuchając zdań narzeczonego o narzeczonej, umie podpisać pod niemi ogromny mianownik.

— Ja też zaraz sobie pomyślałem, że pani być musi moralnie i fizycznie... straszydłem.

— Czy pan nie ma zwyczaju mówić poważnie z takim „puchem marnym", jak kobieta?

— Owszem, pani; ale teraz tak mi tu jakoś wśród państwa swojsko, dobrze, miło, że to mię usposabia dziwnie wesoło i nie mam ochoty ani się sprzeczać, ani dysputować, tylko...

— Patrzeć i admirować! jakby powiedział ktoś w końcu zeszłego stulecia—zawołała panna Marya, śmiejąc się serdecznie.

— A skąd pani wie, bo doprawdy tak jest.

— Od kwadransa przecie, jak rozmawiamy, patrzę na pana i widzę, że nie odrywa pan oczu od tej niebieskiej sukienki. A że to moja bratanka, więc miło mi zauważyć, że się panu nie niepodoba.

— Tylko!... Ależ to urocza panienka. Od kiedy tu jestem, na nią tylko patrzę. Nie dość, że śliczna, ale ma w sobie coś takiego, że oczu od niej oderwać trudno.

— Hm, jednak nie wszystkie oczy do niej przykute — odpowiedziała figlarnie panna Marya — ale dobrze zgadłam, że nic pan teraz nie żąda, tylko patrzeć i admirować. Zatem z naszej dysputy nic dzisiaj nie będzie. Uwolnię pana od obowiązku bawienia mię rozmową, która

w takim nastroju byłaby nudna. Poproszę Zosi, aby mię zastąpiła. Proszę, przedstawię jej pana.

I panna Marya skierowała się ze swym towarzyszem w przeciwległy koniec sali, gdzie już oddawna szły spojrzenia pana Wacława.

— Zosieńko, oto pan Wacław G., przyjaciel twego przyszłego wuja; nie daj mu się znudzić w tem obcem mu towarzystwie, ja muszę pomódz trochę gospodyni domu, bo widzę, że się sama krząta.

Ale pani F. ani słyszeć nie chciała o pomocy. Odprowadziła Marynię za rękę do pana Kazimierza, mówiąc:

— Czy to kochane dziecko mało mi napomagało przez trzy lata, abym ja nie miała prawa choć w takim dniu usłużyć jej, jak mogę — a napatrzeć się na moją miłą parkę. To taki miły widok dla nas starych, widzieć szczęśliwą, tak dobraną parę, a rzadki to wypadek. Nie pozbawiajcież nas tej uciechy. Panie doktorze, proszę nie puszczać Maryni cały wieczór od siebie! Niech pan pamięta; przy stole też będziecie razem siedzieli.

Oboje protestowali na to ostatnie rozporządzenie całując jednocześnie z wdzięcznością ręce dobrej pani F.

— Przecież należy nam bawić naszych gości, a nie zajmować się sobą. To pierwsi w życiu nasi właśni goście, a my od jutra już całe życie razem będziemy.

— Cóż to wy sobie myślicie, zarozumialcy, że bez was już gości zabawić niepotrafimy? Właśnie będziemy się wszyscy bawili waszym kosztem,—żartowała pani F.

— Otóż my nie chcemy grać tej roli i wolimy zrzec się tego *a parte*, aby nie być przedmiotem żartów. Niech droga pani posadzi mnie przy stole koło pana Wacława — zawołała Marynia — ostatni to dzień mojej swobody; niechże mam możność z kim innym flirtować, nie z narzeczonym.

Ale za to bluźnierstwo pan Kazimierz został wynadgrodzony tak wymownem spojrzeniem, że pewno nie zazdrościł koledze obiecanego flirtu.

Pani F. odeszła, a Marynia zaraz zdała sprawę narzeczonemu z rozmowy z panem Wacławem i ze swego spostrzeżenia.

— Jak to dobrze, że Zosia mu się podoba; przez nią zapozna się bliżej z Henrykostwem, a już jeśli moja bratowa nie nawróci tego grzesznika do panien bez posagu, to chyba nic z niego nie będzie — zawyrokowała stanowczo.

Tymczasem pan Wacław przeszedł ze stanu biernego w czynny, to jest z niemej admiracyi do rozmowy z panną Zosią.

Trochę trudno mu było zacząć rozmowę, bo uprzedzony przez Kazimierza, że to szesnastoletni podlotek, nie wiedział, czem można zająć takie stworzenie. Jednak z literatury o podlotkach przypomniał sobie tyle, że nie chętnie rozmawiają o lalkach, lub wrażeniach z pensyi, słowem o wszystkiem, co ich wiek przypomina, wolą zaś uchodzić za obyte ze światem dorosłe osoby. Z tej więc beczki zaczął i p. Wacław.

— Pani zapewne dużo się musiała bawić w tym karnawale. Zima tak pogodna ułatwia komunikacyę; doskonała sposobność do kuligów na wsi. — O ja wcalc nie mam czasu się bawić, ponieważ się uczę, a teraz nie wakacye. Tylko wyjątkowo

z racyi ślubu cioci Maryni, rodzice moi opuścili swoje zajęcia i mnie wzięli ze sobą — odpowiedziała Zosia, nie udając dorosłej, ale bardzo śmiało i naturalnie.

— Więc pani jest na pensyi? to musi pani z upragnieniem wyglądać wakacyi?

— Nie, panie, uczę się w domu, ale wakacyi rzeczywiście czekam niecierpliwie, bo wtedy przyjeżdża mój brat ze szkół, a i ja mam latem mniej lekcyi i dosyć czasu z nim spędzam.

— Nie wiele jednak rozrywki dostarczać pani musi towarzystwo brata, bo młodzi ludzie w wieku szkolnym niezbyt wiele mają wspólnych z panienkami upodobań.

— Ale za to mogą być panienki, mające upodobania *hajduczków*—zaśmiała się figlarnie Zosia.—My jednak doskonale się z Romkiem zgadzamy. Tak długo w dzieciństwie byliśmy razem chowani, że udzieliliśmy sobie nawzajem swoich upodobań, on dopiero trzeci rok jest za domem, choć za rok już skończy szkołę realną.

Jakże państwo spędzają wakacye, jeśli wolno wiedzieć? — ciągnął dalej rozmowę pan Wacław, aby mieć pretekst wpatry-

wać się w Zosię i słuchać jej dźwięcznego głosiku. Mogła była mówić zupełnie bez sensu, wydałoby mu się czarującem, bo wychodziło ze ślicznych różowych ustek.

— O, wolno! — zawołała Zosia — ale ciocia Marynia kazała mi nie dać się panu znudzić, a nie zdaje mi się, aby opowiadanie o sposobie przepędzania czasu nieznanych osób, mogło być dla pana zabawne. Lepiej przyłączmy się do tamtej grupy, gdzie się tak śmieją; tam panu będzie weselej i przyjemniej.

— O nie, nie! — żywo zaprotestował p. Wacław.—Niech mi pani opowiada o sobie, mnie to tak zajmuje... A spostrzegłszy, że zbyt żywo to powiedział, dodał; bo ja zupełnie nie znam Litwy, chciałbym z opowiadania pani mieć pojęcie o zwyczajach tamtej prowincyi.

— Z tego się pan nic nie dowie. Moi rodzice, niezupełnie podobni do innych naszych Litwinów, więc i zwyczaje nasze domowe inne, niż gdzieindziej.

— Jednak niech pani opowiada; zawsze poznam choć zwyczaje jednego domu,—a

w duchu dodawał: nic nie poznam, ale będę słyszał twój głos, skowroneczku mały!

— Otóż wakacye my z Romkiem spędzamy następującym sposobem — i Zosia poprawiła się na krzesełku, jak dzieci, kiedy mają opowiadać bajeczkę — Wstajemy ze słońcem; które pierwsze zjawi się na dziedzińcu, to ma przez cały dzień prawo układać projekta.

— Ciekawym tych projektów. Zważywszy ranne wstawanie, to zapewne jakieś wyprawy à la Robinson.

— Niestety, nie! zbyt ludno jest naokoło na takie pustelnicze próby. Ale nie mogąc się bawić w Robinsonów, bawimy się raczej jak wykwintnisie z końca przeszłego stulecia w pasterza i pasterkę.

— To dziwne tylko, że wychowańcom wsi przyszło na myśl bawić się w ten sposób: zwykle wybiera się przedmioty mniej znane, — zauważył p. Wacław.

— O, bo my prawie naprawdę przybieramy nasze role i dlatego to nas tak bawi. Romanek w czasie wakacyi staje się z panicza fornalem, a ja mu trochę pomagam. Tem się tylko różnimy od innych robotników

papy, że wolno nam wybierać sobie rodzaj roboty i zmieniać ją kilka razy na dzień.

— Po cóż w takim razie zmieniać? złudzenie byłoby zupełniejsze, gdyby pani naprzykład cały dzień żęła wraz z innemi Zośkami i Kaśkami na zagonie, a wieczorem upadała ze znużenia — odezwał się ironicznie pan Wacław, któremu owa sielskość wydała się pozą i zepsuła urok Zosi, podając w podejrzenie jej naturalność.

Ale Zosia bynajmniej nie odczuła tej ironii, a czyste sumienie nie zaniepokoiło się tonem złośliwym; z minką naiwnie zaaferowaną, zdolną przekonać większego od p. Wacława sceptyka, zawołała:

— A co? I pan jest tego zdania! Ja zawsze marzę, aby tak zupełnie na dobre pracować fizycznie, jak nasze wieśniaczki, a nie przez zabawkę, bo mi wstyd; mogą myśleć, że ja gardzę pracą i mam się za coś od nich lepszego. Ale cóż mama nie pozwala forsować sobie rąk, bo jak dłużej robię jaką grubą robotę, to mi potem palce drżą przy graniu. A mama wielką wagę przywiązuje do mojej muzyki, a i ja sama nie mogłabym, zdaje się, żyć bez niej.

— To proszę, wzorem pasterek, uprawiać grę na fujarce — radził pan Wacław żartem, ale już bez złośliwości, przekonany szczerością swej interlokutorki.

— Prawda! Możnaby, ale jakoś wolę fortepian. Zresztą, któżby mnie uczył na fujarce, kiedy mama sama nie umie. No, i muzyka ma być w przyszłości mojem *gagne-pain*, a już fujarka nie dałaby mi chleba, to pewno.

— A cóż się dzieje z muzyką, jak pani tak po pastersku buja z bratem na łonie natury przez całe wakacye? słyszałem, że „uprawa fortepianu“ nie znosi takich długich przerw.

— Ja też zaczęłam panu opis naszych zajęc od rana, ale do wieczoru jeszcze nie doszłam, tak odbiegam od opowiadania... Żeby tak, broń Boże, przy lekcyi, ho, ho! Otóż nie ciągle jesteśmy na łonie natury. Każde z nas ma cztery godziny lekcyi. Dwie godziny uczymy się wzajemnie z Romkiem, drugie dwie ja gram, a brat robi za za mnie lekcye z dziećmi służby dworskiej.

— To państwo bardzo pracowicie spędzają wakacye, kiedyż jest czas na zabawę, przy tylu obowiązkach?

— Myśmy już tak przywykli, a dnie latem długie, więc czasu nie brak. W niedzielę i święta chodzimy na polowanie, jeździmy do lasu na jagody, grzyby, orzechy, wraz ze wszystkimi naszymi uczniami, albo jeździmy konno w pole, gramy w krokieta — czasem jedziemy z rodzicami w sąsiedztwo, lub sami mamy gości.

— Zapewne jak brat odjeżdża, musi się pani bardzo nudzić sama?

— Smutno mi za nim, ale za to jestem więcej z Mamą, w czasie wakacyi mama pomaga papie w gospodarstwie, mało ma czasu dla mnie. Za to potem jesteśmy ciągle razem. Razem uczymy się, czytamy, szyjemy, gospodarujemy — nawet do chorych na wieś mama mnie często bierze do pomocy. Tylko jak mamę wzywają dalej w okolice do chorych— to ja zostaję na gospodarstwie.

— Jak to, więc mama pani swoje miłosierne uczynki pełni aż w dalekiej okolicyz—zapytał zdziwiony Wacław.

— To nie tylko miłosierny uczynek. Mama skończyła wydział medyczny. Ale wyjeżdża bardzo mało do chorych, chyba tam, gdzie wyjątkowo tylko do mamy mają zaufanie.

Pan Wacław mimowoli przypomniał sobie chwilę, kiedy był przedstawiony pani Henrykowej. Zdziwił się, nie przypomniawszy sobie, aby zauważył w jej powierzchowności jaką ekscentryczność... Doktorka! aniby się tego domyślił! Prawda, że niełądna, ale nawet zupełnie przyzwoicie ubrana! Prędzej wziąłby ją za bardzo zadomowioną gosposię, niż za *bas bleu*. No, więc bywają i takie? Ktoby się spodziewał. A taką ma czarującą córeczkę ta emancypantka — doktorka.

— Muszą koledzy lekarze nieradzi być, że im mama pani odbiera klientelę? — gawędził dalej pan Wacław.

— Ej, chyba nie, bo mama wyłącznie prawie jest wzywana do dzieci, a to bardzo trudna kuracya i nikt jej nie zazdrości. A najliczniejsza klientela mamy, to ubodzy, którzy nie tylko nic nie płacą ale jeszcze darmo dostają lekarstwa. I właśnie

dlatego nie odmawia porady niektórym bogatym pacyentom, aby za te pieniądze kupować lekarstwa dla ubogich, czyli, jak mówi, spełniać swoje miłosierne uczynki za własne, nie za papy pieniądze.

— Kiedyż jednak mama znajduje czas na tyle różnorodnych obowiązków?

— O, mama to prawdziwe *perpetuum mobile*, jak ją papa żartem nazywa. Wiecznie czemś zajęta. Powiada, że to dla zdrowia, że ci, co chorują na nerwy, to z bezczynności. Sprzecza się z kolegami doktorami, że nerwy, to próżniactwo. Myśli pan, że tu będzie bezczynną na weselu? Gdzież tam! Z domu przywieźliśmy przyrządzone przez mamę smakołyki, a tu już umówiła kucharza i wespół z nim gospodaruje w hotelowej kuchni, jak u siebie w domu.

— A pani i w tem mamie pomaga zazwyczaj?

— A naturalnie. Codzień, to nie; bo już mama wyuczyła jedną z dziewcząt dworskich gotowania i to wystarcza — ale wszystkie nadzwyczajne kulinarne przygotowania robimy razem. I to bardzo przyjemne. Zawsze przy tem czegoś się dowiem to

z chemii, to z fizyki, to z zoologii i t. d.

Lekcyę praktyczną anatomii wzięłam (proszę się nie śmiać) przy *uroczystości familijnej*, jak mówią Niemcy, to jest przy biciu wieprza. Botaniki uczę się też, ot tak, przy sposobności. To bardzo wesołe takie lekcye.

— I długoż jeszcze pani będzie w tej szkole perypatetycenej? — nie bez ubocznej myśli zapytał pan Wacław.

— Po następnych wakacyach chciałabym módz zdać egzamin, tak jak prawdziwe uczenice, bo już przechodzę ostatnią klasę. Ale mama jest przeciwna wszelkim egzaminom, mówi, że to denerwuje, zwłaszcza nieobytych. Mama sama tyle tych egzaminów przechodziła, to musi wiedzieć. Pewno tak będzie, jak ona zechce. Tylko jak Romanek wróci ze szkół, urządzi dla mnie w domu taki egzamin jak w szkołach, albo na pensyi. Będę wyciągała pytania; na każdy przedmiot będzie parę dni na przygotowanie się; Romanek będzie egzaminatorem a rodzice radą pedagogiczną. To zupełnie co innego, niż odpowiadać na pytania mamy, która będąc

zawsze ze mną, wie, co umiem. Zawsze mi się zdaje, że umyślnie pyta o to, co wiem. A tak, los będzie pytał—to dopiero będzie przyjemność odpowiadać — naturalnie dobrze! szkoda tylko, że do każdego przedmiotu będzie ten sam egzaminator—to nawet bardzo niedobrze!

Miała tak zabawnie zafrasowaną minkę, jakby rzeczywiście coś bardzo ważnego zależało od jej egzaminów. Pan Wacław był szczerze ubawiony jej naiwnością dziecinną.

— Można i na to poradzić! — zawołał z uśmiechem. — Niech pani do pomocy bratu dobierze kogoś, na przykład mnie!

Oczy Zosi z początku z resztką naiwnego wyrazu zwróciły się na niego, ale zaraz przybrały figlarny wyraz.

— Pan zadaleko mieszka, a tacy przyjezdni profesorowie najczęściej strasznie obcinają egzaminowanych, wiem to od Romanka, odpowiedziała, śmiejąc się, jak światowa osoba. — Zresztą, byłby to też egzamin przy *obcym*, a zatem mama bałaby się dla mnie zdenerwowania.

Pan Wacław i na to miał gotową radę:

oto przestać do tego czasu być *obcym*, ale szczęściem nie wypowiedział tej rady zaraz, a tymczasem nadeszła panna Marya i przerwała rozmowę.

— Jakże, Zosiu, bawiłaś powierzonego ci gościa? Zaraz się dowiem prawdy, czy się nie nudził; przy tobie grzeczność kazałaby może zmyślać, ale gospodyni domu przeznaczyła mię panu za towarzyszkę przy stole, tam więc *za oczy* Zosi powie pan pewno prawdę.

I podała rękę Wacławowi, bo już całe towarzystwo przechodziło do jadalni, a Zosia tymczasem w podskokach, nie troszcząc się, co o niej powie ów gość, pobiegła naprzód do matki.

— Rzeczywiście, *za oczy* panny Zofii można także prawdę powiedzieć, ale *w oczy*, to chyba niepodobna skłamać!— mówił pan Wacław Maryni.—Jakież ona ma cudne oczy? mądre a naiwne zarazem. Robią na mnie wrażenie, że dzikie zwierzęta pod jej wzrokiem zmieniałyby się w baranki. Gdybym był malarzem, wymalowałbym Daniela biblijnego w jaskini i dałbym mu jej oczy.

Panna Marya uśmiechnęła się, jakby mówiła do siebie: znamy się na tem! i zapytała:

— Ale jakże pan znajduje całą Zosię, rozmowę jej, nietylko jej oczy.

— Rozmowa taka, jak oczy! Cała taka, jak oczy; zachwycająca!

— Ho, ho! jak na godzinną znajomość to dosyć stanowcza definicya! Czy pan tak zawsze łatwo się zachwyca? To dowód wielkiej młodości duszy,—trochę ironicznie dodała.

— Przedewszystkiem, bardzo rzadko z pannami rozmawiam, bo dotąd trafiałem na takie, które są na wydaniu, a to antypatyczny gatunek. Nie zachwycam się łatwo, ale dziś jestem w jakiemś dziwnie szczerem usposobieniu. To zapewne widok Kaziowego szczęścia tak mnie usposobił.

Panna Marya w duchu pomyślała, że pan Wacław bardzo mało nasycał się widokiem owego szczęścia, mając oczy prawie od początku utkwione w Zosię — ale nie powiedziała tego. Tylko, jak każda kobieta ucieszyła się tem spostrzeżeniem,

bo już to wiadomo powszechnie, jako kobiety mają szósty zmysł do wszelkiego swatowstwa i zawsze wcześniej skłonność serca w kimś dostrzegą, niż sam interesowany.

Aby jednak przerwać ten wylew wynurzeń, Marynia zwróciła rozmowę na co innego.

— Kiedy pan tak usposobiony, to może i moja z nim zapowiedziana sprzeczka będzie w porę?

— Jeżeli chodzi o pewną moją porażkę, to nie może być bardziej w porę. Trudno być mniej wojowniczo usposobionym.

Chce mi pan w razie swojej przegranej odjąć rozkosz tryumfu, przedstawiając go jako łatwy? Co za dyplomacya! Ale minęły czasy błędnego rycerstwa i ja nie zakładam swojej ambicyi na pokonaniu niezwyciężonych trudności, ale na zdobyciu dla mego wyznania jednego więcej adepta.

— Jakież to wyznanie? Kult boga hymenu? Chce pani wespół z Kaziem wmówić we mnie, że powinienem wstąpić jak najprędzej w wasze ślady. Po cóż w takim

razie sprzeczka, kiedyście użyli najlepszego argumentu: *„vous prechez par l'exemple"*.

— Bynajmniej; nie chcę pana namawiać do naśladowania przyjaciela. Mojem zdaniem, ażeby się żenić, trzeba się kochać—jak to nastąpi, to i namawiać pana nie będzie trzeba. Ja tylko chciałam wykłócić się z panem za niektóre wyrażenia jego listu i na żywych przykładach przekonać, że naprzykład panien bez pieniędzy nie należy nazywać pannami bez posagu.

— A to coś nowego! Jeśli to nie wszystko jedno, to mogę nazywać nawet: *pieniądze — mamoną*, jak pani każe, ale w czemże to zmieni istotę rzeczy?

— O, i bardzo! Czyż pan znajduje naprzykład, że *majątek*, to koniecznie dobra ziemskie? Nie! choć z pewnego zwrotu w liście pańskim: *my obywatele*—mogłam przypuszczać i to. A cóż to, pan Kazimierz, dlatego, że doktór, już nie jest obywatelem kraju; a ja z mojem belferstwem nie czuję się tak dobrą obywatelką kraju, jak Pan? — mówiła Marynia na dobre zaperzona.

— *Mea culpa.* Przyznaję pani słuszność; ale wprost użyłem utartego wyrażenia, a pani chwyta mnie za słowa.

— Otóż to właśnie, że u nas zawiele się używa utartych *wyrażeń*, nie dbając, czy one odpowiadają właściwemu *pojęciu*. Stąd to wynika, że lekarz, adwokat, zarządzający — to nie obywatele kraju; fabryka, sklep, przedsiębiorstwo — to nie majątek, a panna bez pewnej sumy tysięcy rubli—to panna bez posagu...

— Owszem, jeżeli jako ekwiwalent tych rubli może się wylegitymować z posiadania fabryki, sklepu, przedsiębiorstwa; czyli, jak pani słusznie wywiodła—majątku—z ironiczną powagą przerwał pan Wacław.

— Więc podług pana, pan Kazimierz żeni się *bez posagu?*—spytała Marynia.

— Jest tak szczęśliwy, że się *może* żenić bez posagu. Ale po co pani krępuje się ze mną; jutro ślub, ja jestem drużbą i przyjacielem Kazia. Dlaczegóż pani mówi o nim do mnie tak ceremonialnie, kiedy we cztery oczy, albo *en petit comité* pewnie sobie mówicie po imieniu — dodał z pobłażliwą poufałością pan Wacław.

— Myli się pan. Do mówienia po imieniu nie dość się kochać, trzeba się do siebie przyzwyczaić. Mam kuzynów, których nie kocham, ani nawet lubię, a mówię im *ty*, bom tak od dziecka przywykła — a panu Kazimierzowi będzie mi trudno zrazu tak mówić, choć go kocham.

Przy ostatnich wyrazach zarumieniła się mocno, ale udawała, że to z gorąca.

— To państwo jesteście jacyś osobliwi ludzie; inaczej sobie wyobrażałem narzeczonych — zaśmiał się pan Wacław.

— Wiem i to, również z pańskiego listu. Znać, że pan zna narzeczonych nie z życia, ale z powieści — odpowiedziała panna Marya.

Wacław zdziwiony i przezywający Marynię w duchu od *kopalnych panien*, jednak nie nudził się i byłby przekomarzał się dalej ze swoją sąsiadką, ale pan Henryk, siedzący naprzeciwko, zawołał:

— Ależ moja Marynia raka upiekła! Zmiłuj się Kazimierzu, drużba musiał czemś zgorszyć pannę młodą. Trzeba chyba rozdzielić tę parę, bo on zbyt na seryo

bierze swoją zapowiedzianą sprzeczkę, kiedy Marynia taka zaperzona.

Marynia zmieszała się do reszty, w obawie, czy sąsiedzi nie słyszeli jej rozmowy z panem Wacławem, a ten ostatni szukał oczyma Zosi, jakby obawiając się, by go też nie posądziła o *gorszenie* cioci Maryni.

Ale Zosia, mająca po obu stronach podobne sobie wiekiem towarzyszki, była tak rozbawiona, że ani zwracała uwagi na resztę towarzystwa. Pan Wacław mógł tylko skonstatować, że ma ząbki śliczne i śmieje się jak srebrny dzwoneczek.

— O, cóż, to za barbarzyńska rzecz przyzwoitość!—pomyślał sobie. — Gdyby nie ona, zarazbym się stąd zerwał i pośpieszył na tamten koniec stołu, posłuchać z czego też ten aniołek niebieski tak ślicznie się śmieje!

Ale obeszło się bez naruszenia form przyzwoitości, bo już gospodyni dała hasło wstawania od stołu, a pani Henrykowa, która wpierw szepnąwszy coś pani F., przeszła do salonu, w tej chwili dała znać o sobie, zagrawszy ochoczego walca.

Panienki domowe i Zosia pobiegły zaraz za głosem muzyki i już widzieć je można było przez drzwi salonu walcujące zawzięcie, nie czekając na tancerzy.

Pan Kazimierz zaproponował „odbijanego" i wnet też młodzi panowie rozbili te niewieście pary, a pan Wacław wymanewrował tak zrecznie, że inni odbili najpierw „comme de raison" *gospodarskie córki*, pozostawiając Zosię dla niego.

To mu sprawiło nowy kłopot; bo znów nie wiedział, kiedy jest milsza, czy poważnie z nim rozmawiająca, patrząca temi naiwnemi oczyma, czy śmiejąca się głośno i szczerze z rówieśnicami, czy teraz zaróżowiona od tańca, z potarganemi nad czołem włoskami i iskrzącemi się wesołością oczyma.

— Zjadłbym ją jak cukierek! — pomyślał pan Wacław — ale w tej chwili Zosia zmęczona, zwróciła do swego tancerza główkę, aby powiedzieć, że już dosyć tańczyli i oto znów miała to poważnie naiwne spojrzenie. — Albobym się do niej modlił! — dokończył w myśli pan Wacław.

Tańce nie przeciągnęły się długo. Starsi

oraz narzeczeni niezbyt się niemi bawili. Zaimprowizowano je dla zadowolenia młodocianych druchen, którym wesele bez tańców bardzo się dziwnie wydawało. Po parogodzinnej *kręciółce* panienki były zadowolone i goście się rozjechali.

Następnego wieczora mieszkanie doktora Kazimierza oświetlone było *a giorno* i młoda gosposia w zgrabnym fartuszku kręciła się po jadalni, dobywając z nowiutkiego, jak z igły, kredensu, równie nowiutkie herbaciane przybory. Pierwszy to dziś występ tych filiżanek, łyżeczek, stołowej bielizny i—gosposi u *siebie!*

Kazimierz z Wacławem gawędzą w sąsiednim saloniku, ale oczy pierwszego stale błądzą po drugim pokoju, śledząc zgrabne ruchy Maryni. Wacław także z widoczną przyjemnością przygląda się jej gospodarskim zachodom, rozmowa jednak nie zyskuje na tem, bo świeży małżonek widocznie więcej myśli o Maryni, niż o przyjacielu. W końcu Wacław spostrzega się pierwszy.

— Po co ty się dla mnie poświęcasz, Kaziu? Oczami i duszą jesteś tam; lepiej prośmy gosposi o pozwolenie i chodźmy jej pomagać, nim reszta gości nadejdzie.

— Pomagać? broń Boże! ale asystować i owszem, bardzo proszę.

— Nie chcemy bezczynnie patrzeć, jak pani pracuje. Jakoś przecie potrafimy być użyteczni. Pani zapewne też musi być jak w lesie w tem nowem gniazdku i nie wiem doprawdy, jak pani sobie radzi wśród nieznanych kryjówek i nieznanych zapasów spiżarnianych kawalerskiego gospodarstwa. Widząc panią tak łatwo znajdującą potrzebne przybory, właśnie podziwiałem, jak to kobiety mają szósty zmysł oryentowania się w nowej sytuacyi. Niechby mnie kto wpuścił pierwszy raz do obcego mieszkania i kazał przyrządzić nietylko herbatę, ale szklankę wody z cukrem, tobym głowę stracił.

— Zaraz panu pokażę, że to nie trudno i nie moja to zasługa. Proszę patrzeć, co to za wzorowy porządek i ułatwienie na każdym kroku; przy każdym kluczyku karteczka z objaśnieniem, co otwiera;

przy każdej półce szafy spis przedmiotów, które się na niej znajdują; szafa spiżarniana, jak apteka cała w szufladkach, a każda szufladka z napisem. Widzi pan, chybabym analfabetką była, ażebym się tu znalazła w kłopocie. A co za obfitość wszystkiego w tem kawalerskiem mieszkaniu: jest wszystko, począwszy od chleba, skończywszy na konserwach i słodyczach. Moglibyśmy tu wytrzymać długie oblężenie i nie schudnąć! Niech się pan, panie Wacławie, uczy od przyjaciela, jak się *ekwipować* należy, puszczając się na te *rozbujałe flukty* małżeńskiego pożycia.

— Prawda! Ej, mości kawalerze, tu i gospodynie zawołane wiele od ciebie nauczyćby się mogły! Nigdybym ciebie nie podejrzewał o taką zapobiegliwość i taką umiejętność? No, już o Kaziu nikt nie powie, żeś się dla *wiktu i opierunku* ożenił, bo przy takich zdolnościach gospodarskich, mógłbyś się wcale nie żenić!— śmiał się pan Wacław.

— Jeśli tylko ta gospodarność ma mnie od zarzutu uwolnić — zawołał Kazimierz

śmiejąc się i spoglądając z miłością na Marynię, to może lepiej nie zdradzać tajemnicy?...

— A, ślicznie! przywłaszczać sobie cudzą zasługę! Proszę zaraz mówić, bo ja powiem—zagroziła Marynia.

— Już lepiej powiem sam, choć szkoda! To tak przyjemnie być chwalonym. I co dziwnego, że ludzie lubią się ubierać w cudze pióra, gdy nie mają własnych?— zawołał Kazimierz.

— No, gadajże,—napędzał Wacław,— bo pomyślę, że tu była jakaś podejrzana lokatorka, która zostawiła po sobie, wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy, taką dobrą pamiątkę,

— Owoż, aby przerwać wybryki twojej domyślności—tu Kazimierz karcąco spojrzał na Wacława, pokazując mu oczyma na zmięszaną Marynię—powiem moją tajemnicę; — Poczciwa pani F., widząc, że nie mam matki ani siostry, któreby mi pomogły godnie przyjąć u siebie mego najdroższego gościa, ofiarowała mi swoją pomoc i znajomość rzeczy i w sekrecie przed Marynią przychodziła tu ostatniemi

czasy codziennie, zaopatrywać moją chatę na przyjęcie mojej królowej.

Naturalnie rozpływałem się w dziękczynieniach mojej dobrodziejce i zdawało mi się, że nie mogła mnie niczem więcej, niż tem, ująć—a jednak ujęła jeszcze więcej, kiedy na to moje podziękowanie, oblała mnie zimną wodą, mówiąc:

— Kochany panie, bardzo go cenię i lubię i życzę mu szczęścia—ale Maryni więcej. Pan z nią i tak będzie szczęśliwy, bo to skarb. Ale dla kobiety pierwsze wrażenia w mężowskim domu zostawiają ślad na całe życie; niechże i w drobiazgach będą miłe. Niech ona dozna wrażenia, że tu ktoś o niej myślał, nie, aby ją posiąść czemprędzej, ale aby jej to przyszłe królestwo, dom rodzinny, uczynić miłym i wygodnym. Serce można okazać w najprozaiczniejszych rzeczach nawet.

— Ale mi przykro, że te dobre wrażenia, jeśli będą, nie są moją zasługą — nie ja w oczach Maryni co za to zyskam, czyż nie tak, najdroższa?—zapytał całując ręce żony

— Nie tak — odpowiedziała rozczulo-

na—bo serce i dobrą chęć dał pan, a Pani F. wykonanie, panu się więc należy moja wdzięczność...

— A ślicznie się objawia ta wdzięczność? pan, pana, panu! przez wszystkie przypadki! Jezus, Marya! cóż to za szkaradne małżeństwo! Wy się chyba nienawidzicie, moi państwo, bo kochania z tej etykiety trudno się domyśleć. Jeśli Kaziowi przypisuje pani zasługę, to proszę go zaraz nagrodzić, t. j. natychmiast go pocałować i nazywać po imieniu!

I pan Wacław miał minę, jak gdyby chciał *par force* rzucić Marynię w objęcia męża.

— Jakto, tak publicznie mamy się całować, jak na popis? — zawołała przestraszona Marynia, kiedy Kazimierz bardzo skwapliwie dopominał się o wykonanie projektu.

— Cóż to za publiczność, ja? ja zresztą mogę zamknąć oczy, jeśli tak owo *premier pas vous coûte.*

— Otóż wcale to nie jest: *le premier pas* — odezwala się przekornie Marynia. Niech pan nie myśli, że zrobiłeś jakiś wy-

nalazek. Pocałowaliśmy się na samym progu domu, wchodząc tu po raz pierwszy, dziś po ślubie — na dobrą wróżbę.

— Ech, proszę pani! Ten wynalazek nie ja, ale Adam i Ewa już w raju zrobili. Jaka z tego wróżba, nie wiem, ale to wiem, że wszystkie żydziaki z tej ulicy, które naturalnie śledziły państwa młodych, jako rzadki ewenement, miały spektakl waszym kosztem. No, więc już jesteście zhańbieni, boście się całowali publicznie.

— Prawda! zawołali oboje, spojrzawszy na siebie.

Ale widać Marynia nabrała odwagi, bo pierwsza pocałowała męża, mówiąc ze śmiechem, że nic nie mają do stracenia.

Pan Kazimierz, uradowany z przełamania lodów, nie poprzestał na jednym pocałunku, aż Wacław musiał interweniować, prosząc go żartobliwie, aby szanował jego kawalerskie serce i nie wzniecał w niem pożaru zazdrości.

Wśród wesołego śmiechu i przekomarzania się wszystkich trojga, nagle z przedpokoju dało się słyszeć głośne brawo.

Zmieszali się na razie, a tymczasem pan Henryk wołał:

— Trafiam na prawdziwy żywy obraz, jakże więc nie mam dać brawa artystom? Ale byłoby gorzej, gdybym to nie ja trafił na tę chwilę. Drzwi wchodowe otwarte; gdyby ktoś z waszych sąsiadów *minorum gentium* zauważył to, mógłby zabrać wszystko z mieszkania, a przynajmniej z przedpokoju i anibyście wiedzieli.

— To chyba Marynia otwierała ostatnia, bo ja mam zwyczaj drzwi zamykać — odezwał się doktór.

— O, przepraszam, nie ja otwierałam p. Wacławowi, a przecież po nim nikt temi drzwiami nie wchodził — protestowała Marynia, wymijając zwrócenie się wprost do męża, aby uniknąć mówieniat: ty.

— Otóż i mamy sprzeczkę małżeńską № 1-wszy — wołał p. Wacław. Wszystko jest w porządku, ponieważ państwo młodzi już się zdążyli pokłócić.

— O tyle w porządku, że mam pretekst ją przepraszać za niesłuszne posądzenie — zawołał p. Kazimierz i na nowo opanował ręce żony.

— Ale dlaczego tylko sam przyszedłeś, Henryku? Gdzież bratowa z Zosią, może nie przyjdą?—pytała Marynia.

— I owszem, ale coś tam jeszcze porządkują i uznały, że im zawadzam, więc wyszedłem wcześniej.

— Ach, prawda—zawołała Marynia.— Podczas, kiedy ja się tu tylko *bawię w gospodarstwo*, kochana bratowa ma tyle zajęcia z mojej przyczyny. Bo to tam po naszym obiedzie, jak po Tatarach być musi. Trzebaż wszystkie utensylia policzyć i pooddawać właścicielom, bo służba najęta. Słowem mam wyrzuty sumienia, że nadużywam dobroci twojej poczciwej żony, mój braciszku. Cała moja pociecha, że mam nadzieję odsłużyć to na weselu Zosi.

Na te słowa pan Wacław niewiadomo dlaczego zmięszał się, jak również niewiadomo dlaczego pocałował Marynię w rękę. Trochę się wszyscy zdziwili, ale zapewne przypisali to temu wylewowi czułości, na który trafił p. Henryk.

Marynia tymczasem wstała, mówiąc:

— Bawcie się panowie sami, ja dopilnuję samowaru.

— O nic z tego! nie puścimy pani stąd — sprzeciwiał się pan Wacław. — Tam przecie musi być służba w kuchni.

— Służba! *quel grand mot* — roześmiała się Marynia — Jak to zaraz znać wieśniaka i posiadacza nieruchomości? Żona „bez posagu" nie ma prawa na zbytki, prawda, Henryku?

— Nie mam wyobrażenia, bom się ożenił z posażną panną — odparł pan Henryk poważnie.

Tu już Marynia, którą tymczasem mąż zatrzymał, rozkrzyżowawszy ręce we drzwiach i grożąc całusami, gdyby chciała wejść przebojem, zdziwiona spojrzała na brata. Umyślnie chciała go wyciągnąć na rozmowę, aby pokonać z jego pomocą pana Wacława, a ten sprzymierzeniec...

— Nie, ty żartujesz — mówiła. Ja myślałam, że pomożesz mi zwalczyć uprzedzenie pana Wacława do ubogich panien. Oto pan przypuszcza — objaśniała brata — że jeszcze doktorom, adwokatom i t. p. wolnym profesyom wolno się obarczać taką kulą u nogi, jak żona bez posagu; ale rolnik, a już tembardziej właściciel

ziemski pod gardłem nie ma prawa popełnić tego grzechu. Ty jesteś i rolnikiem i właścicielem zadłużonego ongi doszczętnie Krukowa, i mąż najlepszej w świecie ubogiej panny, powinieneś nawrócić tego bluźniercę.

— Ba, ale cóż zrobić, kiedy ja wziąłem czterdzieści tysięcy rubli z górą za żoną — upewniał p. Henryk.

— Chyba jaka świeża sukcesya na was spadła, bo o tem nie słyszałam. Powiedz prawdę Henryku!

Pan Wacław już się uśmiechał tryumfująco nad zakłopotaną miną Maryni — tymczasem pan Henryk zwrócił się do niego i doktora.

Jak te kobiety do matematyki głowy nie mają! A czyż to, mościa pani — obrócił się do Maryni — ten kto odcina kupony, nie domyśla się, ze posiada kapitał? Ja zaś pobieram od kapitału mojej magnifiki następujący procent. I rozstawiwszy palce lewej ręki, zaginał je kolejno prawą:

Nauczycielka Zosi kosztowałaby z utrzymaniem minimum rocznie . . . . . 600 rub.

Pisarz i rachmistrz, bez którego nie podobna się obejść, samemu cały dzień ekonomując . . . 200 rub.

Doktór i apteka dla domowych i czeladzi . . . . . 100 „

Kucharz, lokaj, klucznica — odtrąciwszy koszt dwóch dziewczyn, które ich zastępują z tym samym skutkiem, co dawniej cała armia — znowu najmniej . . . 300 „

Utrzymanie koni cugowych, stangreta, ekwipaży, uprzęży . . . 600 „

Jazdy na bale, wizyty, do wód i inne wymagające *wyrwigrosze*, co wszystkie kobiety naszej sfery robią z próżniactwa — najmniej . 400 „

Mam nadzieję, Maryniu, że znasz regułę procentów i wiesz, że ja się nawet do całego posagu nie przyznałem; a iluż pozycyi nie policzyłem wcale. Co Kruków wart jest dziś — zawdzięcza w większej części jej.

— Tak, to co innego! — zawołała uradowana Marynia. — Chciałam, abyś na własnym przykładzie przekonał pana Wa-

cława, że nie jest to posagiem zawsze, co się tak nazywa.

— Często nawet odwrotnie: co się tak nazywa — jest ciężarem tylko.

— Teoretycznie też uznaje się za nawróconego—powiedział Wacław z uśmiechem, ale chyba jeszcze, jak zwykle katechumenów w nowej wierze, należałoby mnie ugruntować w tem wyznaniu, zapomocą obcowania wśród wyznawców. Więc pozostaje mi tylko prosić pana dobrodzieja o pozwolenie odwiedzenia Krukowa, jako takiej instytucyi *modèle*, jakiej przypuszczam w kraju drugiej niema!

— Żartuje pan sobie z naszej teoryi, a to pięknie! Otóż jako karę za żart, z tak poważnej rzeczy, musi pan teraz zobaczyć teoryę z praktyką i z wyznawcy zostać męczennikiem! Trafił frant na franta! Biorę tę propozycyę na seryo i trzymam pana za słowo, a bardzo usilnie zapraszam do Krukowa. Moje panie powtórzą prośbę i byłby pan już niegrzeczny, gdybyś nas nie odwiedził.

Pan Wacław uścisnął serdecznie podaną sobie rękę, powiedział, że będzie bar-

dzo rad korzystać z zaproszenia, w duszy zaś dziwił się własnemu powodzeniu. Zdawało mu się, że nadzwyczaj dyplomatycznie skorzystał z pretekstu, aby się zaprosić do rodziców Zosi i że nikt nie zrozumiał prawdziwej jego intencyi.

Ale ranoby ten musiał wstać, ktoby chciał oszukać kobiecą przebiegłość. Pan Henryk i Kazimierz ani się domyślali, że projekt odwiedzenia Litwy przez Wacława nie był tak na poczekaniu, bez planu ułożony i żartowali z Wacława, że się złapał we własne sidła. Ale Marynia, która wiedziała, jak trawa rośnie, odgadła ten manewr i uśmiechnęła się do siebie.

Wkrótce nadeszła reszta towarzystwa, rozmawiano wesoło; Marynia pokazywała bratowej i Zosi całe mieszkanie, wszystkie skarby swego nowego gospodarstwa, co chwila dziękując gorąco pani F. za tyle delikatnej pamięci o najmniejszych drobiazgach domowych. Zwiedzono kuchnię, gdzie robiła honory służąca, dobra znajoma Maryni bo również przez panią F. ustąpiona młodej gosposi. Zastano panów rozmawiających w salonie *de publicis*. Potem

mówiono o zamierzonej wycieczce pana Wacława. Pani Henrykowa prosiła, aby to miało miejsce na Wielkanoc, bo i pora ładna i czasu dosyć i każda gospodyni przygotowana na przyjęcie gości, bodaj najgłodniejszych. Państwo Kazimierzowie też obiecali się na Wielkanoc do braterstwa.

Pan Henryk już zaczął wyprowadzać horoskopy dla Wacława:

— Ot, zobaczysz pan, że go ożenimy na Litwie. Może to przeznaczenie chciało, abyś pan poznał nas, a przez nas Litwę. Musi pan znać starą piosnkę „Kwiatki nasze" która jest jak „Pieśń o ziemi" w skróceniu. Tam się mówi:

Jeśliś dotąd żadnej serca
Nie poślubił u kobierca
A ożenić chcesz statecznie
To na Litwę jedź koniecznie.

— Musiały oddawna Wołyń i Litwa szukać wzajem u siebie jakich gotowych do porwania Sabinek, — odpowiedział na to pan Wacław — kiedy piosnka wołyńska dotąd po weselach śpiewana, brzmi:

Najichała do nas Lytwa
Bude meź nami bytwa
Budemo wojowaty
Parasi ne dawaty.

— Oto, tembardziej, kiedy Litwini odegrali rolę Rzymian wśród Wołynianek — Sabinek, prowincyonalny patryotyzm powinien pana skłonić do zemsty i porwania nam jakiej Litwinki, śmiał się p. Henryk.

— Pan konsyliarz już pomścił skrzywdzone Wołynianki, a porwał taką, że Litwini powinni przywdziać żałobę, — odezwała się p. F.

— Wolałbym nie przez zemstę szukać żony na Litwie, bo również pamiętam, że Litwina, a więc i Litwinkę „kiedy kto zahaczy, to i w grobie nie przebaczy". Ładna perspektywa małżeńskiego pożycia! — śmiał się Wacław.

— Ma pan słuszność, — niespodzianie odezwała się Zosia. — Mnie zawsze irytuje legenda o Sabinkach, jak mało musiały mieć ambicyi. Myślę, że żadna Litwinka nic podobnegoby nie zrobiła. Sądzę po sobie, a jestem przecież czystej krwi Litwinką!

— O, jaka nasza Zosia zawzięta! – zawołała Marynia. — Cóżby się stało z ideą chrześciańską, gdyby wszyscy tak pamiętali urazy.

— Widocznie, dziesięciu wieków potrzeba, aby chrześciaństwo przeszło w krew i kości. Litwini, jako najmłodsi synowie kościoła, mają w głębi odrobinę pogańskiego ducha. A ja, doprawdy, sobie tego nawet za złe nie mam; sądzę, że w codziennem życiu zawziętość nic nie szkodzi, — dowodziła Zosia.

— Jak to źle, jak dawne zwyczaje wychodzą z użycia — zawołał p. Henryk śmiejąc się i z milością patrząc na córeczkę—Dawniej mawiano: dzieci i ryby głosu nie mają! a teraz oto mój pędrak o polityce będzie rezonował? Zośko, co też p. Wacław sobie pomyśli nie już o tobie, ale o rodzicach, którzy cię tak liberalnie wychowali.

Zosia zrobiła minkę, o której można było wnosić, że opinja człowieka, który zgani to, co *liberalne*, mało ją obchodzi. Ale pan Wacław był w fazie, kiedy zmysł krytyczny znika u mężczyzny, aby wrócić—aż po

ślubie! Ani myślał ganić cokolwiek, co tyczyło Zosi. Mogła teraz mówić niedorzeczności, a popełniać zbrodnie, a wszystko byłby uznał mądrem, ślicznem, pełnem wdzięku! Szczęście, że kobiety dowiadują się o tem również dopiero po ślubie; do tego czasu biorąc za dobrą monetę ową zgodność przedślubną marzeń, ideałów, przekonań!..

Wolno przypuszczać ludziom doświadczonym, że pan Wacław po kilkoletniem pożyciu z Zosią — żoną, powiedziałby jej: moja droga, właściwiej byłoby ci decydować o wpływie na życie polityczne przypalonych kotletów — inne kwestye zostaw *nam!*... Ale teraz na minkę Zosi pan Wacław odpowiedział pełnem zachwytu spojrzeniem i bardzo wymownym *speechem*, że kobiety wcześniej dojrzewają umysłowo, że podlotki, to nie dzieci, ale młode kobiety, przyszłe kapłanki domowych ognisk, a jak u nas wyjątkowo, to i przyszłe kresowe niewiasty, mające wybitny wpływ na społeczeństwo i t. d., słowem pełno rzeczy, których słuchając Zosia rosła w duszy, a myślała: ach, jak on ma zgodne ze mną

przekonania, jak on wysoko stawia kobietę, nie tak jak inni... Jak to dobrze, że on przyjedzie na święta, bo i Romanek będzie się z nim doskonale zgadzał.

— To też kiedy nazajutrz przy pożegnaniu na dworcu, pan Wacław dłużej, niż było koniecznie potrzeba żegnał się z Zosią, ona z całą naiwnością wiejskiej, gościnnej panienki przypominała mu sama, że święta za dwa miesiące i że będą oboje z Romankiem niecierpliwie wyglądali w Krukowie.

A panu Wacławowi zrobiło się dziwnie markotno po odejściu tego pociągu. Chętnieby go był dogonił i zamiast do Wierzbówki, pędził do Krukowa, ale tymczasem pociąg oddalał się, pan Wacław patrzył na białawy kłaczek dymu, widny jeszcze zdaleka i myślał: jak ja potrafię wytrzymać bez niej te dwa miesiące, toć wprost niepodobieństwo!

Rzeczywistość jednak kazała zacząć od wynudzenia się przez sześć godzin w miasteczku, zanim pociąg następny odejdzie; od pożegnania jeszcze doktorstwa, którzy doskonale udawali, że nie widzą zgnębionej miny pana Wacława. Tylko na poże-

gnanie pan Kazimierz, ściskając przyjaciela, zawołał:

— A pisz, Waciu, pamiętaj o starym przyjacielu i nowej przyjaciółce. Tylko ty, zdaje się, maniaku, wolisz ziemię, niż ludzi na niej, co?

Pan Wacław machnął ręką, jakby jechał na wygnanie, podziękował za przyjaźń i smutny odjechał do domu.

— O, moja żoneczka ma dobre oczko— mówił potem pan Kazimierz do Maryni.— Tylko ty to tak lekko traktujesz, a ja się martwię, bo on na dobre zakochany w Zosi.

— A cóż to martwiącego? Zosia będzie bardzo odpowiednia na żonę dla niego.

— Będzie! ale kiedy? toć to dziecko jeszcze. Henrykowa nie wyda córki w tym wieku — i słusznie.

Marynia na to odrzekła:

— Pan Wacław poczeka, jeśli ją pokochał prawdziwie. Dawniej narzeczeni czekali nieraz na siebie po kilka lat i dobrze było, bo mieli czas dobrze się poznać!

— Et, jak się kocha, to jakby się od wieków znało. A zawsze czekać nie miło. Nie chciałbym być w tej pozycyi.

— A przecie i my się od dwóch lat znamy, a czyby nam lepiej było pobrać się od razu?

— Naturalnie! Ja uważam, że zmarnowałem dwa lata życia, a życie za krótkie jest, aby sobie ujmować lat szczęścia.

— Jeżeli szczęścia! Ja tych lat nie żałuję! Słusznie Sienkiewicz gdzieś powiedział, że *lubić* kochając — to dopiero doskonała miłość, a *lubienie* może nastąpić tylko po dobrem poznaniu! My zaś mieliśmy czas przez dwa lata polubić się, nieprawdaż? — dodała Marynia, uśmiechając się zalotnie.

— Łatwo się domyśleć, co odpowiedział pan Kazimierz.

Pan Wacław wrócił do Wierzbówki w fatalnem usposobieniu. Nigdy w życiu doba nie wydała mu się tak długą, jak ta pierwsza po rozstaniu się z Zosią. I jak pomyślał, że pięćdziesiąt ośm takich potwornie długich dni musi jeszcze przetrwać, nim ją znów zobaczy, wpadał w desperacyę. Złościł się na siebie, że się zgodził na ten termin. Przywykł uważać czas między

karnawałem a Wielkanocą za krótki — teraz wydało mu się, że to całe wieki.

Panna Zuzanna przy powitanin bratanka bacznie śledziła, czy nie wyczyta z twarzy pożądanej nowiny, że: pojechał, zobaczył i zwyciężył! Poczciwa ciotka przy każdym wyjeździe Wacława żegnała go swoim krzyżykiem i w myśli życzyła, aby wrócił z drogi z jakim matrymonialnym projektem. Choćby to była zwykła przejażdżka do powiatowego miasteczka w interesie, panna Zuzanna nie traciła nadziei, że po za domem spotka Wacia jakaś przygoda, z której wyniknie miłość, małżeństwo i poprawa interesów. Tym razem bardziej niż kiedy liczyła na szczęśliwy przypadek, a nawet Opatrzność i nawet na tę intencyę rozpoczęła nowennę.

Tymczasem humor Wacia przy powitaniu nie wróżył nic dobrego. Zwykle wracaj zły z każdej takiej wycieczki, na którą ona najwięcej liczyła, a teraz był i zły, i roztargniony, i jakiś inny, niż zwykle.

Panna Zuzanna poszła podzielić się swem zmartwieniem z bratem, ale stryj Michał, jakkolwiek równie pragnął widzieć

Wacława żonatym i z pod oka tak samo obserwował jego przyjazdy i wyjazdy, miał sobie za punkt honoru mieć zawsze inne zdanie, niż *baby*, i niezadowolenie swoje z rezultatu podróży Wacia nie omieszkał spędzić na siostrze, fukając na nią:

— Wielkie nieszczęście! o jedną babę będzie mniej w domu! Ma rozum Wacio, po co jemu ten kłopot? Wam, babom, zdaje się, żeście na coś potrzebne — a tymczasem historya świadczy, że wszyscy wielcy ludzie nie byli żonaci!

— Cóż ty pleciesz, Michasiu—oburzała się panna Zuzanna, ale przywykła wierzyć w erudycyę brata, bała się z nim dysputować o historyi.—Przynajmniej przy Waciu nie wygłaszaj takich teoryj, bo mu do reszty przewrócisz w głowie.

I pewno, że przy Waciu nie wystąpiłby stryj z taką perorą, aby się nie skompromitować wynalezioną naprędce bajeczką o celibacie wielkich ludzi, ale na złość siostrze, utrzymywał że mu powie i to i tysiące innych rzeczy, mających mu do reszty obrzydzić stan małżeński.

Ani się domyślali staruszkowie, jak dalece życzenia Wacia zgodne były z ich życzeniami. Mniemany wróg żeniaczki chodził teraz po folwarku, odwiedzając niewidziane przez dni kilka gospodarstwo, słuchał ale nie słyszał relacyi ekonoma, bo ciągle miał w oczach obraz Zosi, chodzącej z nim razem, pomagającej mu w gospodarstwie, patrzącej temi ślicznemi, naiwnemi oczyma.

— Jabym tu cuda z Wierzbówki zrobił, żebym miał Zosię na pociechę — a tak ja tu sam nie wytrzymam! Jak ja mogłem dotąd żyć takiem życiem z dnia na dzień? Teraz czuję się na siłach, góry przenosić, pracować jak Syzyf, ale żeby na to oczy jej patrzyły!

Gdzieś mu pierzchły z myśli i bank na Wierzbówce i dłużnicy prywatni i obowiązki dla stryja i ciotki. Wszystkie te dawne zmory wydawały mu się strachami na wróble. Zdawało mu się, że odmłodniał, że ma siły nadludzkie, że pracą rąk własnych pokonałby wszelkie trudności swego położenia. Jednego nie mógł dokonać; pogo-

dzić się z myślą, że Zosi nie zobaczy całe dwa miesiące.

Potem marzył, jak już ta szczęśliwa chwila nadejdzie, a będzie mógł do Krukowa pojechać!... Ale czy ona o nim myśli, czy on potrafi zdobyć jej serce?... a gdyby—co rodzice powiedzą? oni ją uważają za dziecko i nie zechcą wydać za mąż tak młodo.

Biedny Wacław chciałby, aby go ktoś pocieszył; a cioci i stryjowi nie sposób było zwierzyć się, bo pozornie małżeństwo z Zosią było niepodobieństwem przy stanie interesów wierzbowieckich.

Ileż to razy roztrząsali starzy, jaka być powinna przyszła żona Wacława? Zosia nie posiadała tych kwalifikacyi. On sam miesiąc temu byłby tak utrzymywał. Tak, póki jej nie poznał! Ale teraz niech się co chce dzieje! niema Wierzbówek, niema ciotek, niema dłużników, niema idei: „dla świętej ziemi“—tylko jest Zosia.

W kilka dni pan Kazimierz otrzymał list od przyjaciela i razem z Marynią,domyśla-

jąc się przyczyny tego pośpiechu w korespondencyi, czytali co następuje:

„Kaziu! powiedz żonie swojej, że zwyciężyła. Uznaje się za pobitego! Wszystko, com kiedykolwiek myślał i mówił o małżeństwie niema sensu.

„Oto pokonany wzywam litości zwycięzcy i błagam o pomoc: zakochałem się, jak waryat i niepotrafię żyć bez Zosi! Zmiłujcie się, poradźcie — co mam zrobić, aby mnie z Krukowa nie wypędzili, jak tam wcześniej pojadę. A do świąt nie doczekam, bo nie mogę!

„Dla was to jakieś kilka dni upłynęło od waszego ślubu — dla mnie, to całe lata! To też na przetrwanie tak kilku tygodni nie mam odwagi. Ratuj, Kaziu, ty będziesz sobie miał do wyrzucenia, gdy zwaryuję. Czekam Twojej odpowiedzi jaknajprędzej, Ściskam dłoń Twoją, a pani Maryi rączki całuję i o protekcyę błagam. Wacław.

Wierzbówka 25 Lutego 1897 r.

„Kochany waryacie! nie spodziewałem się, żeś taki zapalny. Myślałem, że kto

przekroczył trzydziestkę, obliczając z zimną krwią passywa i aktywa kandydatek do stanu małżeńskiego — nie zakocha się, jak student, od pierwszego wejrzenia i to w podlotku!

„No, ale stało się! A choć mi cię szczerze żal, niewiele ci poradzę.“ Z gwałtowności twoich wybuchów wnoszę że chciałbyś się zaraz żenić; tymczasem, jakkolwiek tobie się zdaje, że od rozstania z *nią* upłynęły lata, to niestety tych lat do metryki Zosi nie przybyło.

„Nie zapominaj, że to dziecko, a ma rozsądnych rodziców, którzy jej tak wcześnie nie mogą wydać za mąż. Pani Henrykowa, tembardziej, jako lekarka nie popełniłaby tej nieostrożności.

„Miej więc, mój drogi, charakter; kochaj się sobie w Zosi, ile chcesz, ale do Krukowa nie leć, bo tylko popsułbyś swoją sprawę. Zająwszy się gospodarstwem, potrafisz przebyć te kilka tygodni; a w święta już jakoś przygotujemy ci przychylnie umysły rodziców, aby ci pozwolili bywać i poczekać, aż Zosia dorośnie. Zaczynamy od dziś prowadzić twoją sprawę, bo

Marynia pisząc do braterstwa, umieszcza w liście, zdaje się, że *à propos de bottes*, twoje wielkie pochwały.

„Tylko się przygotuj, że ci nie pozwolą mówić Zosi o kochaniu i długo jeszcze czekać każą. Marynia zna poglądy braterstwa na tę kwestyę i radzi ci nie zdradzać takiej gwałtowności uczuć, bo tam na *coup de foudre* bardzo nieprzychylnie patrzą.

„Bądź zdrów! zaprzęgnij się do pracy, upiększaj gniazdko dla ptaszka, a ptaszek nie ucieknie. Nikt ci jej nie zabierze przecie, bo u nas dzieci za mąż nie wychodzą.

„Marynia tryumfuje nad tobą, ale żartuje z twoich uniesień! Cierpliwości! kochany Waciu. Do świąt żadnej pomocy ci nie udzielimy, bo to wygląda na słomiany ogień.

„Ściskam cię serdecznie, Marynia ci się kłania. *Żytomierz 28 Lutego 1899 r.*

Kazimierz.

Wierzbówka 4-go marca.

„Czasem to dobrze być w gorącej wodzie kąpanym, widzisz mój Kaziu!

„Nie doczekałem się twojej epistoły i dobrze zrobiłem, bo możebym się dał

oblać tą zimną wodą i cierpiał dalsze męki—a tymczasem jestem najszczęśliwszym zludzi.

„Nie umiałem być tak rozsądnym, jak mi każesz i na trzeci dzień po wysłaniu listu do ciebie, już byłem w drodze do Krukowa. Jechałem z takim strachem, jak niegdyś na egzamina z greki w szkołach. Marzyłem tylko, aby nie zastać pań, tylko samego pana Henryka. Miałem przeczucie, że on mnie łatwiej zrozumie i poprze.

„Powiedziałem mu też na wstępie, co mnie przygnało i zdałem na łaskę i niełaskę.

„Panie były w sąsiedztwie, więc bez nich miał czas pan Henryk odbyć strasznie dokładny egzamin. Ale zabawna rzecz, że byłem mu zań wdzięczny — bo wiedząc, że to przez troskliwość o Zosię, nie obrażałem się — przeciwnie, znajdowałem, że jabym był jeszcze bardziej wymagający, gdyby o Zosię chodziło — a raczej wcalebym jej nikomu nie dał i basta!

„Otóż i pan Henryk chciał wiedzieć, com zacz pod każdym względem.

„Tymczasem nadjechały panie. Co się ze mną wtedy działo? Ja śledziłem wyraz twarzy Zosi na mój niespodziany widok. A nietylko ja, ale i pan Henryk, który chciał sobie widać z tego utworzyć podstawę postępowania i matka, która zaraz odgadła przyczynę mego pośpiechu i śledziła wrażenia Zosi.

„A Zosia? zarumieniła się i otwarcie objawiła radość. Małom jej do nóg nie upadł!

„Ale co to za aniołek dobroci? W tej chwili zaczęła myśleć o drugich i zawołała: „O, mamo! może co złego u cioci Maryni, że pan przyjechał?“— I zaraz się zasmuciła.

„Skorzystali z tego rodzice, aby wszystkich wyprowadzić z kłopotliwego położenia, bo myśmy byli zmieszani, jak spiskowcy, przed Zosią. Zaczęli żartować z Zosi, że niezna geografii, ani fizyki, że sądzi iż koleje szybciej wożą ludzi, niż telegraf wiadomości. Tym sposobem zakłopotali Zosię i moja osoba, jak kontrabanda, przeszwarcowała się bez tłómaczenia się z pośpiechu.

„Gawędziliśmy o was, potem Zosia mi grała (a gra ślicznie), ja patrzałem na nią, jak na obrazek, a rodzice odbyli widocznie walną naradę, bo wieczorem przy Zosi zarumienionej i zawstydzonej, ale nie zagniewanej na mnie, ogłoszono wyrok, którego treścią z wami się dzielę:

„Jestem uznany za starającego się o rękę Zosi—mam prawo bywać w Krukowie i korespondować z Zosią; po roku, jeśli Zosia mnie zechce, zostanę jej narzeczonym — niestety rok jeszcze.

„Dawniej byłbym krzyczał w niebogłosy na to *terminatorstwo*. Teraz jestem szczęśliwy, że mam prawo jej się zasługiwać i czekać na nią. Ona zaś mówi mi, że choć wszyscy uważają ją za dziecko, to ona wie dobrze, że i po dwóch latach powie mi to samo, co mówi teraz, że mnie *bardzo lubi*. Ale uśmiecha się tak figlarnie mówiąc to, że pozwala mi myśleć o kochaniu.

„I cóż ci więcej napiszę? W domu na razie było trochę rozczarowania, jakem powiedział o swojem szczęściu, Ciocia zasępiona kiwała głową, stryj wzruszał ramio-

nami na wiek Zosi, ale ze złością mruczał: et, co tam, każda baba całe życie małoletnia! Oboje martwili się czekaniem dwa lata, mówiąc, że już pewnie nie dożyją tego. Ale teraz, widząc moje ożywienie, radość, starzy się rozrzewniają i mówią: Chwała Bogu! A ciocia przypisuje wszystko sobie, a raczej swojej skutecznej nowennie.

„Ja zaś zmieniłem się, jakby nowy duch we mnie wstąpił; nic mi się nie wydaje niemożliwem, a nawet trudnem; cały świat i ludzie w dobrem świetle; pracuję zawzięcie, jak prosty wyrobnik, aby czas skrócić i aby wszystko to, co dla Zosi, dla ozdoby Wierzbówki przygotowuję, było zrobione moją własną ręką.

„Spodziewam się sprezentować jej to latem, bo ciocia ze stryjem wybierają się, jak się ociepli, do Krukowa — a zatem i państwo Henrykostwo może nas odwiedzą potem.

„Pisuję codzień do Zosi rodzaj dziennika. Będzie wiedziała o każdym moim kroku i znała każdą moją myśl. Od niej listu spodziewam się lada dzień.

„Cóż wy na to, moi drodzy wujostwo *in spe?* Widzicie, jak to dobrze, żem się pospieszył! Cieszcie się moją radością; jeśliście mi życzliwi i oby wyznanie pani Maryi miało jaknajwięcej nawróconych, tak wdzięcznych swoim apostołom, jak niżej podpisany

Wacław.

— Cóż na to kochana swatka?— skończywszy czytać, spytał żony pan Kazimierz.

— Mogę w tryumfie zawołać: „Wiwat panny bez posagu.“

Doktór objawił zgodę swoją na to hasło, całując żonę *comme de raison.* A Marynia zachęcona powodzeniem, już układała w myśli plany nowych swatów.

DWIE ROZMOWY.

— Niech wielmożny Pan poczeka mi chociaż dwie niedziele, mój panie złocisty! Na jarmark powiozę świniaka i co do grosza wypłacę — a przez jarmarku nijakiej ceny kiełbaśnik nie daje, nie starczy mi na ratę. Aby ino te dwie niedziele, panie wielmożny!...

— Nie mogę, mój kochany. Toć ne moja ziemia. Dziedzic przypomina listami, depeszami, nie mam prawa wam folgować od terminu, kiedy on tam ma też może jaki termin...

— Jużci ja wiem, że jaśnie dziedzic ma prawo żądać na termin, aleć taki wielki pan to bez dwie niedziele nie zbiednieje, a człowiekowi nizkąd wziąć taki kawał grosza w tę porę.

— Cóż robić, ja nie mogę czekać! Mam rozkaz wszystkich, którzy w terminie nie

zapłacą, podać do sądu o skasowanie kontraktu i wysiedlenie z ziemi. Żal mi was— ale to nie moje. Na święty Jan rata być musi.

— O Jezu! Jakże tak zaraz kontrakt łamać? Tam nasza praca, zasiewy, kartofle, cała nadzieja... Pan tego nie zrobi!

— Powtarzam wam, że to nie moje. Nie mam prawa czekać...

Biedak drapał się za uchem, odchodził na bok niechętnie, jakby w przekonaniu, że gdyby tylko miał dosyć czasu *pomolestować pana „rządcego"* toby się ten przecież zlitował. Ale inni podchodzili kolejno. Wyciągali skórzane kapciuchy, służące często do tytuniu, a bardzo rzadko do pieniędzy, pracowicie rozwiązywali rzemyki, co niesporo szło, bo rzemyk był cienki, a palce grube, stwardniałe od pracy; z głębi kapciucha, mocno woniejącego domowej fabrykacyi tytoniem, dostawali starannie złożone papierki, albo złote i srebrne monety.

. . . . . .

Jest ogromna różnica w sposobie dotykania pieniędzy pańskim a chłopskim.

Pan dobywa z pugilaresu lub sakiewki banknoty lub złoto tak zgrabnie, jak kasjer, a tak lekko, szybko, obojętnie, jak przedmioty bez żadnej dla niego wartości—chłop dobywa pieniądze pomalutku, ostrożnie, pod światło, jak coś drogocennego, co może się zniszczyć dotknięciem, albo jakby się obawiał, że jeśli upuści, pieniądz wpadnie w morze, w otchłań, skąd go nie wydostanie. Dobywając banknotów i monet, ma minę, jakby się rozstawał z czemś, do czego sercem przyrósł, albo jakby rozpamiętywał historyę każdej złotówki...

Oto rubel, który dostał za odjęty od ust dzieciom, korzec kartofi; oto drugi, zarobiony furmanką... Konie nie jadały owsa i ledwie ciągnęły, podpierał też sam w miejscach cięższych naładowaną furę plecami; oto pięcioróblówka za jałoszkę—taka śliczna była cieliczka, łaskawa, miała już miesiąc, dzieci się z nią pieściły, nazywały Lalą, chciały hodować—płakały, jak żyd zabierał... a jego taki żal za

jałoszką ogarniał, że ofuknął dzieci, i dał pięścią w kark starszej dziewczynie, która za szyję cielę trzymając, nie chciała go puścić...

Oto znów trzy ruble samemi czterdziestkami: to żona nosiła masło na sprzedaż do miasteczka i sprzedawała co tydzień funt po czterdzieści groszy; odkradała mleko dzieciom, aby uzbierać na odzież dla nich na zimę — dzieci na odzież poczekają — a rata nie czeka...

O tak! Każdy rubel i każda w tym rublu złotówka miały swoją historyę, ale spisaną tylko w pamięci i powierzchowności tych mrówek ludzkich; wyrytą na ich tępych twarzach, ogorzałych, spoconych, pokrytych zmarszczkami; na rękach namulonych do grubości rzemienia, na barkach szerokich i muskularnych, ale pochylonych ku tej matce ziemi, która teraz daje im jedyny zbytek: jadło, a w przyszłości obiecuje jedyną nagrodę — spoczynek!

. . . . . .

Z kilkudziesięciu przybyłych na wezwanie pana Romana Wodzińskiego, pana *rządcego*, jak go oni nazywali, czynszowników, ledwo połowa i to ze stękaniem, wzdychaniem wydobyła z głębi kapciuchów należne na termin czynsze; u kilku nawet po zapłaceniu należności zostało jeszcze coś nie coś w woreczkach i na tych z pewną zazdrością i uszanowaniem spoglądali inni. Ale z pozostałej połowy kilku przyniosło tylko część pieniędzy, prosząc o poczekanie choć tydzień lub dwa na resztę. Inni nie przynieśli nic wcale — prócz wyrzekań na biedę, głód, pracę i próśb o poczekanie do jesieni.

Pan Roman unosił się:

— Bójcie się Boga, ludzie, jakże ja mogę robić wam ulgi z cudzego. Z waszej kolonii należy się ogólnie półrocznej raty dziewięćset rubli, wyście znieśli połowę... Gdyby tak samo zrobili koloniści z Seweryнowa, Julisina i Borku, jak nadejdzie ich termin, to cóżby dziedzicowi po majątku?...

— Tamci trocha dawniej osiedziali i przyszli z zapasem, może im lżej — ale

już chyba nikomu tak nie ciężko, jak mnie, wielmożny panie — odezwał się jeden; moja działka, to szczery piach, a pniaki takie-ci okruteczne, żeśmy do cna zmarnieli nad karczunkiem — i Bóg wie, co urodzi, a zarobić na boku nie było jak, za tem karczowaniem.

— Abo-to wam tylko? a mój syn nie naderwał se ręki motyką, że musi jakieś wiązadła puściły, czy co, bo nijak nie rucha łapą, a jeść trza dać, choć nic nie robi.

— Co—ta ręka! Memu się rozum pomięszał od krudowania. Tera ni to do roboty, ni do czego i wstyd przed ludźmi z głupiego i grzech nawet podobno, ile że to od złego pochodzi — odzywa się jakaś kobieta.

— Gadacie! Jakiż grzech, kiej to od krudowania? Jużci wiadomo grzech, jak w człowieka złe wstąpi od grzesznych myśli i rozum mu pomiesza, i także samo nie przejdzie; a waszemu przejdzie, jak zimą krudowanie się skończy. Toć tej wiosny w naszej kolonii pięcioro od rozumu odeszło.

— Widać to od tego nachylania bardzo gorącość do głowy uderza, to pot na łeb występuje i razem z potem rozum wychodzi.

Rozmawiali tak przyciszonym głosem, podczas kiedy pan Roman wydawał kwity tym, którzy popłacili.

Skończywszy, znów przemówił do dłużników:

— Zostawiam wam jeszcze parę dni czasu, ale nie więcej. Wy, naprzykład, Błażeju, moglibyście zapłacić łatwiej od innych, boście zasobniejsi. Wstyd, żeście nie akuratni—wam nie będę czekał—zwrócił się do jednego młodego dosyć kolonisty.

— Toćbym nie prosił, wielmożny panie, żeby nie to nieszczęście; pieniądze mieliśmy gotowe, bom w miasteczku furmanką na dniówkę zarabiał, kiedy ociec pole krudowali...

— A cóż się stało? okradli was, czy co?

— Ot, Ten, zabrał, proszę wielmożnego, co na niego i sądu niema! Wczoraj ojca pochowałem. Rozeszło się. Wiadomo stary gospodarz, trza było uczciwie pochować.

— Cóż to ojcu było? nie stary był jesz-

cze człowiek; pamiętam, długo chorował? ratowaliście? — pytał już miękkim głosem rządca.

— Gdzie zaś? Chorować — ociec nie chorowali. Tego dnia cały dzień krudowali jeszcze pod oziminę, wiaczorem przyszli do szałasu, bo to chat, wiadomo wielmożnemu panu, jeszcze nie mamy—przyszli, powiadam, usiedli se na pieńku, sparli głowę na dłoń i mówią: „Cościk mnie zamroczyło." My powiadamy: „Może ze czczości," bo to była sobota, tośmy pościli. Aż ociec—nie tu mówiący — spadli z pieńka na ziemię i już ani słowa nie gadają. Jęlim trząść, wodą oblewać—nic nie pomaga—założyłem szkapy do wozu, odwiozłem do miasteczka do *hospitala,* bo w szałasie to nijok i chorować, choć lato; ale i dochtory nie pomogły. Na rano skończył życie, nawet już nie rozumiał księdza, jakem go sprowadził. A com jeszcze termedyi miał z pochówkiem? Powiedzieli felczery, jako broń Boże, krajali będom. Com się nie naopłacał, aby chociaż tego wstydu i obrazy boskiej nie dopuścić.

— Jużci wam poczekam, kiedy takie macie nieszczęście—mówił rządca.

— Bóg zapłać, wielmożnemu panu.

— A czy to mnie, panie wielmożny, nie bieda? Miałem parę śkapsków, com niemi zarabiał przy miasteczku, jako i Błażej— bo jużci w jeden dzień dziesięci morgów nie wykarczuje — to z czegożby człowiek żył i czynsz płacił, żeby nie zarobił tymczasem, nim ziemia zacznie karmić. A ot jedno śkapsko padło mi i teraz niemam czem robić. Ledwo jednym koniem zdrapię tę trocha ziemi, cośmy wykrudowali. Bóg widzi, że niemam ani grosza. A wyrzucą mię z gruntu? wola Boska! toć my nie zbytkujemy i radzi płacić, a jak nie ma z czego, to trzeba pofolgować. Płacimy za ziemię, a jeszcze z niej chleba nie jemy.

— Bo to powiadają: ziemia—matka— odzywa się jakiś filozof — i prawda, ale nie ziemia na karczunku, bo ta, to jak dziecko; wpierw nad nią namorduj się, doprowadź do porządku, karm i czekaj, aż ci kiedyś ona da chleb. A jak dzieci nie wszystkie udają się, tak i to nie wiesz,

czy jak wydrzesz z niej wszystkie złe karcze, urodzi ci chleba. Kto nie próbował, to nie wie, jaka to ciężka ziemia.

— Panie wielmożny—odzywa się znów inny, Błażejowi nieszczęście, bo ojcu się zmarło — prawda! Ale czyż mnie lżej, co mi krowa padła? Z tej krowy my żyli, ona mi dzieciaka karmiła—toż jak matka była dla nas, choć to niemy język...

— Przyrównaliśta! nieme stworzenie do krześcijańskiej duszy! Mnie jeszcze gorsza bieda, bo jak mi baba zległa dwa miesiące temu, tak i dotąd ani na tę, ani na tamtą stronę. Niech panu Jezusowi będzie niewymowne, alem i na litanję dwa razy i na mszę ś-tą raz dał, aby już ją pan Bóg zabrał, bo roboty z niej nie będę miał, kiedy z niej wszystka moc wyszła—a jeść trza dać i jej i dzieciakowi, co się w nim ledwie duszyczka kołacze... I ot Bóg trzyma na świecie, a ty człowiecze, choć się rozerwij—abo się zaprzedaj w niewolę za ten pieniądz, co go na gwałt potrzeba.

— Toć rzadko u którego z naszych, kto nie przechorował. Cały prawie rok biedujemy w szałasach; zimno, ciasno—ale to

jeszczeby nic, my ta się nie w pałacach rodzili—ino najgorzej, że niepoświęcony budynek, to się w nim różne choróbska trzymają. A jako-że księdza sprowadzić do szałasu, fatygować pana Boga nadaremno?

Pan rządca nie przeszkadzał wywnętrzać się biedakom; w zamyśleniu przekładał papiery i walczył między uczuciem litości dla nich i subordynacyi dla dziedzica.

W tem z przyległego pokoju głos jakiś kobiecy zawołał go po imieniu. Staruszka w ciemnej sukni i białym wiązanym pod brodą, czepeczku, czekała na niego.

— Nie gniewaj się synku, że się mięszam. To taka biedota, zaczekaj im z tą ratą. Napisz do hrabiego, tłomacząc, aby ich nie kazał procesować. On ma takie kapitały, nie zrobi mu różnicy poczekać— a pieniądze od nich, to jak z ołtarza zdjęte. Jeździłam tam do Dąbrowy szukać służącej, tom patrzeć nie mogła na tę biedę.

— Czyż ja tego nie wiem, nie widzę? Ale na wszystkie perswazye, odpowie mi

hrabia, jak kiedyś, żem sentymentalny i obrazi się, że go uczę miłosiernych uczynków, bo on choruje na działacza społecznego za pomocą robienia pieniędzy.

— Spróbuj jednak, synu, to grzech byłby nie pomódz tym biedakom. Jeszcze nikt na dobrym uczynku źle nie wyszedł; Bóg ma więcej, jak rozdał, a Jego łaska ważniejsza, niż obraza hrabiego. Zresztą, napiszesz mu tak oględnie, aby go nie urazić, ale rozczulić. Dobrze dziecko?

— Dobrze, mamo! Ale jeśli hrabia uzna, że potrzebuje we mnie wykonawcy swoich rozkazów, a nie stróża swego sumienia—i stracę miejsce? to co?

— Cóż robić! Zawsze jeszcze nie będziemy biedniejsi od tych ludzi, a i ci jakoś żyją. Byle zdrowie i czyste sumienie!

— Oj, zdaje mi się, że aby żyć, nie tylko tego trzeba — zaśmiał się pan Roman, ale jeśli mateczka gotowa biedować, to ja tembardziej.

I pocałowawszy matkę w rękę, poszedł

oznajmić kolonistom, że napisze do dziedzica, wstawiając się za nimi.

Pożegnali go błogosławieństwami.

W Warszawie, w jednym ze wspanialszych apartamentów Europejskiego hotelu toczyła się inna rozmowa.

Pięciu młodych ludzi między 25-tym a 40-tym rokiem, otaczało stojąc lub siedząc zielony stolik, na którym tymczasem wezwany garson porządkował ślady kilkogodzinnej gry.

Połamane kredki, pełne popielniczki ogarków z papierosów i cygar, zużyte karty, wypalone świece, próżne kieliszki od likierów i filiżanki z czarnej kawy usuwał zręczny sługa, stawiając natomiast wszystkie te niezbędne dla graczów przybory w odświeżonej lub nowej postaci.

Amfitrjon, młody hrabia S., zapraszał towarzyszów do dalszej gry.

— Fi done, tyleś już dziś przegrał, że doprawdy byłoby korsarstwem korzystać dłużej z twojej *deweny* — oponował pan Alfons, jeden ze zwycięzców.

— Ależ to wyborny znak! powinien nam być wdzięczny, że go ogrywamy. Prostujemy tym sposobem jego ścieżki ku pięknej Mimi.

— No, nie bardzo! — zaśmiał się znów pan Alfons—na tej ścieżce nigdy nie wadzą pełne kieszenie, a myśmy je dyablo opróżnili!

— Robicie wielkie rzeczy z marnych kilkuset rubli—ubolewacie nademną, jakbym był nędzarzem! Jak Lolo przegrał świeżo siedmdziesiąt pięć tysięcy rubli, to się też świat nie skończył, a wobec tej kwoty moja dzisiejsza przegrana — to kopiejki! Jedyne podobieństwo, że i on i ja graliśmy na kredyt...

— Dajże pokój! Co za handlowe wyrażenie!—zżymał się hrabia Tomasz, który najwięcej wygrał.

— Nazywam rzeczy po imieniu, to mój system. A ścisłość i akuratność, to mój drugi system. Nie wezmę z banku moich pieniędzy, póki mi służy honorowy termin — bo dopiero za tydzień pierwszego, a tak zwykle biorę. Telegrafowałem do

mego rządcy o przysłanie. Pieniądze będą na termin.

— O szczęśliwy człowiecze! który wierzysz w rzetelność rządców! Ja swojemu mógłbym całą elektryczność posłać—zawsze na żądanie otrzymuję dziesiątą część kwoty, którą kazałem przysłać. Dziewięć dziesiątych rozchodzi się na coś — co mi tam on stwierdza podobno rachunkami—odezwał się z ironicznem westchnieniem pan Oskar najstarszy ze zgromadzonych.

— Albo zawiele żądasz, albo cię kradną—zawyrokował hrabia S.

— A może! que sais-je? Żądam tyle, ile mi trzeba—a jak nie nadsyła mi—pożyczam. Tem gorzej dla rządcy, bo potem ma ambaras z kredytorami. A czy kradną, kto tam wie?... może...

— Przecież możesz sprawdzić rachunki?...

— Zlituj się człowieku! ależ ja do nich nigdy nie zaglądam!

— Ce serait une corvée! Każę je przysyłać, aby rządca myślał, że je sprawdzam. Ale gdzieżbym ja ślęczał nad te-

mi szpargałami! Je frissonne rien que d'y songer.

Ale wszyscy młodzi zakrzyczeli go.

Jak można w dzisiejszych czasach tak się rządzić „a l'antique". Oni mają większe dochody z dóbr, choć mniej obszernych niż jego, bo mają sprężystą administracyę.

— Albo zrób jak ja: sprzedaj. Z kapitałem łatwiejsza manipulacya — doradzał pan Leon.

— Dziękuję! A tymczasem nasi *nieprzejednani* podniosą szlachecki huczek aż miło — odpowiedział miłujący spokój pan Oskar.

— Ech głośny, ale krótkotrwały — pocieszał jego i siebie pan Leon.

— Doprawdy, oto hrabia S. się wzorowo urządził. Jego działalność dla kraju jest ogromnie dobroczynna!

Tu na wyścigi zaczęli wynosić amfitrjona.

— Trzeba będzie pomyśleć i poagitować w naszym świecie, aby jakoś uczczono jego zasługi dla społeczeństwa.

— Wielu jeździ za granicę, aby tylko

wywozić krajowe kapitały, on pojechał, ale przywiózł stamtąd doświadczenie i praktyczne pomysły.

— Prawda, prawda, skopjował arystokracyę francuską w tem, co ona ma najlepszego: w umiejętnej gospodarce.

— To ogromna zasługa dla kraju, dla społeczeństwa.

— Tak, to jest prawdziwie praca u podstaw!

Pan Oskar nie wiedział dotąd o tych zasługach towarzysza zabaw; ciekawie zaczął pytać, jak gospodaruje hrabia?

— Świetnie! znakomicie! trzeźwo! wzór nam brać— wołali goście.

— Bardzo zwyczajna rzecz — z przyzwoitą skromnością, przynoszącą zaszczyt dobroczyńcy kraju — zaczął tłómaczyć hrabia.

— Po ojcu wziąłem ogromne leśne dobra na Polesiu wołyńskiem...

— Où est-ce? pardon, że przerywam— to w Pińszczyźnie — zawołał pan Alfons, który poprzednio najgłośniej wychwalał administracyę hrabiego.

— Fi, nie znasz geografii — drwił p. Leon — ale nie informował z tej prostej przyczyny, że i sam nie wiedział, gdzie leży polesie Wołyńskie.

—Nie kształciłem się na komiwojażera, ani guwernera domowego — odciął się p. Alfons, zamykając usta Leonowi, którego matka obdarzyła ojczymem, dawnym jego guwernerem. Odtąd Leon nie znosił tego wyrazu.

— Nie, to nie w Pińszczyźnie, ciągnął dalej z pośpiechem hr. S., aby przerwać sprzeczkę. Ale, stąd licząc, po drodze do niej.

— Otóż, odziedziczyłem: lasy, piaski, parę gorzelni, błotne łąki; przestrzeń duża, ale doskonała tylko do wypasania całej armii oficyalistów.

— O, to gatunek ludzi, w którego uczciwość bezwarunkowo nie można wierzyć— przerwał hr. Tomasz?

— To też dochodu prawie nie było. Skasowałem to wszystko. Lasy sprzedałem, o ile „leśna ochrona" pozwoliła i kapitał mam w akcyach — dają mi 15% dywidendy. Zagajniki zostały, będą polowa-

nia dla łaskawych gości — tu się skłonił z uśmiechem wszystkim czterem towarzyszom—mam tylko pied à terre na lato i na czas polowań. Z folwarków i ziemi z pod lasu urządziłem francuskim sposobem fermy, które mi dadzą czysty dochód, rentę, bez względu na to, czy urodziło, lub nie, czy robotnik trudny, czy lud idzie do Prus, czy do Syberyi na zarobki.

— Niby to samo przecie było, jak się oddawało w dzierżawę folwarki całe?— bąknął p. Oskar.

— Nie to samo! Folwarki brała szlachta — a ta żyje nad stan i, byleś się pilnował terminów, krzyczy. Lud mniej potrzebuje dla siebie i milczy.

— Racya, racya! — potakiwali wszyscy dowcipowi hrabiego.

— Przy tem i ziemia z pod lasu i nieużytki wchodzą w rachunek. Ilość moją znam z planu, cenę sam naznaczam, a czy tam siedzi Maciek, czy Bartek—ani potrzebuję wiedzieć, byle płacił na termin.

To przekonało pana Oskara.

— Skąd-żeś dostał tylu amatorów?— zapytał.

— Przed kilkunastu laty grasowała epidemia emigracyi ludu z królestwa do Brazylii. Niektórych księża zdołali wstrzymać, przekładając, że za Bugiem ziemia tania, a blisko i wśród swoich. Dużo ich wtedy w nasze strony napłynęło. Pobrali ziemię w dzierżawę, przeważnie karczunki, nowiny, błota, nieużytki — ale teraz tam po dwunastu latach kultura — to też podniesiono im opłatę w trójnasób. Obrazili się i rzucili, szukając nowych miejsc, tym sposobem trafili do mnie.

— Wiesz, ogromnie mi się to podobało, bo to wtedy nawet i rządca niepotrzebny. Odebrać w terminie każdy potrafi. Muszę i u siebie tak zrobić, głównie ze względu na rządcę; coraz mniej mi przysyła. Wprost tyranizuje mię.

— Dobrze zrobisz! Ja swego trzymam ot tak, par générosité, bo mi pomagał szukać tych fermerów. Ale proponował mi niedawno jeden żydek z pobliskiego miasteczka, że za 5% od sumy czynszów obowiązuje się mi je egzekwować i składa na

to kaucyę. Byłoby mi to dużo taniej i bez ambarasu. Zwłaszcza, że mój rządca szlachetka chorujący na sentymenta, rozzuchwala tych ludzi, wypraszając u mnie dla nich różne ulgi.

— A więc jednak i ty wyświadczasz ulgi, choć tak się szczycisz swoją fermeté w interesach, żartował hrabia Tomasz.

— Uważam to za ustępstwa, demoralizujące pracowników i chyba à contre coeur przystaję na molestacje swego Wodzińskiego, mais enfin il m'embète tą pieczą o moje dobre uczynki.

— Tak, masz słuszność. Dziś oszczędność, to cnota już nie domowa, ale społeczna. Trzeba umieć administrować fortuną. Zawiele nasi ojcowie tracili; nasza rola — gromadzić; jeśli wydawać to produkcyjnie — zupełnie poważnie dowodził pan Alfons, bez względu na tło otaczające, na ów elegancki salonik, na zielony stolik, i etykiety butelek, świadczące o cenie likierów, na wszystko w koło nich i na nich. w czem nic nie było taniem i oszczędnem.

Najważniejsza rzecz, że kultura wznosi się dobrą administracyą na poziom euro-

pejski, kraj zyskuje! — dodał pełen obywatelskich uczuć hrabia Tomasz.

— A i ludzie, o ile się pozbywamy tej słowiańskiej sentymentalności, a stajemy się ludźmi o twardych charakterach — zakonkludował gospodarz, zapalając cygaro.

. . . . . .

Garson wniósł na tacce depeszę do hrabiego S.

Szybko przebiegł ją oczami:

„Wysłano przekaz 450—resztę proszę zaczekać—szczegóły listem.

Wodziński."

— Osieł, sentymentalny osieł! — mruknął hrabia ze złością.

Tegoż dnia zatwierdził u rejenta plenipotencyę na imię pana Epfelbojma do pobierania „sposobami przepisanemi przez prawo" rat dzierżawnych za ziemię w Sewerynowie, Julisinie, Borku i Dąbrowie. A do pana Wodzińskiago wysłał list stylem spartańskim i w spartańskim duchu zredagowany:

„Pan niepotrzebnie obarczasz się obowiązkami, do których go nie powołałem, z krzywdą tych, które mu powierzyłem. Moje dobre uczynki są rzeczą mego sumienia i mego spowiednika, a moje dochody rzeczą plenipotenta, którą też-to funkcyę przelałem dziś na kogo innego, czem zwalniam pana od zajmowanych, niewłaściwych dla jego usposobienia obowiązków".

D O L A.

Ulana sama siedziała na pieńku przed kominem i skrobała kartofle, wrzucając je do przygotowanego glinianego garnuszka. Słońce jeszcze niebyło zaszło i promienie jego zaglądały ciekawie przez zzieleniałą od starości jedyną szybkę chaty. Okno wprawdzie posiadało ich kiedyś dwie, ale obecnie jedna została zabita deszczułką dla oszczędzenia wydatku na szklarza. W epoce kiedy dziadek Ulany stawiał tę chatkę, a raczej kiedy mu takową dziedzic kazał miejscowym cieślom pańszczyźnianym postawić, uważano, że duże okna kradną ciepło i zadawalniano się okienkami, mającemi dwie szyby, każda po pół łokcia w kwadrat. Widać jednak, że tak oszczędnie używane szkło budziło poszanowanie. Kiedy z dwóch szybek stąruszek, jedna, jak

umiała i mogła swojem zamglonem starością okiem, jeszcze oświetlała trzecie pokolenie pracowitej rodziny Guziów, a raczej jedyną ostatnią jej latorośl, dwudziestoletnią Ulanę.

Na całej chatce ubiegłe lata pozostawiły wyraźne ślady. Nie lata-to jednak starzeją, ale tarapata, dobrze mówi przysłowie. Bo jednak z rówieśnic jej w wiosce, przez ludzi tegoż pokolenia stawianych, inne jakże się jeszcze dobrze trzymają!

Okienka wprawdzie małe, nie takie wspaniałe, sześcioszybowe, otwierane, ozdobione szalowaniem pomalowanem kolorowo i okienniczkami, jak w nowo-pobudowanych chatach, które wyglądają jak dworki; ale toć wiadomo, że drzwi i okien nie można w mieszkaniu zwiększać lub nowych otworów dodawać, bo przez nie wchodzi nieszczęście, albo wynoszą mieszkańca na mogiłki.

Jednak pomimo tych okienek chaty-staruszki nie wyglądały na ruiny, bo każdej jesieni i wiosny gospodarz chaty naprawia braki zrządzone przez poprze-

dnią porę roku. W jesieni po sprzęcie, kiedy jest słoma kulowa, co roku przybywa w którymś kącie dachu jasno-żółta łatka, jaskrawo odbijająca się od pozostałej, porosłej zielonym mchem, całości. Co wiosny znów przybywa, to kawałek przyżby, zabezpieczonej nową deską — to nowa szalówka w starem okienku albo narożne zamki, gdzie drzewo najprędzej próchnieje, dostaję kołderkę z desek przybitych drewnianemi gwoździami.

I tak pomaleńku—łatając, podpierając, utrzymują przy życiu starowinę.

O chatce Ulany dawno niema komu myśleć. Choć myśleć, to i ona myśli—ale babskiem myśleniem chaty nie połatać—ono i tak mało na co się przyda. Dziadek pierwszy właściciel tej chatki niemiał syna. Matka Ulany jedynaczka u matki była. Do jedynaczek ludzie *pryjmaków* biorą, aby było komu robić w polu—ale na to trzeba to pole mieć — dziadek zaś miał tylko tę chatkę i ogrodu przy niej kawałek, a dziewczyna choć jedynaczka, nie bardzo była urodziwa — to i nie znalazł się amator, aby *przystać* do

niej. Każdy swoją ambicyę ma — zawsze ładniej jest żenić się, jak *przystawać;* toć przynajmniej trzeba, żeby był grunt. Czasem trafi się taki, że *zdurzeje* i dla ładności *przystanie,* ale to rzadko. Ale i ładność rzadko się trafia. A już u Guziów taki ród niepokaźny: dziadek, Bóg go wie, nikt go młodym nie pamiętał, a zresztą we dworze służył, po dworsku się ubierał, to i trudno *rozebrać,* jakiby był, gdyby się po naszemu odział, ładny czy brzydki— ale co dziewczyna, matka Ulany, ze wszystkiem była *nie harną*—ot, jak Ulana, która w matkę się wdała, bo i w kogoż miała się wdać?

Ojca nie wiadomo skąd wzięła. Jeden Pan Bóg wiedział, kto on był — to i nikt nie mówił do kogo podobna.

Tak więc chłopa w chacie nie było; baby lepiły gliną jak umiały, ale glina to nie drzewo, człowieka nie przestoi. Póki matka Ulany żyła, to jeszcze czasem ją jaki gospodarz posłuchał, to za przędzenie, to za tkanie i przyszył jaki jeden, drugi snopek do strzechy — ale taka proszona robota tyle trzyma, co to płótno,

które pająk robi. Teraz zaś Ulana, to już i nie prosi nikogo o pomoc. Chata wlazła w ziemię, przekrzywiła się jednym bokiem, dach cieknie — ale z roku na rok chatka stoi, a Ulana czeka — gospodarza do niej. Pracowita jest, robotę każdą umie, po matce została pełna skrzynia odzienia, a i ona ileż już półsetków płótna utkała z lnu, który *przysiewa* co roku za odrobek, to na dworskiem, to po gospodarzach.

Całe lato siedzi w swojej krzywej chatce, bo ogród zasadzony kartoflami i kapustą i *piechotą*-fasolą — trzeba pleć, pilnować — na jesieni zbiera z ogrodu, urządza przędziwo i, jak chłody nastają, idzie w *sąsiady*. Zamyka chatkę i przenosi się do znajomych na komorne. Nie wiele jej miejsca potrzeba; ona nie pani, żeby na łóżku sypiała. Śpi na własnej skrzyni, podesławszy radno, okryta starym kożuchem, który zarazem służy na codzień do wyjścia. Za kąt, który jej sąsiadka daje, opłaca drobnemi posługami: to wody przyniesie, to dziecko zakołysze, to chleb zamięsi. Do miski z gospodarzami nie

siada, ale przy wspólnym ogniu, warzy własną swoją strawę. We dnie najczęściej chodzi na zarobek do dworu, albo do gospodarzy — z pierwszego ma gotówkę na sól, na buty, na chustki czerwone i szczyt elegancyi wiejskiej *buraczkowe* spodnice — od drugich zapłatę w naturze, mąkę na chleb, krupy, słoninę — wszystko słowem, co jej do życia potrzebne.

Dobrze Ulanie na świecie; nic jej nie brak, w święto lepiej ubrana bywa w cerkwi, niż niejedna gospodarska córka. Sąsiedzi jej nie wyrządzają krzywdy, bo sierota, więc choć inne ogrody i płoty cierpią od nieposzanowania własności, Ulany płot cały, a w ogrodzie chyba chłopcy-pastuchy zrobią spustoszenie w maku, kukurydzy i ogórkach.

A jednak choć tak dobrze Ulanie, co zapust i co jesieni jest niespokojna, bo w każdą niedzielę w cerkwi słychać nowe zapowiedzi, a na polu, w ogrodach, w chatach u kądzieli rozlegają się wyłącznie weselne pieśni. To dziewczęta tak się egzercytują, aby jako *drużki* po weselach, godnie wystąpić ze śpiewami.

Przy robocie niema mowy o niczem innem, jak o tem, gdzie się kto *zaswatał*, gdzie dopiero były *zmówiny*, która będzie drużką, kto za *dewoszluba* (dziewosłęba) i t. d.

Ulana, choć jest sierotą, ale dziewczynie samej nie wypada myśleć o wydaniu się za mąż—to też, o tem nie myśli. Zazwyczaj myślą o tem rodzice — a dla sieroty, pewno pan Bóg. Ona też co jesieni i co zapust nie o mężu myśli — *Boże borony!* ale o gospodarzu do chaty, bo bez gospodarza, tylko co nie widać, jak się chacina rozleci. A przecież to *batkiwszczyna*, to prawie świadectwo legitymacyjne dla biednej Ulany, która dzięki jej ma poczucie należenia do gromady. Ma o czem powiedzieć „u nas" — gdyby się kiedy po za swoją wioską znalazła.

Oto, teraz skrobie kartofle na *juszkę*. Nie wielki to będzie posiłek, bo piątek, więc ów przysmak będzie się składać z wody, kartofli, cebuli i soli; gdyby Ulana chciała iść na służbę, jadłaby zawsze okraszoną strawę, nie robiłaby ciężej, miałaby chleb gotowy — ale przecież co

najmyczka, to nie „sama sobie gospodyni". A któżby *batkiwszczyny* doglądał?

Siedzi więc i rozwesela się śpiewaniem. Wywodzi cieniutko, bo w chacie, to wypada cienkim głosem śpiewać — na polu co innego.

Łety ty sokołeńku popered nas
Taj zanesy wistońki w perid od nas
Nechaj wyjde tatońko z kołaczem
Żwińczała sia doneńka z panyczem
Nie tak z kołaczem, jak z stulnykom,
Żwińczała sia doneńka z mużykom.

—

Łety ty sokołeńku—poperid nas
Zanesy wistońki wperid nas,
Nechaj wyjde matyńka z kołaczem
Żwińczała sia doneńka z panyczem
Ne tak z kołaczem, jak z stulnykom
Żwińczała sia doneńka z mużykom.

Nucąc ciągle rozpaliła na przypiecku trochę trzasek i przystawiała do ognia garnczek. Stojąc przy kominie i poprawiając ogień, aby się lepiej gotowała wieczerza śpiewała ciągle, coraz to na inną, ale zawsze monotonną a żałośną nutę, jak zwykle rusińskie weselne piosneczki.

W sadu wyszniowomu sołowij hnizdo wije
Wsim bojaram naszym w siemu domu miście je.
Kotoromu nymaje
Nechaj tatońka spytaje
Tatońko poradyt'
Za stołom posadyt'
Wy bojary mołodeńki
Ne bud'te hołodneńki
Jak budete honorny
To budete hołodny.

—

Jiżte, bojary, jiżte,
W dłoni riżte,
Szczob dołoni szczemiły,
Szczob puchiry sediły,
Szczob nas za drużki brały
Na druhe wesele wychwalały

—

Jiżte swaty, kapustu,
Nasza kapusta tłusta
Ukipiła hołowka
Z mołodeńkoho wowka.

—

Siły bojary siły,
Czornoho woła zjiły
Czornoho, rohatoho,
Hospodara—bohatoho.

Podłożywszy świeżych trzasek, sięgnęła na piec, zdjęła prząśnicę, wrzeciono, dostała z bedni kilka *żyłek* lnu i zaczęła

przyrządzać kądziałkę, starannie rozskubując włókna i przyśpiewując żałośnie:

Oj, kob ja znała, kob ja widała
Szczo zaruczyny budut'
Tob ja posłała swoho tatońka
W dołynu po kałynu.

—

Na dwori teren teszut'
W chati kosu czeszut'
Na dwori teren doczesały
W chati kosu rozczesały.

—

Na dwori proso mołotiat'
W chati kosu zołotiat'
Wże proso zmołotyły
Wże kosu zzołotyły.

W tem drzwi skrzypnęły od chaty i nachylając się w progu, aby się nie uderzyć o uszak weszła niemłoda kobieta, sąsiadka Ulany.

„Dobry wieczór"—pozdrowiła.

„Dobre zdrowije"—odpowiedziała Ulana, przerywając robotę i przysuwając gościowi jedyny zydel, starłszy go poprzednio z większego dłonią, a dokładniej fartuchem.

Paraska poceremonijowała się trocha,

zanim zajęła miejsce wskazane. Wzięła w rękę żyłkę lnu, rozgarnęła, spojrzała pod światło, potarła w palcach, pokręciła głową i odezwała się z uznaniem:

„Ładny len, prosto jak *niedwab*'".

— Chwała Bogu, niczego sobie—skromnie odpowiedziała Ulana, pogłaskana mile pochwałą starej gospodyni.

— Oho, niczego. Daj Boże po wiek takiego! A słany, czy moczony — pytała dalej, lubując się połyskiem włókna z miną znawczyni i amatorki.

— Bywało, mama nieboszczka zawsze ścielą — to i ja ścielę, powiadają ludzie, mocniejsze płótno—odpowiada Ulana.

— To pewno! Z niebieskiej rosy ono mocy nabierze się. Ale dobrze, że u ciebie jest gdzie posłać na trawce w ogrodzie, żadna chudoba nie chodzi, nie pomnie, nie porozciąga. Ja, choćbym chciała, nie mogę, bo na wygonie bydło porozwleka a na *pastewniu nasz* nie da, bo trawy *szkoduje*. A ty gdzie len przysiewała tego roku?

— U Opanasa na niwce. Dał na dwa garnce miejsca, to ja jemu za każdy gar-

niec trzy dni we żniwa musiała *posłuchać*. Tamtego roku to ja tylko po dwa dni od garnca odrabiałam Panasiukom we żniwa, a po dniu przy kartoflach — ale lepiej *wskórałam* w tym roku z tych samych dwóch garncy. Widać *politok* lepszy jakiś teraz na len—opowiadała Ulana.

— To do tego nic niema, do politku! z pewnością siebie odparła stara. To od tego idzie, jaki kto na rękę. Jak ty jemu mały odrobek dasz, to *un* tobie pola szkoduje, sam w sobie się gryzie i wtedy len się nie uda, jakby co go podgryzało. Z każdą rzeczą tak samo. Jak chudobę kupujesz, to tak samo od jednego pójdzie ręką, a od drugiego nie. U *inszego* człowieka już taka natura, że choć tobie co da, albo sprzeda, to taki szkoduje. I ot to zaraz zaszkodzi!

Ulana słuchała z namaszczeniem słów sąsiadki, nie dlatego, aby z nich się czegoś nowego dowiedziała — bynajmniej, od dzieciństwa nasłuchała się i nauczyła jak pacierza, a może i lepiej, wszystkich rzeczy pożytecznych i szkodliwych w ogólnem mniemaniu, był to katechizm, który

każdy członek gromady, bez względu na płeć, umiał expedite, a uczono się go metodą poglądową, na przykładach z życia.

Więc i Ulana dobrze wiedziała, dlaczego jej się len nie udał rok temu (i z umysłu zmieniwszy swego juris-datora, ofiarowała mu większy czynsz dzierżawny) — ale przez grzeczność słuchała ze skupieniem nauk sąsiadki, bo to wielki był *onor*, że starsza kobieta przyszła do niej *pobałakać*.

Aby zaszczyt był tem zupełniejszy, Ulana z nieśmiałością spojrzała na garnuszek z juszką, to na gościa — nareszcie odważyła się zaproponować starej podzielenie jej wieczerzy. Ale Paraska odmówiła stanowczo. Cóż to ona przyszła na jaką okazyę, czy co, żeby miała jeść. Chwała Bogu, niegłodna — a ot u niej w chacie *newistka* gotuje krupnik z grzybami na wieczerzę, to wróci do siebie jak raz na porę, bo *nasi* jeszcze chudoby nie uporali. Ale to przypomniało Parasce, że nie przyszła na samą tylko pogawędkę. Miała przecie interes; więc też ostrożnie

zaczęła kierować rozmowę na potrzebną sobie drogę.

— Ot, ja zaszłam do ciebie, pobałakać trocha, twoja nieboszczka była moją kumą, to mnie nieraz szkoda patrzeć, jak ty ot tak marnujesz swoje lata i swoją *batkiwszczynę*.

— A cóż, wola Boska. Ja staram się jak mogę. W ogrodzie u mnie, nie chwaląc się, wszystko jest, co do garnka potrzebne, a chata, to już nie babskich rąk potrzebuje, odpowiada dyplomatycznie Ulana, skubiąc fartuszek.

— Toż bo to. Nie babskich rąk i nie babskiej głowy. Jak jeszcze rok, dwa, postoi bez poprawek, to i przepadnie. A cóż ty myślisz sobie, że to nie szkoda i nie grzech. To dziadowska praca, trzeba szanować. Tobie trzeba chłopa do chaty wziąć i hodi!—zakonkludowała nareszcie, rada, że już wymówiła to drażliwe słowo. Ulana przestała kręcić fartuszek, a zaczęła dłubać glinę na przypiecku i ze spuszczonemi oczami, jak wypada dobrze wychowanej dziewczynie mówić o takim przedmiocie, odezwała się.

— Jeszczeż to ja chwała Bogu, nie taka stara. Co mnie sądzone, to i tak nie minie, albo to mnie samej źle, czy mnie co brakuje; nie bosa ja, nie głodna i nie goła.

Tu z pewną dumą spojrzała na skrzynię, ze swoją wyprawą.

Wogóle dziewczynie zawsze wypada mówić, że jeszcze jest zamłoda do zamężcia, że jej nie pilno rzucać swobodę, a może i rzeczywiście każda truchleje przed świekrą i prawdziwą niewolą, jaką jest los *newistki* w porównaniu do losu dziewczyny — ale Ulana miała jeszcze inną myśl uboczną: cichem jej marzeniem był Stepan, syn Paraski, żwawy parobczak, a że był jednym z czterech braci, więc w przyszłości mógł co najwyżej dostać ćwiartkę tego, co dziś ojciec posiadał a i ten już władał tylko połowę gruntu. Chatka Ulany wraz z ogrodem dotykała obejścia rodziców Stepana, od dziecka znali się jak rodzeństwo, i ot przy *ośmusze* gruntu byłoby zręcznie mieć już gotową chatę i ogród. W przeszłym roku

Stepan szczęśliwie przebył *pryzwy*, do wojska go nie wzięli i odtąd Ulana czekała tylko, rychłoli Stepan przyśle swaty.

To, że Paraska zaczęła mówić o małżeństwie Ulany, tknęło tę ostatnią niedobrem przeczuciem. O synu sama nie przyszłaby mówić—to nie uchodzi—przysłałaby na wywiady którą babę znajomą, to też Ulana odmawiała się jak umiała od projektów, a chciała przypomnieć Parasce, że nie jest znów tak złą partyą.

Ale Paraska mierzyła wyżej.

Uwolnienie Stepana od wojska podniosło jego wartość jako epuzera w dwójnasób przynajmniej. Cztery lata najlepszej młodości módz poświęcić pracy, toć nielada kapitał. To też wiedziała matka przez ludzi, że stary Matwij, który ma cały grunt i durnowatego syna, chętnieby go przyjął na *pryjmaka* do córki. Dziewczyna była trochę zezowata i niespełna rozumu, ale co tam babie po rozumie, Stepan za to ma rozum — a co grunt, to grunt.

Żeby jednak Stepanowi nie stało nic na zawadzie, wolała stara pierwej wydać

Ulanę, jak się kto trafi. Los przyszedł jej z pomocą, jak zwykle każdej dobrej sprawie. Więc teraz zaczęła perswadować Ulanie.

— Ja wiem, że ty jeszcze młoda, tobie można czekać, choć to zawsze piękniej, jak dziewczynie długo siedzieć nie dadzą— ot Zośka i Pryśka *gdzie!* młodsze od ciebie, a już mołodyce—ale to jak do czyjej ochoty—tylko chata, to nie może czekać, rozsypie się. Ja tobie ze *szczyrego* serca radzę, jak trafiają się ludzie, to idź Nie darmo ludzie gadają: pierwszego kupca, nie wypuszczać z chaty napróżno.

Ulanie markotno się zrobiło. Widać już Stepana dla innej przeznaczyli, to i prawda, pocóż będzie czekała, żeby wszyscy wiedzieli, że jej niechciał, jak inną weźmie, już lepiej brać, kto się trafia— widać tak sądzono.

— Jaż nic nie wiem — odpowiedziała cicho, ze spuszczonemi oczami — albo to *u mnie* są rodzice, żeby o mnie turbowali się. Jak że do mnie kto przyśle swaty, kiedy niema do kogo; jak ja sama jedna na

świecie sierota, jak *ta ptaszka* bez matki. Oj dołeńko moja neszczasna!

I pod tym pretekstem, uderzyła w płacz głośny.

— No, cyt, durna! A czegoż ty? Abo to niema dobrych ludzi na świecie? Opanasycha twoja *kreszczena maty*, ty u niej w sąsiadach zimujesz; onaż tobie jak matka, do niej trzeba, żeby posyłali, jak tobie ludzie trafią się. U niej i wesele można zrobić, to i wszystko będzie po ludzku, po gospodarsku. Sierota ty, prawda, ale dla sieroty wszyscy dobrzy ludzie, to rodzice. Nie płacz, ot ja tobie coś powiem:—byli tu ludzie *znakomi* z Perespy, ot zgadało się, mówili, że tam u nich jeden człowiek chce syna żenić; tak i tak, tak i tak, wszystko rozpowiedzieli — a ja im niby napomknęła — ot i u nas jest dziewczyna z gruntem, niby że ty, a oni słyszeli już od ludzi, tak ja dopiero mówię: jaka gospodyni, jaka *robotiaszcza*, zdrowa, że worek żyta podniesie, jak chłop.

Ot oni podziękowali i poszli, a dziś przyszedł stary, niby ten, co syna żeni,

do nas i pyta: jak i co? Ja jego przepytała dobrze *pro chłopca,* jaki *un* do roboty, i na *twarzu,* czy niczego. Powiada: taki jak malowanie, czerniawy, wysoki — a do roboty, to już taki *cikawy,* czy z kosą, czy z chudobą, czy z siekierą—do wszystkiego zdatny: kudy kiń, to kozak! Ja jemu ciebie *kroz okno* pokazała, jak ty po wodę szła, mówi: zdrowa dziewczyna, niema co gadać. Powiada, popytajcie jej, czy można w sobotę swaty przysyłać." Ot ja i przyszła.

Cóż, jakże ty myślisz?—zapytała Ulany.

— Abo ja znaju? Jak starsi powiedzą, tak i będzie, popytajcie się u Opanasów. To ich wola nademną sierotą.

— No, ot i dobrze, tak i trzeba! Dziewczyna, niechaj i jaka, a do tego dureń, wiadoma rzecz. Tak ja jemu powiem: Wam, stary, trza do Opanasów swaty posyłać, tam *chrzczona maty,* jak ona dziewczynie poradzi, tak i będzie.

Trzebaż mnie iść, bo ten człowiek czeka i ugościć że jego trzeba. Przyniósł ze sobą pół sztofa, trzebaż i jemu *zachwundować.* A jeszcze do Opanasów trzeba

zabiegnąć, poradzić się. Ty sierota, trzeba tobie pomódz, a któż pomoże, jak nie dobrzy ludzie. Bywaj zdrowa!

— Idźcie zdrowi — odpowiedziała Ulana. Wyprowadziła Paraskę na podwórko, postała, aż ta zaszła do przeciwległej chaty i wróciła do siebie.

Już dziś nie wypadało iść na wieczór do Opanasowej, bo tam może będzie jakie gadanie, to lepiej nie słyszeć. Jutro sobota, jutro swaty przyjdą, to wtedy po nią przyślą, żeby przepiła wódkę.

Co to wszystkie dziewczęta powiedzą, że ona idzie za mąż, i to z cudzej wsi chłopiec, a taki jak malowanie! To będą zazdrościć! Już od jutra wszystkie piosnki weselne w całej wsi na jej imię śpiewać będą po wieczornicach i na polu.

Ale trzeba się ogarnąć jakoś do tego ładnego chłopca. Dziś z wieczora trzeba głowę zmyć ługiem i kosy pozaplatać i koszulę czystą włożyć, żeby jutro nie widać było, że się świeżo do swatów ubrała.

Tymczasem wzięła się do przędzenia w chacie, nim ług się zrobi, i myślała

o podobaniu się ładnemu, czerniawemu chłopcu.

O Stepanie nie wspomniała ani razu.

We trzy tygodnie potem przy kopaniu kartofli na dworskiem polu, dziewczęta i baby rozprawiały żywo o wypadkach niedawnych.

Ekonom pokrzykiwał od czasu do czasu, widząc, jak motyczki opierały się bezczynnie o redlinę, a dziewczęta zwrócone ku sobie rozmawiały w najlepsze.

— No tam, *diwczata!* — wołał — na odenki tu przyszłaś jedna z drugą? Co to darmo robisz, że będziesz mi tu mełła językiem? będzie tego gadania, bo ci się z języka strzępki zrobią, to czem jeść będziesz? — dokończył łagodniej, rad z własnego dowcipu.

A dziewczętom również ekonomski dowcip podobał się, bo zachychotały, a któraś śmielsza odezwała się:—„Ouwa! aby było co! Niech panicz poprobuje, da cukierków, czy damy rady zjeść.

Ale ekonom widocznie nie rad, że

dziewczyna publicznie popisywała się swoją z nim konfidencyą, zgromił znów ostrzej.

— Patrzaj, jaka łasa na cukierki! Nie dla psa, kowbasa! ty dziś i na chleb nie zarobisz takiem kopaniem, nietylko na cukierki.

— Ej, albo to my od miary kopiemy, czy co? A siła to nam nie na raz potrzebna— odezwała się już obrażona.

— Ona się tak, paniczu, na weselu u Ulany zhulała, io i siły niema robić, objaśniła, śmiejąc się, druga.

— Oj, jakie tam wesele! *hore meni!*— pogardliwie burknęła tamta.

— Czemu! Ot, wesele jak-że sieroty! A tylko tobie zazdrość, że nie twoje wesele i nie twój ten czarniawy pan młody.

— Oj, wielkie szczęście! Jest czego zazdrościć. Dworski *najmyt*, bez gruntu, bez chaty, służy za fornala na *ordynarni!* Wielka mi parada!

— Ale za to ładny, aż ha! — zaśmiała się inna.

— Co z tej ładności, kiedy mrukliwy, jak *niemiec*, jak siedzieli za stołem, to nie zagadał do niej ani razu i nie popatrzył

nawet w jej stronę. Gdzieś w lesie wyrósł, niewie, jak do kogo odezwać się.

— A ten jego tato, to tak jak niańka jego wodził i uczył.

— Ej, co to szkodzi, jeszcze młody, to nieśmiały. Jak któren bardzo do gadania ciekawy, to i do bicia także może być ciekawy.

— Ech, to każdy potrafi. Na to on *mużyk*, a ona baba—odezwałą się któraś mołodycia.—Jak warto, to trzeba i nabić, a potem pożałować. Takie już prawo na świecie.

— Bicie nie szkodzi, wmieszał się ekonom, nie znacie tej przypowiastki: „daj koniowi obroku i kijem po boku." Tak i babie, aby chleba i do chleba nie brakowało, a od bicia, djabli ją nie wezmą.

— O to prawdę panicz mówi: „Jak jest chleb i do chleba, to i więcej nic nie trzeba." A że tam mąż i uderzy, to przecie nie cudzy, nie zabije — a rozumu nauczy.

Dziewczęta bardziej wolnomyślnie były usposobione.

Nie podzielały poglądów starszych ko-

biet na patryarchalną władzę męża, ale należy im wybaczyć. Każda po ślubie przycichnie.

Ulana tymczasem pracowała juz na nowem swojem gospodarstwie. Tylko, że daleko mniej czuła się u siebie, niż dawniej dziewczyną w swojej starej chatce.

Mąż nie odzywał się do niej prawie; zresztą całe dnie był przy robocie we dworze, wraz z ojcem; przychodzili wieczorem, zmęczeni i kładli się spać po wieczerzy, którą im osobno podawała stara. Objad nosiła im w dwojakach także stara, widać nie ufając synowej, czy sama nie nadje w drodze strawy, bo ta inaczej była przyrządzona dla mężczyzn i młodszych dzieci, obficiej, tłuściej, niż dla kobiet, do których prócz świekry i Ulany należała jeszcze najstarsza córka, Motruna.

Gotowanie strawy, ta honorowa czynność każdej gospodyni, należała do starej świekry. Synowa i córka pomagały przynoszeniem wody, drzewa, zmywaniem statków. One doiły krowę po kolei, karmiły prosiaki, a zresztą chodziły

na cały dzień na zarobek, a wieczorami przędły.

Klucz od komory był też w ręku świekry, a od czasu jak skrzynia z wyprawą Ulany schowaną została do komory, właścicielka nie oglądała już swoich skarbów. Zostawiła jej świekra na zmianę jedną koszulę i spódnicę, dwa fartuchy i chustkę i tem się musiała obchodzić. Klucz stara nosiła uwiązany na tasiemce od spódnicy i nie wypuszczała go nawet w nocy.

Tak przeszło kilka tygodni od wesela. Przyszła *Preczysta*, która wypadała w sobotę. Stary Klim z synem, korzystając dwóch dni świąt, wysiadywali na przyzbie przed czworakiem. Kobiety poszły na orzechy.

— Słuchaj no, Iwan—zagadnął Klim syna, poraby już jakiś ład z twoją mołodycią zrobić. Mówił mnie stary Prokop, że ten Hnat, co to jemu żona niedawno umarła, chce *przysyłać się* do naszej Motruny, ale powiedział, że inaczej nie, tylko albo dwie krowy, albo pięćdziesiąt rubli, żeby miała.

Ty wiesz, że mnie na jedną jesień dwa wesela wyprawić nie można, ja ot i tak

wszystko naprzód wybrał—a dziewczynie drugi raz takie szczęście nie trafi się. Trzebaby poradzić. Ja ożenił ciebie, teraz ty starszy brat, tobie trzeba wydać siostrę.

— A ja zkąd wezmę? Za te dziesięć palców? Nie było mnie żenić, ja nie prosił. Na djabła mnie ten rudy czort?—oburknął ze złością Iwan.

— Patrzaj-go, jaki ciekawy! „Rudy czort!" A cóż ty myślał, że ja do twojej *czornobrywej* Naści będę posyłał? Żeby wstydu się nabrać, żeby swatów kijem wyprosili? Że ty za nią po wygonie, jak ten *skażony* latasz, a ona do ciebie zęby skali, jak ta suka — to myślisz, że taki *bohatyr* ją tobie da? Jak raz on dla ciebie jedynaczkę wyhodował! Myślisz, że ja nie widzę, jak ty do *swojej* słowa nie zagadasz, a z tamtą koło studni rozhowory prowadzisz? I co z tego będzie? Z tamtą żyć nie będziesz, tylko z tą.

— Z tamtą nie będę, ale i z tą nie będę. Ożeniliście mnie siłą, wola wasza—ale ja jej duchu cierpieć nie mogę. I nie siłujcie mnie darmo, bo wszystko porzucę i pójdę w świat, gdzie oczy poniosą.

Stary popatrzał z podełba na syna. Iwanowi nie dobrze się oczy świeciły. Gotów zrobić, jak mówi, a potem co? cały kram na nic. Postanowił nie drażnić.

— No, jak sobie chcesz, żyj z nią, nie żyj — nie moja rzecz; to twoja baba, możesz choć zabić ją, to ja niemam prawa mięszać się. Ale wziąłeś ją, tyle ja na to wesele stracił się, niechże z tego choć korzyść będzie, niech ona u nas darmo chleba nie jé. Matka jeszcze sama zduża robić, nam dwóch młodych w chacie nie trzeba. Motrunę trzeba oddać, póki się trafia. Jej nie łatwo takie szczęście znaleść, *sam znajesz.*

I prawda, Iwan pamięta, jak dwa lata temu Motruna często biegała do lasu, to na jagody, to na grzyby, szczerzyła zęby do młodego gajowego; bywało inne dziewczęta i baby bez kwitu, ani śmiały pokazać się w lesie, zaraz obdarł, jagody z garnkiem potłukł, grzyby podeptał, a jej nic, „takie ma szczęście"—mówili w chacie. Skończyło się źle to szczęście. Tato cep na niej połamał, Iwan także ręki nie żałował i postronka. Dobrze, że matka

trocha *znająca,* coś poradziła, że gorszej biedy nie było, ale zawsze ludzie wiedzą, na języki wzięli, już ją chyba teraz wdowiec weźmie; musi iść na *cudze dzieci,* a i to jeszcze dopłacić trzeba.

— No, cóż synku? prawda? Trzeba, żeby ty pogadał ze *swoją.* Ona twoja baba, to jej chata i grunt także twoje, trzeba sprzedać, to będzie czem i wesele wyprawić i Hnatowi dwie krowy dla Motruny kupić. Gotówką nie dam, bo łatwiej schowa, a potem jej będzie oczy wypiekał, albo i wypędzi z chaty — a krowy, to każden widzieć będzie, jak za nią przyprowadzą, to niedoczeka wypędzić baby, bo musiałby i krowy oddać. Pogadaj z nią, synku, ot przy świętej niedzieli, możnaby pójść i znaleść kupca na tę łatkę ogrodu i tę starę budę. Ona z tobą siedzi, to na co jej swoja chata? Żeby miała gdzie uciekać, jak co u nas nie spodoba?

— Ja tam z nią nie będę gadał; niech ją czort—odburknął Iwan.

— No, to jakże będzie? Ty jej *czołowik,* ty do niej masz prawo i do jej chaty i do wszystkiego.

— Ale gadać nie będę! Gadajcie sami jak chcecie, *pro-mene!* Mnie ani ona nie potrzebna, ani jej chata, *szczob ona zhoriła!*

Ze wściekłością nawet myślał o tej chacie, która, jak widział, była główną przynętą dla jego ojca w tem zdobyciu synowej. Nie odezwał się więcej do ojca, wszedł do chaty i położył się spać.

Tymczasem wieczór nadchodził, tem wcześniej, że na zachodzie stała duża czarna chmura, jak ściana i słońce schowało się za nią, jak za szaro-granatową płachtę, oświetlając tylko górny brzeg płachty, co tworzyło jej jakby złoty ząbkowany fantastycznie obrąbek. Wrony leciały od zachodu i niespokojnie kręciły się ponad dużemi topolami, otaczającemi dwór i folwark. Zdaleka słyszeć się dawały: ryk bydła, beczenie owiec, gęganie gęsi. Wszystko to z pastwiska dążyło do domu. Kogut przyprowadził swoje towarzyszki przed sień, skąd po drabinie zawsze na strych spać chodziły — a sam stanąwszy na progu, wrzasnął: kukuryku!

— Ot, nowinę powiedział! — odezwał

się do koguta stary Klim—i bez tebe znaju, że deszcz będzie! A tu święto i kartofle jeszcze nie skończone.

— A ot, tata, ne znajete! — zaśmiała się na to Motruna, której nadejścia stary nie zauważył. — To nie na pogodę, kogut na progu pieje, ale na gości.

— Oj, jaka znachorka!—przedrzeźniała matka — wielka rzecz, jak jej dziewczęta w lesie powiadały, że jutro od Hnata mają przyjść swaty.

Kobiety tymczasem porządkowały przyniesioną zdobycz; stara zdjęła z ramion kobiałkę pełną grzybów i t. z.: *hubów* i kazała synowej grzyby nawlec na sznurek, a huby poobierać i spłukać na wieczerzę; córkę posłała do komory powiesić u pułapu wiązanki liści dębowych, które każda z nich nawleczone na cienkie nitki wikliny przyniosła z lasu, na zapas zimowy do podkładania pod chleb, jak kapuścianych liści zabraknie. Poczem Motruna zabrała się do obierania orzechów przyniesionych, opędzając się energicznie młodszemu rodzeństwu, które to siłą, to

podstępem wykradało z fartucha łakomy produkt.

Podczas tego słychać tylko było krótkie, urywane słowa starej, wydającej rozkazy, nucenie Motruny, która już miała pełną głowę weselnych pieśni, i od czasu do czasu pisk—którego z dzieci, jak dostało zamiast orzechów, szturchańca.

Nareszcie Motruna skończyła orzechy, a Ulana grzyby. Stara gotowała wieczerzę.

— Niech dziś Motruna idzie krowę wydoić — zadysponował Klim, weź którego z chłopców z sobą, to *przynadę* zaniesie.

Wyprawił dziewczynę, bo umyślił starać się *dla niej o posag*.

— Żebyż choć jutro pogoda była mnie na drogę, odezwał się niby sam do siebie.

— A dokąd-że to wybierasz się — spytała stara.

— Ażeż do Zahajec, do Iwanowej chaty — odpowiedział niby od niechcenia.

Ulana drgnęła.

— Powiadają, że wali się ze wszystkiem, to potem tylko koszt będzie po-

prawki. Ot, nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię. Wziął Iwan sobie tylko kłopot na głowę. Pójdę, bo tam trafia się kupiec na tę łatkę ogrodu i ten kurnik; sprzedam, niech choć wróci się, com na nich stracił, Dosyć będzie, że mój chleb jedzą, niech choć swoje pięćdziesiąt rubli odbiorę.

Ulanę aż podrzuciło. Jakto, jej bat'kiwszczyną, tak sobie bez pytania handlują! Zerwała się i podbiegła do świekra.

— To moja chata! moja bat'kiwszcina, ja nie dam sprzedawać. To nie wasze, nie dam!

— A toż szczo? Abo ja ciebie pytam, ty jakie prawo masz? masz czołowika, to czołowik ma prawo i do ciebie i do twojej parszywej chaty — odpowiedział jej stary z pogardą.

— Otóż nieprawda! Nikt niema prawa, tylko ja, bo na mnie grunt zapisany. To moja bat'kiwszczyna! Było mnie nie brać, jak mnie chleba żałujecie, albo niechaj on idzie do mojej chaty zemną mieszkać, tak jak wy obiecywali przed weselem. I tam można na chleb zarobić, we dworze

tak samo może za parobka stanąć, a w swojej chacie siedzieć.

— A toż ty jak język rozpuściła, *naupo* ty jedna! — wrzasnęła świekra, to my do ciebie, jak do kogo dobrego, a ty tu ze swojem prawem wyjeżdżasz? — Trzebaż ciebie nauczyć!

I porwawszy polano z przed pieca rzuciła się na Ulanę. Ta, zwinniejsza, schwyciła za drugi koniec polana, wymierzonego ku sobie i uniknęła ciosu, ale ten opór podniecił starego.

— A to ty taka! przeciw matce zamierzasz się?

I chwyciwszy za koszulę, potrząsnął plecami Ulany. Czerwona tasiemka rozwiązała się i koszula otwarła się na piersiach, Ulana obu rękami wydzierała koszulę z rąk świekra. Ten porwał ją za głowę. Chustka i czepiec zostały mu w ręku, a Ulana pędem biegła do drzwi. Ale Iwan obudzony ze snu, widząc, że biją Ulanę, porwał się jednym susem z pieca i zastąpił jej drogę. Ulana z włosami opuszczonemi na plecy, rozpiętą koszulą, zapłakana, rzuciła się do niego, wołając:

— Ratuj sokołyku!

Ale wydała mu się jeszcze nienawistniejszą, jak zawsze.

— Ja, tebe? a jakże, zaraz! — z wściekłością w oczach zasyczał i porwał ją za kosy.

Klim tymczasem znalazł postronek, zanurzył go we wiadrze z wodą i z dziką radością w oczach, jak zwierz, co krew poczuje, zaczął okładać po plecach nieszczęśliwą, włóczoną za włosy po całej chacie przez Iwana.

Ulana krzyczała w niebogłosy: „Oj, Mateńko moja, oj dolo moja, dola neszczasna". W końcu tylko jęki i słowa bez związku. Stary okręciwszy dwa końce postronka naokoło pięści, smagał systematycznie, zapytując w przestankach:

— A chatu prodasy?

— Ni, ubyjte na smert', a ne dam— stękała bita.

I znowu świszczał postronek, Iwan ciągał za włosy i kopał nogami, tę, której przed miesiącem przysięgał miłość. Ha! a czyż nie przysięgała posłuszeństwa?

— Ot—nie słucha, trzeba rozumu nauczyć.

Jęki i krzyki Ulany sprowadziły wszystkich sąsiadów do sieni i pod okno. Widzieli ją bitą, ciąganą, wpół żywą — ale nikt bronić nie myślał. Baby, litościwsze, chciały biedz na pomoc, ale mężczyzni, ofuknęli je:

— Wam co do tego! *Czołowik* bije, bo ma prawo, rozumu uczy, a ojciec tak samo. Cudzym nie godzi się mięszać.

— Ależ on jej śmierć zrobi — protestowała któraś.

— Nie bój się, stary ma rozum, bije powrozem, tem kości nie połamie, a że *szkuru zriże* trocha, to i dobrze. Młodzi muszą starych słuchać, takie prawo!

Tymczasem już i Klima ręka zbolała bić i Ulana była zupełnie omdlała. Stara pierwsza wmięszała się:

— Hodi wże, bo już nieżywa zrobiła się. Porzuć stary!

— Czort ją nie weźmie! Codzień jej sprawię takie *ćhrestyny*, aż póki nie posłucha! Wysuń ją do sieni, wiatr obwieje to i *odczunia*.

Rzeczywiście wywlekli biedną ofiarę do chłodnej sieni, przyczem świekra nie omieszkała nasadzić jej na głowę, opadłe: czepiec i chustkę, spiesząc, bo ne *hodyt'sia prostowołosej* kobiecie przez próg przestąpić.

Długo jednak chłodne powietrze nie mogło się dotrzeźwić omdlałej mołodycy. Motruna wróciła z mlekiem, stara podała wieczerzę, którą Klim z Iwanem z dobrym apetytem zjedli, a ona jeszcze nie mogła się podnieść. Była jakby pijana. W końcu podniosła ręce do głowy, która od targania za włosy, strasznie ją bolała. Poczuła przy poruszeniu, że plecy bolą ją, jak jedna rana.

— Oj, dolo, moja dola—zajęczała i przypomniała sobie, jak przez sen, że obiecali tak codzień bijać, jak nieda chaty.

Zawziętość ją zdjęła,

— Nie dam, bodaj wam dobra nie było! nie dam, do śmierci zabijcie, a nie dam bat'kiwszczyny.

Ale jak codzień tak bić będą, nie wytrzyma — albo i co zadadzą, stara taka znachorka.

Na dworze ściemniło się tymczasem, deszcz padał kroplisty, wiatr kołysał topolami, grzmiało nawet, jak latem.

Ulana wysunęła się cichutko z sieni, drzwi skrzypnęły, ale wiatr zgłuszył ten odgłos. Spojrzała w stronę Zahajec. Czy da radę zajść taka pobita? Oj, niech co chce będzie, a tu nie przenocuje z tymi zbójami. Jeszcze duszę zgubią.

Jak stała, w koszuli i spódnicy, w rzęsisty deszcz i burzę, tem pewniejsza, że za nią nie pogonią, puściła się na przełaj przez pola, ku Zahajcom.

Jeszcze od wesela nie była w swojej wiosce.

Kilka wiorst tylko miała do przebycia, ale każdy krok odzywał się jej bólem w zbitych członkach. Musiała odpoczywać w lasku, bo zasłabła, ale strach przed ciemnością, upiorami, wilkołakami—większy był, niz cierpienie. Zmogła się i poszła ku wsi. Koguty piały a ludzie spali oddawna i nigdzie się nie świeciło jak weszła do wsi.

Skierowała się do chaty Opanasów, bo klucz od jej chatki też znajdował się

u nich; zresztą potrzebowała poskarżyć się, opowiedzieć.

Psy poznały ją, i żaden w całej wsi nie zaszczekał. Zastukała do okna. Opanas wyszedł do sieni.

— A kto tam?

— Swoj; otwórzcie, to ja, Ulana.

— A toż poznałem po głosie. Chodź do chaty. Dobra ciebie bieda, widno, przygnała, kiedy w taką słotę, po nocy i sama jedna. Idź na piec, ogrzej się, albo czekaj, zbudzę babę, bo z twego odzienia, cała rzeka płynie. Piec rozmoknie. Żartował niby, ale poczciwie zapalił ogień, zbudził babę i oboje zajęli się ogrzaniem sieroty. Stara dała jej szmaty na zmianę i aż załamała ręce, spojrzawszy na pokrajane postronkiem plecy Ulany. Zawołała Opanasa.

— Patrzaj, co z niej zrobili te ścierwy, bodaj im dobra nie było. Skatować tak sierotę. I za co?

Musiała im Ulana opowiedzieć wszystko.

— A szelmy, a brechuny! Jak robili zmówiny, to obiecywali, że chłopiec do niej przystanie do chaty, jak mu się rok

skończy. A oni tymczasem chcą jej bat'kiwszczynę zmarnować, żeby ona już i uciekać nie miała do czego, jak będą katować.

A już jak opowiedziała Ulana, że mąż ją niecierpi, że do niej nie gada, że do dziewczyny zęby szczerzy, Opanasycha oburzyła się do reszty.

— A toż obraza Boska! Na cóż jej świat zawiązywał? Oni widać tylko na tę chatę i grunt łakomili się, żeby pieniądze wziąć, a potem mołodycę wypędzić. O niedoczekanie! Ty chaty nie dawaj, masz prawo, bo oni przy świadkach obiecali dać chłopca tu *w pryjmy*.

Zostawajsia u nas. Chce ciebie, to niech tu przeprowadzi się, a tam do hurtu nie damy, bo ubiją.

— Jakże ja zostanę, kiedy tam moja skrzynia.

— Prawda, ale skrzynię to muszą oddać. Nasz pojedzie ze starostą i odbiorą, zobaczysz.

Tak uspokoiwszy Ulanę w jej najpoważniejszych obawach, ułożyła ją na piecu, okryła starym kożuchem i zgasiła światło.

Na drugi dzień jednak miało się ku południowi, kiedy Ulana pierwszy raz otworzyła oczy. Bólu nie czuła już żadnego, tylko pragnienie. Ciągle wołała: wody, wody! ale bezwładność taka ją ogarnęła, że zejść z pieca i napić się tej wody, ani jej na myśl przyszło.

W chacie zaś nie było nikogo. Gościnność i współczucie u ludu mają granice naturalne, to jest kończą się tam, gdzie się zaczyna własny interes.

Gościa, a tembardziej nieszczęśliwego należy przyjąć, dać kącik w ciasnej i bez tego izbie, nakarmić i napoić razem z sobą, ale żeby ktoś zmieniał swój tryb życia, zaniedbał robotę, przyrządzał posiłek w porach niezwykłych—a tem bardziej czuwał i pielęgnował chorego—o tem mowy niema. Choremu nie robi się umyślnej szkody—ale też się nad nim nie rozpada, a z chorobą będzie, co Bóg da. Niewiem, co warta taka gościnność, ale, że medycyna taka najlepsza — to jestem przekonana.

Otóż i Ulanę spotkał taki los.

Ułożono ją względnie wygodnie, okryto

ciepło, uspokojono co do opieki i resztę zostawiono naturze. Gospodyni miała swoje zajęcia, gospodarz również—każde poszło, najadłszy się, do swojej roboty. Porcya barszczu i kartofli dla Ulany została zasunięta w piec, aż ona odpocznie i jeść zechce. Nikt chorym chłopom nie dobiera hygienicznych potraw, ani ich namawia w chorobie do posilnego jadła. Zwykłe nawet określenie u nich choroby jest, że ktoś *nie wstaje i nie je*. Taki stan trwa do czasu, aż organizm za pomocą gorączki przemoże chorobę i jeśli jest dość silny, wróci do normalnych fizyologicznych funkcyj. Chory wtedy podnosi się i je ze zdwojonym apetytem — to, co jedzą zdrowi. A jak nie przetrzyma i nie zażąda jedzenia—to nikt się nie dziwi.

— Widać tak mu było sądzono! Usunął się ze świata, gdzie jest miejsce tylko dla zdrowych. Na mogiłkach przybywa jeden mały krzyżyk, a w chacie trocha miejsca i powietrza.

Ulana doczekała się podania wody dopiero wieczorem, kiedy gospodyni wróciła od roboty i mogła bez uszczerbku dla swo-

ich zajęć, usłużyć chorej. Ta wypiła całą kwartę blaszaną wody i znowu zostawiono ją w spokoju.

Tak upłynął cały tydzień, z tą różnicą, że po pierwszem zejściu z pieca Ulany, ta wyjść już o własnej mocy nie mogła, więc posłano jej pod piecem na ziemi, skąd łatwiej jej było wstać i dowlec się do wiadra z wodą, która była jedynym jej posiłkiem i jedynem lekarstwem.

Po tygodniu pierwszy raz ukroiła sobie kromkę chleba, leżącego na stoliku pod obrazami i odtąd zaliczała się do zdrowych.

Jak tylko trocha odzyskała siły, pierwszą jej myślą było upomnieć się o zostawioną w mężowskiej chacie skrzynię. Powiedziała o tem Opanasowi. Ten potrzebował naradzić się z gospodarzami, ażeby z całą powagą, w imieniu gromady Zahajeckiej upomnieć się o zwrot sierocego mienia. Po kilkudniowych gawędach, przed miejscowym sklepem z wódką, zdecydowano: że Opanas wraz z Archipem, starostą cerkiewnym, poważnym gospodarzem, pojadą do Perespy po skrzynię.

Stary Klim dobrym był widać politykiem, albo miał dobrą policyę, bo wiedział zawczasu, co się święci i odpowiednio się przygotował.

Wszystkie rzeczy ze skrzyni zostały wyniesione cichaczem i złożone do przechowania u kumy na wsi, wraz z zieloną skrzynią nowiutką, kupioną dla Motruny na wyprawę. W komorze zaś oczekiwały na gości pierogi ze serem, świeża kiełbasa i ornament wszystkiego, ćwierć wiadra monopolówki. W razie, gdyby temi środkami nie dali się znlewolić obrońcy sierocego mienia, zapasy te i tak miały się przydać na blizkie wesele Motruny.

Stary zdecydował się oddać córce w posagu, dwie własne krowy i skrzynię pełną strojów i płócien synowej, byle się nie wyrzec dobrej dla niej partyi.

We dwa tygodnie po ucieczce Ulany, w niedzielę po południu, Opanas z Archipem dostatnio odziani, na wozie ciągnionym przez Opanasowe kasztanowate konięta, zajechali przed czworak w Perespie.

Co żyło, wybiegło oglądać tę osobliwość, bo mieszkańcy nie często bywali odwiedzani i to jeszcze z taką paradą!— przez gości jadących furmanką, własnemi końmi. To tak, jakby przed ekonomski dworek zajechała poczwórna kareta!

Komu się zdaje, że i to i to chłopi? Bynajmniej!

Każdy *dział* ma swoje *poddziały*, rodzina—podrodziny, odmiana—pododmiany, a warstwa—podwarstwy.

Stary Klim wyszedł na podwórko naprzeciw gości, o których łatwo się było domyśleć, że tylko do niego mogli przybyć, jako *swojaki* jego synowej.

Powitano się grzecznie. Goście weszli do chaty, na progu odkrywając głowy. I ta sfera ma swoje formy towarzyskie: nie odrazu przystąpiono do interesu.

— Zimno się coś robi, będzie wczesna zima, a my się jeszcze nie obsieli. A jakże u Was we dworze? — rozpoczął dyskurs Archip.

— At, jak to we dworze! Robi się to niby dobrze, ale zawsze to nie to, co go-

spodarz sam dla siebie po gospodarsku. Ale *pro mene*, pana djabli nie wezmą.

Tu wyższa polityka Klima wyszła na jaw. Służyć we dworze można, jak niema własnego gruntu, ale być dworowi życzliwym i nie wygadywać przed gromadą na dwór — może tylko *prodaj-dusza*, pogardliwa nazwa, nadawana nielicznym stronnikom *dworu*, przez przedstawicieli *chaty*.

Klim odrazu pogłaskał gospodarskie serca swych dostojnych gości. Podbił zaś ich jeszcze bardziej okazawszy znachorstwo co do zimy:

— Mówicie, że zimno, to jeszcze nic. Jeszcze będą takie mrozy tego roku, że ptaszki będą z drzew padać, jak liście. Oho! *Jest takie* ludzie, co po gęsiach poznają, jaka zima będzie, insze po, za pozwoleniem, świniach; to wszystko oszukaństwo! Tamtego roku u nas stary Prokop kłuł podświnka—popatrzył na *kosę wątrobę* i powiada: „O, ciężka zima będzie, ludzie będą marznąć, jak muchy, śniegu będzie w człowieka." A ja śmieję się z tego, bo ja już w jesieni był w lesie

dębowym i widział swoje, co mnie trzeba widzieć. Mówię: i śniegu ze wszystkiem nie będzie i zima będzie *letka*, jak niby lato, że chudoba całą zimę będzie po lesie chodzić. Prokop nie chciał wierzyć, aż teraz latem mówi: „nu, dobry z was znachor, Klimie; może ludziom i pomagać zechcecie, kiedy taki u was rozum."

— Ależ prawda, żeście zgadli, bo taka właśnie była zima, ale jakże to wy poznajecie? bo to dobrze zawczasu wiedzieć — tylko może sekret, odezwał się Opanas.

— Dla kogo sekret, a dla dobrych ludzi i swojaków u mnie sekretów niema. Ot, prosto, trzeba do wschodu słońca pójść do dębiny, w jesieni; narwać tych jabłuszek, co na liściach siedzą, rozdłubać jabłuszka, to w każdem powinno coś być. Jak będzie tylko czarna muszka, to będzie zwyczajna zima, jak będzie biały robaczek, to straszna zima i wielki śnieg, a jak i muszka i robaczek, to nie będzie zimy, tylko ot taki zgniły czas, jak przeszłego roku. To ja od starych ludzi słyszał i sam *sprachtykował*.

Obaj słuchacze z namaszczeniem słuchali wykładu, potem powtarzali takowy po parę razy, aby się dobrze nauczyć i zachwyceni zostali nabyciem tak pożądanej umiejętności.

Ale jakkolwiek rozmowa była miła, trzeba było przystąpić do interesu. Przybyli spoglądali na siebie znacząco, jakby wzajemnie zachęcając się do inicyatywy, ale żaden nie zaczynał.

Klim i tu okazał się lepszym od nich politykiem: ułatwił zagajenie sprawy.

— Czy to Wy *diad'ku* Archipie i diad'ku Opanasie dokąd jedziecie, że do mnie wstąpili, to możeby koniom siana podrzucić, moje chłopcy popilnują, a wasz chłopiec niechby do chaty przyszedł — toby my z Wami może czem pokrzepili się na drogę?

— Ej nie, my nie głodni, Bogu chwała poobiadowali w domu, a droga niedaleka od nas — a nigdzie my się nie wybrali, tylko ot, żeby prawdę powiedzieć, prosto do was, taj hodi. My ot, poradzili się z gromadą, żeby *za tę sierotę* pogadać z wami, co wy od nas wzięli, taj żeby

jej skrzynię od was przywieźć,—wykrztusił nareszcie Archip.

— Niby za moję *newistkę* gadacie? A czegoż ona męża porzuciła, robotę porzuciła i po ludziach, jak ta żebraczka chodzi? Coż to u mnie, broń Boże, jeść niema czego. (W tej chwili, jakby dla illustracyi, stara wniosła miskę gorącej kapusty ze słoniną, ogromne kółko pieczonej kiełbasy, parę palanic i butelkę wódki. „Dym ofiar tłustych mile połechtał nozdrza pańskie"—mówi Pismo Ś-te—o ileż wrażliwsze muszą być nozdrza śmiertelników na takie wonie!). Czy ja wiem, co w jej skrzyni jest? Może ona, jak sama ukradkiem uciekła, tak i wszystkie dobro ukradkiem powynosiła? czy to dobra gospodyni powinna od swego dobra uciekać, jak złodziejka? — chytrze dowodził Klim.

— Ależ Wy ją pobili, ona leżała u nas ledwie żywa, to z tego bólu i uciekła, toż i chudoba, jak bić — to biegnie, ucieka, choć to niemy język — bronił Ulany nieśmiało Opanas, z ukosa spoglądając na specyały.

— Prawda, że ja ją trocha uderzył. Ale któż ją rozumu będzie uczył? U niej swoich rodziców niema.

— Ot wiele ona u nas była, mąż ją ani razu nie uderzył, niech sama powie. Ale jak ona rękę podniosła na matkę, to ja już nie ścierpiał. A czyż Wy, diad'ku, pozwoliliby na taki grzech, . żeby młoda na matkę rękę ściągała? Toż nawet dla jej dobra, bo, powiadają, od tego ręka uschnie, jak na rodziców sięgnie. Cóż to matka ją na złe uczy? Wiadomo, do rozumu doprowadza, roboty uczy, a ona taka suka, zabrała się i poszła. Jej rzecz męża i chaty trzymać się, a nie po ludziach, chodzić. Ja jej skrzyni nie dam, bo ona potem powie, że tam czort wie, co było i jej ktoś wziął. A tak w komorze stoi, niech stoi; ona do rozumu dojdzie, to i wróci do swego człowieka i do swego dobra.

Świat jemu zawiązała; ni to on chłopiec, ni to wdowiec, on ma prawo ją *otapem* do siebie sprowadzić. Kiedy przysięgała do śmierci z nim żyć, to i powinna.

— Kiedyż-bo bijecie *krepko*, Klimie, ręki nie szkodujecie — znowu tłómaczył Opanas.

— A wy swojej baby nigdy nie bijecie? A dlatego od Was nie ucieka?

— Ono, to prawda, bić trzeba, na to baba — z przekonaniem potwierdził Archip.

— Otóż to, dajcie babie wolę, to ona zechce lepszy rozum mieć jak Wy! Ot, Ulana sama bez matki długo była, nie przyzwyczajona słuchać starszych, to narowiśta z początku, jak dostanie czasem pamiątkę, to ucichnie, a potem sama podziękuje, że bili, bo rozumu uczyli.

— Ot, wy diad'ki, jej tak powiedźcie, a napędzcie od siebie, bo to nie ładnie, jak kobieta ma swego męża, a czort wie, gdzie włóczy się. Niech wraca do chaty, matki słucha, męża szanuje, tak jak zakon przykazuje. A my ot po sąsiedzku napijemy się po czarce, zakąsimy, jak należy, żeby ja pamiętał, że takie gospodarze *honorne*, takie swojaki, do mnie w goście przyjeżdżali. Za wasze zdrowie!

Opanasa sumienie jeszcze wahało się w przyjęciu czarki, nie obroniwszy interesów poszkodowanej Ulany, spoglądał wymownie na kolegę, Archipa, nie wyciągając ręki po kieliszek, z którego *na szczyrość* nalana pełniuteńko wódka, spływała po wątpliwej czystości palcach gospodarza chaty, ale Archip odezwał się ugodowo.

— Ano, to chyba prawda, Klim mają racyą, baba od chaty nie powinna odchodzić. Pies, choć tylko stworzenie Boskie, a ty jego jak bij, to jak on wierny, to od ciabie nie odejdzie, nie odrzeknie się, a onaż także na wierność przysięgała do śmierci. A jakby Klim jej skrzynię oddali, to znaczy się, niby i jej nie chcą nazad brać, a to nie godzi się; raz oni *źwińczali się*, to i żyć im trzeba w kupie. Taki zakon! Niema co, nam trzeba jej *wytołkować*, że „gdzie skrzynia, tam i gospodynia“ ot co jest.

— Tylkoż diad'ku Klimie, wy nam obiecajcie, że wy jej katować nie będziecie. Ja nie mówię, żeby wy jej nie bili, ona młoda, ją trzeba jeszcze do rozumu dowodzić.

Wy jej *w mordę* dajcie raz i drugi albo paskiem *szkurę zriżcie*, to nie grzech, na to baba, ale wy czem *kwardem* ją nie bijcie, żeby *chrypów* nie odbić, bo to sierota, a i wam, broń Boże czego, może być *projszestwo*, sąd, czort wie co. Za swoję *semiję*, jeszcze niepokój.

I wypowiedziawszy tę przestrogę, Opanas już zupełnie się uspokoił, wziął czarkę, przepił do Archipa, potem Archip znów do gospodarza i tak kolejka obeszła kilka razy, aż do skutku, t. j. do opróżnienia się butelki i rozrzewnienia biesiadujących, którzy ucałowawszy się kordyalnie, w najlepszej harmonii się rozstali.

Po ich odjeździe, Klim zasnął na pierwszej lepszej ławie, a Klimowa resztę zawartości skrzyni synowej przetransportowała do składu wyprawy Motruny, aby za trzy dni oddać wraz z córką i krowami pożądanemu zięciowi Hnatowi.

Deputaci gromady Zahajeckiej nie potrzebowali urzędowo zdawać sprawy z urzędowego swego poselstwa. Stan w ja-

kim wrócili i brak skrzyni na wozie, wyjaśnił ich żonom, co zaszło i te już zawiadomiły Ulanę o rezultacie misyi.

Zresztą ona nie widząc skrzyni, nie czekała, aż jej to powiedzą, zdecydowała, że musi iść sama rewindykować swoje dobro. „Gdzie skarb twój, tam serce twoje" ona uważała, że nawet „osoba twoja".

Przeczekała tylko wesele Motruny, aby w tak uroczystej, a nietrzeźwej chwili nie leźć na oczy rodzinie męża i zmiarkowawszy, że jest już po weselu, z ciężkiem sercem i niepokojem, poszła do Perespy.

Wybrała dzień powszedni, aby na początek nie zastać mężczyzn w domu, postanowiła być pokorną dla świekry, ustępować wszystkim, byle zyskać zaufanie. Chodziło jej o klucz do komory, która zawierała jej skrzynię. Żeby choć zobaczéć! Żeby jej dali choć raz na rok ubrać się w buraczkową spodnicę, cienką koszulę i jaskrawą *szalisową* chustkę, do kościoła! A płótno? Toż pobutwieje, nie spierane, nie przewietrzane w wilgotnej komorze! Jej praca!

Świekra przyjęła ją, jakby nic nie było zaszło, wyznaczyła robotę i znów zaczęły się dni pracowite i smutne dla Ulany. Ani mąż, ani jego ojciec nie odzywali się do niej wcale, matka rozmawiała o tyle, o ile wyznaczała robotę. Ulana nie odczuwała już tego traktowania, miała jedną tylko myśl i marzenie: dobrać się do komory, zajrzeć do skrzyni! Zasypiała i budziła się z tą myślą; czyhała tylko na dogodną chwilę. Tak mijały tygodnie.

Los jej się uśmiechnął:

Stara zajęta była dostawaniem czegoś z komory, Ulana rozwieszała popraną bieliznę na ogródku — otaczającym czworak; poubierała wszystkie gruszki dzikie w białe płachty, kiedy sąsiadka wbiegła i zawołała Klimowę do zamówienia krwi dziecku, które się mocno skaleczyło. Klimowa znaną była nietylko w czworaku ze znachorstwa, a miała tę wyższość nad wielu znanymi, wielkimi doktorami, że nie dawała się długo prosić. Jak stała, pobiegła do sąsiadki.

Ulana weszła do chaty po resztę bielizny i los skierował jej oczy na komorę—

klucz wisiał przy kłódce. Pokusa była zbyt wielka...

Po chwili Ulana stała nad otwartą próżną skrzynią swoją, na której dnie jedynie pozostała zwinięta w kłębek czerwona krajka...

Powoli, powoli bardzo, Ulana wzięła krajkę ze skrzyni, wyszła z chaty i już nie zabierała reszty bielizny, a kiedy stara zdziwiona długą jej nieobecnością, zajrzała do ogródka..., wśród bielizny czerwieniła się, poruszana wiatrem spódnica Ulany, ale nogi jej unosiły się nad ziemią, a twarz nie miała wyrazu pokory...

Pochowano Ulanę na rozstaju a śmierć jej powszechnie uważano za przyczynę burzy i wiatru, jakie przez kilka dni listopadowych niepokoiły mieszkańców Perespy i okolic. Nawet po śmierci, nikt jej nie dał dobrego słowa, bo komuż miły wiatr jesienny?

Ż Y D

Obrazek.

W brudnem i ubogiem miasteczku Wołynia, leżącem nad spławną rzeką i rozgałęziającą się na trzy odnogi koleją żelazną znajduje się *nieruchomość*, pozornie niczem się wybitnie nie różniąca od innych, a jednak mająca swoją ciekawą historyę.

Ciekawą przynajmniej wydaje się ona tym, którzy wiedzą, że jest prawdziwą.

Przed laty dwudziestu z górą koryto rzeczne w pewnym punkcie miasteczka tworzyło załom i wrzynało się w kawał gruntu, tworząc tam rodzaj zatoki: dogodną przystań dla ładowania materyałów drzewnych.

Była też to tak zwana *bindiuha*, czyli *ląd* w języku flisaków, słowem port rzeczny naturalny.

Port ten od wieków niemiał właściciela, a raczej miał ich tylu, ilu rzeka służyła za arteryę komunikacyjną. Wszyscy i nikt miał do niego prawo.

Ale rzeka niedarmo jest rodzaju żeńskiego.

Ma swoje kaprysy.

Niespodzianie port stawał się coraz mniej wygodny, płytszy—w końcu koryto odwróciło się, a port zamienił w kałużę, co roku na wiosnę zalewaną mętnemi wodami rzeki, aby wyparowawszy je przez lato podnieść swój poziom o parę centymetrów namułu.

Natura długo tworzyłaby to nowe *alluwium*, ale od czegoż ludzie i cywilizacya?

Kałuża była w środku miasta; nie należała do nikogo, nikt też nie mógł mieć pretensyi, jeśli jaki koszyk albo i wóz śmieci utonął w jej mętnych nurtach? Przecie i niebrukowane ulice tym sposobem, dzięki uczynności mieszkańców, reparowały swoje wyboje!

Stopniowo, dzięki solidarnemu działaniu poblizkich właścicieli nieruchomości i ich lokatorów były port coraz bardziej

wypełniał swe zagłębienie, nie potrzebując już po paru latach pomocy rzeki, której poziom przestał go nawet z wiosną dosięgać; a po kilku latach dawne zagłębienie zmieniło się na pagórek, znacznie już wyniesiony nad poziom rzeki, a utworzony rzec można z „okruchów cywilizacyi". Bo i czego tam nie było?

Szczątki odzieży, od zagranicznych wykwintnych wyrobów do miejscowych samodziałów; obuwia od pantofelków z gemzowej skórki, do dziurawej podeszwy, garbowanej prymitywnym sposobem z końskiej ziemskiej powłoki w poblizkim zakładzie; od potłuczonych skorup i japońskich filiżanek przywiezionych przez miejscowego *isprawnika* z miejsc rodzinnych, nad oceanem Wielkim położonych— i talerzyków koreckich, ostatnich *niedobitków* jakiejś osiadłej na bruku podupadłej szlacheckiej rodziny, do polewanych na zielono garnków i misek, wysłużonych tym, którzy na porcelanie nie jadają.

Krystaliczne te szczątki stanowiły niewielką przymieszkę w konglomeracie, którego główną składową częścią był nawóz

zgarniany z przed szynków, gdzie się zatrzymywali przyjeżdżający chłopi, oraz resztki wszelkiego jadła, których już nawet wędrowne psy jeść nie chciały. Stare słomianki, stare miotły, wiechcie i t. p. domowe utensylia świadczyły o... porządku mieszkańców.

Gdyby po upływie wieków kataklizm jakiś starł z oblicza matki ziemi ten gród sławetny, to uczeni potrafiliby, rozkopawszy plac, o którym mowa, dojść na jakim stopniu cywilizacyi zaskoczyła miasto katastrofa.

Że przytem domyślność uczonych historyków wnioskowałaby, na mocy przechowanych szczątków, że dajmy na to, kraj był zamieszkały, a przynajmniej podbity przez Japończyków, którzy zostawili ślady swej kultury w przedmiotach przemysłu i sztuki, jakiemi są wyroby porcelanowe—to rzecz mała. Historycy robią czasem większe, niż ta, omyłki!

W miasteczku owem, wśród bardzo wielu swoich współwyznawców mieszkał Jojna Buntmacher.

Nazwisko podaje w podejrzenie jego prawomyślność. A jednak był to bardzo spokojny obywatel, a tylko rzemiosło, jakie uprawiał, udzieliło źródłosłowu nazwisku. Był farbiarzem.

Z rzeczy brzydkich, brudnych i spłowiałych tworzył kolorowe, piękne i czyste a jaskrawe. Stąd zapewne nazwa.

Niegdyś działo się Jojnie nieźle, o tyle, że najmował obok krawca izbę całą, gdzie żył przykładnie z żoną Ruchlą i dawał takowej na szabasową ucztę całego rubla. To daje miarę jego zamożności.

Przytem Bóg mu błogosławił, bo Ruchlę otaczała gromadka dziewięciorga dzieci.

Nikt wprawdzie o tej liczbie od Jojny nie słyszał, bo zapytany przez którego z nieświadomych obyczaju, chrześcijan-klijentów: ile ma dzieci? odpowiadał tylko: Chwała Bogu, mam!

Liczyć dzieci nie godziło się. To jakby się dawało do zrozumienia, że się ich ma zawiele, że się narzeka; za to można być ukaranym przez Jehowę.

Ale dzieciaki Jojny bawiły się przez trzy czwarte roku przed izbą w śmieciach i łatwo dawały się policzyć ciekawym.

Tak więc Jojnie nieźle się działo czas jakiś — ale nadeszły czasy, kiedy technika wyrobów bławatnych tak została *udoskonalona*, iż fabryki przerabiały *stare*, zużyte materye wełniane na zupełnie *nowe*, które po parokrotnej takiej manipulacyi także nie potrzebowały przefarbowywania, gdyż prędzej się darły jeszcze, niż traciły barwę.

Jeżeli Jojna nie umarł z głodu, skutkiem tych udoskonaleń techniki tkackiej, to tylko dzięki białym ślubnym i jasnym wieczorowym toaletom, które z wysokości królowania na uroczystościach schodziły, dzięki sztuce Jojny, na codzienny, praktyczny użytek.

Ale w małem miasteczku i jego okolicy ludziska mało się bawili, jeszcze mniej żenili, a już najmniej należeli do tej kategoryi, którzy w tych okolicznościach przywdziewają szaty koloru niewinności.

To też Jojna uważał się za szczęśliwego, jeżeli na tydzień trafiło mu się ufarbo-

wać dwie suknie, co mu przynosiło najwyżej dwa razy po dziesięć złotych, czyli trzy ruble.

Przy takim zarobku nie mógł płacić akuratnie za izbę odnajmowaną obok krawca i pewnej wiosny znalazł się wraz z Ruchlą i *błogosławieństwem*— bez dachu.

Widocznie wspomnienia biblijne przywiodły mu na pamięć Dawida opłakującego stratę ojczyzny nad brzegami Jordanu, czy też myśl samobójcza go wiodła — dość, że Jojna udał się instynktownie nad brzeg rzeki i trafił na to miejsce, gdzie ongi był port, a gdzie obecnie flisacy rozłożyli się obozem.

Była wiosna. Ogromne massy drzewa zbitego w tratwy pokrywały całe koryto rzeki; po tratwach uwijali się flisacy, przeskakując zgrabnie z *gąski* na *gąskę*, i zbijali nadwerężone przy przejściu przez ostatnią szluzę spojenia belek.

Ogromne sosnowe sztuki, przyszłe maszty do marynarki niemieckiej, spojone po-

przecznie położonemi *ramionami* dźwigały na sobie drugą warstwę krótszych już belek dębowych, zanurzając się pod ich ciężarem znacznie pod wodę.

Co kilka *gąsek* jedna niosła na sobie budkę krytą słomą jak chatka, mieszkanie letnie flisaka.

Nad brzegiem, na miejscu dawnego portu stała podobna budka, cokolwiek większa i nie kryta słomą, ale wprost zbudowana z przystawionych do siebie pod kątem różnych brakownych kawałków drzewa.

Przed budką płonął ogień i jeden z flisaków pilnował przystawionych doń kilku garnuszków.

Biednemu bezdomnemu Jojnie i buda i ogień i strawa wydały się szczytem szczęścia, niedostępnym dla niego.

— Szczęśliwe flisaki, mają swój kąt!

Ale dłuższe rozmyślanie naprowadziło Jojnę na myśl, że miejsce jest tu niczyje, woda niczyja, ogień może każdy rozniecić byle miał z czego — a buda flisakom niepotrzebna, kiedy lada dzień stąd odpłyną, skończywszy naprawiać tratwy.

Z właściwą swej rasie przytomnością umysłu, rozejrzawszy się w sytuacyi, rozpoczął układy.

— Boże dopomagaj — zagaił rozmowę.

— Dobre zdorowije — odpowiedział flisak. A ty co, żydzie, chcesz na *plis* przystać, że przyszedł?

— Przystać nie przystać, a popatrzeć na was to niemożna? Ja wam chleba nie odbiorę, u mnie chwalić Boga, swój handel jest — odpowiedział z godnością Jojna. Prędko już odpłyniecie?

— A ot może jutro, może dziś — jak skończym zbijać.

— A czyje to drzewo?

— Herszka z Wólki, bodaj jego kolka!

— Nu, za co wy *jemu* klniecie? *un* wasz gospodarz, wy od niego chleb jecie...

— Oj, bokiem ten chleb wyłazi! Skąpy szelma, mało płaci, wikt kiepski, cały czas, sześć tygodni samym grochem nas karmi, jak te świnie. A zarobić z boku niema jak.

— Nu, a co na wodzie za zarobek może być?

— Czemu? u *drugiego* kupca, to można zarobić. Są zapaśne ramiona, szryki, a jak niedużo się zepsuje na szluzach, to plisaki, co zbywające sprzedają cudzym kupcom, którym zabraknie, albo chłopom na brzegu, zamiast żerdzi, tam gdzie już lasu *obmal*. Ale nasz, szelma, każdy patyk tobie porachuje i jak co zbywa, to od siebie sprzedaje drugim kupcom. *Żeb* jego choroba!

— A te budy na tratwach także on sprzedaje, jak już niepotrzebne?

— Nie, to plisacka korzyść — ale nie naszych, tylko tych zagranicznych, które aż do morza pędzą. Kiedyś my sami do morza szli, ale teraz to kupcy porobili na dwie zmiany, a czasem i trzy.

Ot, cały mój zarobek, ze tę budę nad brzegiem sprzedam komu na drwa; to niby mnie za to, że pilnuję gotowania. Będzie butelka wódki i tyle!

Jojnie gorąco i zimno naprzemian robiło się ze wzruszenia. Mógłby mieć oto prawie dom własny! Budę zaciszną od deszczu i wiatru. Teraz lato, a do zimy może zarobek się poprawi, albo co.

Ale nie miał ani grosza przy duszy.

Kupiecki zmysł obudził się w Jojnie. Może stargować się z flisakiem o budę i pójść gdzie pożyczyć, choćby na zastaw ostatniego lichtarza.

Tak, ale nie dawszy zadatku chłopu, niema się go w ręku. Przyjdzie inny kupiec i cenę podbije, albo i flisak skłamie, że tak było. Jojna postanowił naprzód postarać się o pieniądze i odchodził w zamyśleniu od brzegu.

Flisak pod wrażeniem wzmianki o butelce wódki za budę, zawołał za nim:

— A może kupicie moją budę na drwa? będzie przy czem całe lato strawę zgotować.

— Ej, ja tem nie handluję, dyplomatycznie odezwał się Jojna, chyba komu znajomemu nastręczę, jak niedrogo zechcecie; i stale odwracał się ku odejściu.

— No, tak ja mówił: *sztop* wódki dacie i *szabasz!*

W Jojnie dusza się radowała, nogi drżały ze wzruszenia, ale kupiecki zmysł nakazywał obojętną minę i niechęć kupienia.

— Nu, nu, ja tam powiem jednemu żydkowi, co ma piekarnię.

I szedł śpiesznie, łamiąc sobie głowę, do kogoby się udać o pożyczkę. Wszystkie źródła wyczerpał, kiedy chodziło o utrzymanie się w dotychczasowem mieszkaniu. Znajomi pomagali mu i tak, czem kto mógł, to mąką na szabas, to starem ubraniem na dzieci.

Pozostawało liczyć na Boga — a udać się doń przez Jego sługę Rabbi Pinesa.

Rabbi Pines to była opatrzność biednych całego miasteczka. Nietyle wspomagał ich pieniędzmi, (choć i tych nie żałował), ile światłą radą, modlitwą — a takie miał u Jehowy łaski, że komu co przepowiedział, zgadywał, jak prorok.

Ileż to kobiet żydowskich zdaleka nawet zjeżdżało się do niego, aby modlitwą uratował je od hańby bezpłodności; ile małżeństw bliskich rozwodu pogodził; ilu pokłóconych wspólników rozsądził; ilu poczynającym kupcom dał taki trzygroszniak

cudowny, do którego potem płynęły pieniądze, jak rzeka do morza?

Myśl o cudownym trzygroszniaku opanowała Jojnę.

Podniecony troską, że żona i dzieci bez dachu, a ów dach choć czasowy, ale względnie wygodny, może nabyć za tak nizką cenę — poszedł prosto do Rabbi Pinesa.

Przystęp do cudotwórcy nie był w ogóle łatwy: ale Jojna był jak w gorączce. Roztrącał innych interesantów i z płonącemi oczyma szedł prosto przed siebie.

Pewność siebie wszędzie popłaca i zwycięża, a wiara góry przenosi; Jojnie wiara dała mimowolną pewność siebie.

Kahalni, otaczający mędrca przybytek, rozstąpili się przed Jojną i puścili biedaka przed oblicze cadykowe.

Tu dopiero Jojna oprzytomniał pod wpływem niespodziewanego zaszczytu widzenia oko w oko wielkiego człowieka i strach go ogarnął. Ale rabbi go ośmielił.

Biedak opowiedział swoją niedolę, przypadkowe spotkanie z flisakiem, jego pro-

pozycyą i nakoniec prosił o cudowny pieniądz.

Rabbi wpatrywał się przenikliwie w twarz Jojny, zwłaszcza przy ostatniej prośbie, potem zadał kilka pytań: o punkcie, gdzie stoi buda, o dochód tygodniowy z farbiarstwa, o dzieci i żonę — poczem dał Jojnie kilka rubli drobnemi i użytek takowych z góry oznaczył.

Miały służyć na wykupienie od flisaka budy, dorobienie do takowej drzwi i okna, oraz choćby plecionego z chrustu i gliny komina.

Jojna słuchał z namaszczeniem, a ściskał w garści pieniądze jak talizman.

— Jak będzie komin, drzwi i okno, to będzie podobne do chaty; teraz ty będziesz gospodarz na ten plac, a ja tobie mówię, jak będziesz chował zakon, to umrzesz we własnym, prawdziwym domu na tem miejscu. Idź z Bogiem.

Jojna ucałował kraj szaty rabina i jak lunatyk wyleciał na ulicę. Ściskał pieniądze z całej siły i ból dłoni od wpijających się w nią paznogci oprzytomnił go. Zmysł

kupiecki znów się obudził obok religijnej ekstazy.

Ze zwykłym sprytem i przytomnością Jojna nabył sztof wódki, poprosił znajomego krawca za świadka, za co obiecał i nadal stręczyć go przy przeróbce farbowanych ubrań i z bijącem sercem poszedł nad brzeg rzeki.

Zabrał był też ze sobą dwoje najstarszych dzieci, nietyle dla umocnienia tytułu własności przez osadzenie tych mieszkańców, ile dla zabezpieczenia tejże własności, to jest dopilnowania, aby flisacy odpływając co lepszych kawałków drzewa nie zabrali ze sobą.

Po kilku dniach pracowicie przez Jojnę i jego połowicę spędzonych, już skromna szabasowa uczta spożywana była przez całą rodzinę na — literalnie — „własnych śmieciach".

Pomiędzy danemi przez rabina pieniędzmi znalazł był Jojna miedziane trzy grosze i, uważając je za cudownego inkluza, postanowił przechowywać najstaranniej.

Rzeczywiście służyły mu te pieniądze prawie jak oliwa i mąka u wdowy w Sarepcie cudownie się rozmnażając.

Okno kupił w starym przerabiającym się domu za dwadzieścia groszy; drzwi kosztowały złoty, były wprawdzie spruchniałe i dziurawe, ale Ruchla pozalepiała je pakułami i papierem, co dostała darmo, potem pomalowała czerwoną farbą własnej fabrykacyi i wyglądały jak nowe.

Odtąd w Jojnie było dwóch ludzi: Lunatyk, zapatrzony duszą w przepowiednię rabina, wierzący niezachwianie w jej potęgę, oraz przedsiębiorczy syn swego plemienia, dokładający wszelkich starań, aby przyśpieszyć spełnienie się proroctwa.

Ruchla i starsze dzieci zasadziły plac otaczający budę warzywem, a że ogrodzenia nie było, całe dnie spędzały kolejno na odganianiu rozmaitych stworzeń *czystych* i *nieczystych* od owych przyszłych skarbów.

Chatkę pokryto całą warstwą gliny, jak tynkiem; od dołu Ruchla usypała rodzaj

przyżby z ziemi, na okna i drzwi uplotła maty, aby je na noc zawieszać i odważnie czekano zimy. Cóż! Robinson gorzej mieszkał!

Otrzymywane do farbowania ubrania suszyły się na sznurku przeciągniętym od budy do sąsiedzkiego parkanu.

Między małżonkami tylko często toczyła się głucha walka o zarobione pieniądze. Ruchla starała się dopilnować chwilę wypłaty, aby co więcej urwać na przekarmienie dziewięciu pociech; Jojna najczęściej znikał zaraz po otrzymaniu pieniędzy i wracał z pustą kieszenią, a tylko paru bochenkami chleba przyniesionemi ze stragana, płacił daninę obowiązkom żywienia rodziny.

Milczał uparcie, napastowany przez żonę, wskazywał tylko ręką na szczypior cebuli, obficie zieleniejący dokoła chatki, jakby mówić chciał, że rodzina ma „chleb i do chleba“ — i znów znikał do chwili aż wieczorem lub wczesnym rankiem sprowadzał na *swój plac* chłopską furmankę, wiozącą różne kawałki drzewa.

Jojna zdobywał drzewo bez wyboru rodzaju budulcu, ani też pochodzenia: czasem chłop ukradł kłodę w pańskim lesie i po nocy przywiózł sprzedać za parę *kruczków* wódki; czasem cieśle, stawiający domy w mieście, urwali parę bali, kosztem dokładności wymiaru; czasem przy przeróbce starych budynków znajdowały się zdrowe kawałki.

Wszystko to były groszowe nabytki, do których wynalezienia trzeba było mieć osobny zmysł. Ale Jojna ten zmysł posiadał. Prawidło etyczne: że nie grzech ukraść coś, co jest *pańskie, kazionne albo żydowskie,* znacznie dopomagało Jojnie. Uważałby tylko za grzech je przepłacać.

Pozostałe z datku rabina pieniądze, jako przeznaczone na chatę, użył też na chatę... przyszłą i odtąd obawiając się swego *miękkiego serca,* które na widok rodziny głodnej mogłoby uledz i oddać na żywność zarobione pieniądze, Jojna starał się nie mieć ich nigdy przy sobie.

Natychmiast po otrzymaniu zapłaty starał się umieścić w towarze. Wkrótce podwórko zostało założone drzewem.

Cieśla nie nazwałby tego budulcem, handlarz drzewem ruszałby ramionami na tę zbieraninę — ale Jojna wiedział, że jego chatka zbudowana z bardziej jeszcze nieodpowiedniego materyału, a jednak daje mu schronienie.

Władze miejskie nie zwracały uwagi na zainstalowanie się Jojny na placu. Cóż komu mogło szkodzić, że na śmietnisku, nie mającem właściciela, osiadł biedak nie mający się gdzie podziać — a cichy i potulny.

Latem mieszkał prawie na dworze, zimą nie zmarzł chyba dla tego, że cała rodzina sypiała razem na jednym tapczanie, zajmującym większą część chaty, ogrzewając się wzajemnie ciepłem swych ciał, przywalonych stosem wszelkich ubrań, a raczej gałganów.

Żywiono się chlebem, cebulą, czasem fasolą i gotowaną w garnku herbatą, którą Jojnowa dostawała wymokłą z poblizkiego żydowskiego zajazdu, gdzie się czasem najmowała do pomocy w usłudze przed uroczystemi świętami.

Ale jeśli mógł w naszym klimacie istnieć człowiek jaskiniowy, dlaczego w porównaniu z jaskinią wspaniała buda nie miała przezimować rodziny Jojny?

Niemożna powiedzieć, żeby cała ta rodzina miała wygląd herkulesowy; blade to było, anemiczne — ale żyło, uczyło się na małem przestawać i zdobywać swój byt przemyślnie.

Z biegiem lat warzywa obficiej rodziły na bogatym, dzięki swemu pochodzeniu, gruncie. Starsze chłopaki zdobyły skądś wędki i mając dużo wolnego czasu, dostarczały matce drobnych rybek nietylko na szabas, ale i w dzień zwykły.

A tymczasem zapasy drzewa zwiększały się coraz i już domyślni współwyznawcy Jojny zgadywali ich przeznaczenie. Ale żaden nie myślał mu przeszkadzać. Przeciwnie.

— Still, bis a zehn Juhr — przestrzegali owszem z domyślnem mrugnięciem.

I jakkolwiek przywykłym do pałaców a nawet domów wygodnych, zdawałoby się niepodobnem przezimować w budzie, skleconej jak szałas, to jednak Jojna z ro-

dziną spędził w niej dziesięć zim i dochował się z dzieci podrostków.

Po dziesiątym roku latem wielkie nieszczęście nawiedziło miasteczko: Cholera.

Władze były w poruszeniu, wszędzie robiono na gwałt porządki, usuwano śmiecie i odpadki gnijące, ustanowiono Komisyę sanitarną.

Żydzi wybladli i drżący spoglądali wzajemnie na siebie niespokojnie, pod wpływem strachu przed tą *paskudną chorobą*, której nigdy po imieniu nie nazywają, bojąc się w złą godzinę wymówić.

Wtedy zwrócono uwagę na rezydencyę Jojny. Ktoś w magistracie odezwał się, że tamto mieszkanie będzie ogniskiem zarazy, bo zbudowane na gruncie powstałym ze śmieci. Trzebaby to usunąć.

Polecono członkom Komitetu sanitarnego zbadać na miejscu stan rzeczy.

Ale nim członkowie Komisyi, po wesołym do późna wincie, zeszli nazajutrz na grunt, już on był odpowiednio przygotowany.

Bogatsi współwyznawcy, współczując dziesięcioletniemu jaskiniowemu życiu Jojny, uwzięli się, aby ta męka przyniosła owoce, t. j. aby prawne władanie placem nie zostało przerwane wysiedleniem przymusowem ze śmietniska.

Jeden z nich jako członek magistratu uprzedził Jojnę o niebezpieczeństwie, oraz opowiedział w kahale. Złożono się i zafundowano Jojnie niezawodny, w przekonaniu miejscowych władz, środek sanitarny: kilka fur piasku.

Podwórko, powstałe z gnijących szczątków cywilizacyi, zostało posypane piaskiem, jak naleśniki cukrem i — hygienie stało się zadość. Komisya znalazła porządek i Jojna utrzymał się na stanowisku, nie odwiedzany więcej przez stróżów publicznego zdrowia.

Cholera jednak nie dała się wywieść w pole sztuką, jak Komisya. Przyszła i zabrała jedno z młodszych dzieci.

Sąsiedzi i opiekunowie Jojny radzili mu wyprowadzić się z mieszkania, bo w nędzy, niewygodzie i wyziewach, wymrą wszyscy.

Ruchla zbuntowała się przeciw władzy mężowskiej i wraz z dziećmi dała się zabrać do baraków.

Jojna bosyny po dziecku odsiedział, żonę ile mógł zatrzymywał, sobie o opuszczeniu mieszkania ani dał mówić.

— Ja umrę w nowym, własnym domu; przedtem śmierć do mnie niema prawa. Tak Rabbi Pines powiedział. Cóż-to nie wierzycie Rabbi Pinesowi?

Takich niedowiarków nie było. Powaga proroka i ekstatyczny natchniony wyraz twarzy wyznawcy przekonywały. Dano mu pokój.

Miłosierni, ale bojaźliwi przynosili mu jedzenie i zostawiali obok parkanu, bojąc się wejść do miejsca, gdzie już straszna choroba zabrała jedną ofiarę.

Jojna przychodził do parkanu, zabierał jadło i wracał do chaty. Roboty nie miał, bo komu tam w głowie w tak smutnych czasach przerabianie ubrań! Kiedy nikt nie pewny, czy te co ma na sobie nie posłużą mu do trumny?

A gdyby się znalazł kto lekkomyślny,

to znów nie oddawałby roboty do miejsca, gdzie gościła zaraza.

Jojna siedział w chatce i modlił się, albo pełł grządki, póki mu siły starczyły — w końcu nie wyszedł z chaty.

Sąsiedzi spostrzegli nie zabrane z pod parkanu jadło i dali znać do *sanitarów*.

Nadeszli słudzy zdrowia, ale zastali Jojnę jeszcze żywego. Słaby był, ale przytomny. Osądzili, że nie warto go za życia przenosić do baraku. Przyniesiono gotową trumnę, wapno i sublimat do przysypania trupa.

Ale trup—przytomności nie tracił.

„Będę żył, bo tak Jehowa chce, idźcie sobie do innych."

Objawy choroby były silne, ale na twarzy Jojny nie znać było cierpienia. Powtarzał z uporem maniaka:

„Będę żył, wkrótce wstanę".

I rzeczywiście wstał, słaniając się jeszcze, poszedł na zwykłe miejsce po jedzenie.

Sąsiadki, wzdychając i cmokając ustami z podziwu nad mądrością Rabbi Pinesa, znosiły mu jadło i w pobożnej gorli-

wości dawały co lepsze i posilniejsze kąski.

Po paru tygodniach Jojna nietylko oporządzał grzędy, ale zamierzał iść na zwykłe poszukiwania taniego budulcu. Żona i dzieci odbywszy w baraku kwarantanę, wróciły a Ruchla przepraszała ze skruchą męża za swoją niewiarę i bardziej, niż inne kobiety cmokała nad mądrością rabina.

W lat trzy po strasznej cholerze, która zdziesiątkowała mieszkańców — na placu nad rzeką wznosił się dość duży dom, frontem do ulicy. Zawierał cztery magazyny od frontu dla właścicieli sklepów. Ceny sklepów i mieszkań, jako w dobrym punkcie były dość wysokie.

Dom przynosił komornego około tysiąca rubli rocznie mieszkającemu w suterenie właścicielowi, Jojnie Buntmacherowi, który przestał się zajmować rzemiosłem i w boźnicy na nabożeństwach zajmował jedno z zaszczytniejszych miejsc.

W dzień installacyi swojej w nowym

gmachu, Jojna odświętnie przybrany, ściskając nerwowo w dłoni, otrzymany niegdyś od Rabbi Pinesa trzygroszniak, wszedł znów, choć mniej przez kahalnych wstrzymywany, niż wtedy, przed oblicze mędrca.

Opowiedział swoją historyę, dzieje proroctwa tak szczęśliwie spełnionego i nieśmiało, drżąc z obawy, zapytał lojalnie:

„Rabbi, oto wzbogaciłem się, mam dom — czy każecie mi już sobie zwrócić cudowny trzygroszniak?“ — i pokazywał starą wytartą monetę na dłoni.

Rabbi znów przenikliwie patrzył mu w oczy i zadawał pytania:

— Czy masz jeszcze jakie ciężary na domu?

— Cały koszt budowy. Miałem tylko drzewo. Bank dał na dom, jakem go zaczął stawiać na kredyt.

— Dzieci wyposażyłeś? Czy masz je przy sobie.

— Jeszcze są przy mnie, choć już troje jest takich którym zakon każe stworzyć rodzinę.

— Czy cały dom sam zamieszkujesz?

— Nie, Rabbi, odnajmuję cały — wymienił sumę — sam mieszkam w suterenach. Nie przywykłem do zbytków.

— Zbytek gubi duszę, a ciało męża robi ciałem niewiasty. Idź, zatrzymaj swój pieniądz do czasu, aż wyposażysz ostatnie dziecko — a tylko na każdy szabas dawaj dziewięć razy po dziewięć takich pieniędzy biedniejszym od siebie i szanuj zakon, jakeś dotąd szanował."

Odtąd jedynym kłopotem starego Jojny jest przez tydzień z pieniędzy napływających od lokatorów i z zarobków dzieci, z których każde na siebie pracuje, wybrać ośmdziesiąt jeden trzygroszniaków — do rozdania ubogim.

Napróżno liberalniejsze dzieci radzą mu dać ubogim poprostu rubel i dwadzieścia jedną i pół kopiejki, jakąkolwiek monetą.

Stary się obrusza.

„Zakon trzeba szanować, a słów mądrych ludzi nie przekręcać po swojemu. Rabbi powiedział: dziewięć razy po dziewięć takich pieniędzy, a nie powiedział

rubel z kopiejkami. Póki żyć będę spełnię jego słowa, bo to był wielki mędrzec przed Bogiem".

I Jojna trwa przy swojem. Często się zdarza, że przy trudności dostania żądanej monety, zwłaszcza, iż całe miasteczko zna tajemnicę trzygroszniaków, płaci przekupkom znacznie drożej — ale co piątku wieczorem ma swoją kabalistyczną cyfrę przygotowaną, a wyszukiwanie to stanowi obecnie jedyne jego, oprócz praktyk religijnych zajęcie.

МАМКА.

— Oj! mamciu, ratujcie! Już chyba nie wytrzymam—krzyknęła Marysia ze swego kącika. — O Jezu! Jezu! — jęczała potem ciszej, żałośnie.

— Patrzaj ją, jaka mi hrabianka! nie wytrzyma. Nie takie, jak ty, muszą cierpieć, kiedy taka wola Boska. A nie wrzeszcz. Mało ci jeszcze wstydu? Chcesz, żeby wszystkie sąsiadki pozbiegały się patrzeć na to moje nieszczęście?

I ani myślała stara Andrzejowa iść na ratunek jęczącej córce. Częścią zwykła u ludu obojętność na cierpienia naturalne, częścią żal, że jedynaczka „narobiła jej wstydu" wstrzymywały ją od niesienia pomocy. Gdyby to było, jak sobie marzyła dawniej?... Ot, swatał się do Marysi

w zeszłym roku zamożny rzemieślnik, stelmach... I z pięknej familii, i zamożny: cztery krowy, jak katy w chlewie, a świnie, kury, gęsi, wszelka *żywina*. Byłaby Marysia gospodynią całą gębą, a i ona na stare lata miałaby gdzie głowę położyć, bo zięć byłby z niego najlepszy. Zawsze, bywało, przyjechawszy—starą, ją, w rękę z uszanowaniem całuje—choć on bogacz, można powiedzieć, a ona komornica. I do Marysi zawsze grzecznie z *waszecia* przemówi: „Jakże panny Maryanny zdrowieczko? a patrzy na nią, jak na *lanszaft!*... A ta głupia ani na niego spojrzy? że nie bardzo młody i ospowaty! mój Boże. Co to się ma do małżeństwa! A teraz? pożal się Boże, ten sam stelmach nie chciałby.

O, jakby Andrzejowa czekała była wnuczątka, jakby chodziła koło Marysi, wtedy niechby się sobie i wszystkie sąsiadki zleciały patrzeć, jak Marysi chyba ptasiego mleka brakuje, jaki ma od męża starunek! Cierpiałaby Marysia i wtedy? ba, dobrze i płakać, jak jest czem oczy otrzeć — a bez tego nie może być — i Matka Najświętsza cierpiała w stajence“...

Myśl o Matce Boskiej jakoś litościwiej natchnęła staruchę — zajrzała do kątka, gdzie była pościołka Marysi; jakoś głosu słychać nie było—może śpi.

Ale Marysia z osłabienia i bólu, poprostu zemdlała. Leżała z głową zsuniętą na gołą deskę, z zamkniętemi oczami, jak martwa.

Andrzejowa nie pierwszy raz była przy chorych. Nie straciła głowy, nie zawodziła żalów, ale zaczęła trzeźwić wodą omdlałą córkę — a tymczasem pod wpływem widoku tej twarzy ukochanej, a bladej i zimnej, tej postaci sztywnej i oszpeconej serce matki miękło i wzbierało litością, wyszukując dla zbrodni Marysinej okoliczności łagodzących.

— Ot, krzyknęłam, to i ucichła *biedniaczka*, aż nieżywa zrobiła się od bólu. Oj, nieszczęście, to pewno, że nieszczęście— ale jeszczeż ona nie najgorsza; bywają takie, co i śmierć zrobią temu niewinnemu stworzeniu, aby sobie ulżyć. A cóż ono winne? Niema co, trzeba wołać starej Stepanichy i jakiś ratunek dawać".

Tymczasem Marysia otworzyła oczy

i spostrzegłszy matkę nad sobą, zsunęła się z pościeli do kolan starej i obejmując je szlochać zaczęła. Ta pokora rozbroiła Andrzejową:

— No, no, — daj spokój, bo ot znowu *zemglejesz*, a ja nie *zdużam* ciebie dźwigać. Zaraz ja tu przyjdę, napij się wody trocha, a nie płacz. Co to już płacz pomoże. Jeszcze się napłaczesz nie raz na swoję dolę... I poszła. Wkrótce wróciła wraz ze Stepanichą, która objęła główną komendę w chacie, jako persona gratissima tej chwili i okoliczności.

Najpierw zabroniła chorej leżeć i wraz z Andrzejową obie prowadziły ją ledwie żywą pod ręce po chatce, przy czem dopytywały w którym punkcie chaty dawniej najczęściej przebywała Marysia, czy przed piecem, czy przy oknie, czy koło stołu przed obrazami świętemi, bo tam właśnie powinna czuć się lepiej i tam powinna stać teraz. Marysia, jeśli była w chacie, siadywała u okna. Tam więc postawiła ją Stepanicha a w antraktach szeptała półgłosem modlitwy, przeplatając je uwagami zastosowanemi do okoliczności: „Pewno

musiała na progu stawać? Cóż to młode, głupie, nie rozumie, że *takiej* na progu stawać nie godzi się, ot, a teraz jęczy? i dalej szeptała modliwy.

— A czy dobrze wy drzwi zamknęli?... bo to żeby czasem kto nie nadszedł i nie dowiedział się.

— Oj, to taki sekret, co się nie utai— z goryczą odpowiedziała Andrzejowa.

— Sekret nie sekret, a niemożna, żeby ludzie zawczasu wiedzieli, bo żałują: „a biedna, a męczy się"... a to gorzej szkodzi. Toż nawet i stworzenie — jak rżnąć kurę, czy gęś, czy co—to jak taki spojrzy, co pożałuje, to ono będzie zarznięte Bóg wie jak długo, skakać i męczyć się—już takie oczy u inszego — a cóż dopiero *w takim* razie. To ile *dusz* o tem wie, na każdą osobny ból trzeba przecierpieć. To już *sprachtykowana* rzecz!

Marysi w czasie tej wędrówki po chacie i staniu przy oknie parę razy słabo się zrobiło, nie była w stanie poruszać nogami — ale Stepanicha była nieugięta; z pomocą Andrzejowej włóczyła prawie chorą po chacie „dla jej dobra". W końcu

Marysia osłabła tak, że straciła przytomność. Położono ją i na chwilę dano spokój, poczem Stepanicha znów objęła komendę, aż dopóki przyniesiona przez Andrzejowę wódka, od czasu do czasu upijana „za zdrowie chorej" nie usposobiła samej garde-malade do uznania wyższości horyzontalnej nad pionową pozycyą.

Po kilkunastu godzinach opieki Stepanichy, jęki Marysi ustały, matka rozpaliła ogień, nagrzała wody i wzdychając od czasu do czasu: „nie taką ja kąpiel spodziewałam się robić"—jak gdyby dla stelmachowego potomka była ją robiła z nektaru—włożyła w nieckę czerwoną jak rak i wrzeszczącą głośno, istotkę.

Na drugi dzień Marysia podniosła się z łóżka i choć jeszcze jej się w głowie kręciło, zamiotła izbę, ale że ją matka zburczała, więc resztę dnia siedziała w łóżku i tylko ciągle to upowijała, to chciała karmić, to kołysać na rękach dziecko.

Matka odbierała jej malca.

— Jeszcze czego! naucz ciągle tylko

z rąk nie spuszczać, to potem on się ruszyć do niczego nie da. A jeść co będziesz? Co to mąż na ciebie zarobi, że ty możesz, jak jaka pani siedzieć i cackać się z tą zabawką. Ot, i niewiadomo jak i tak, będzie wyżyć z zarobku. Chyba na służbę gdzie z dzieckiem zgodzisz się, ale i kto z nim weźmie? Chyba za kawałek chleba!...

Drugiego dnia już Marysia wstała na dobre i krzątała się po chacie, a matkę namówiła, aby poszła, bo się trafił lepszy zarobek. Szkoda stracić. Wołali do dworu, do prania. Przy praniu płacą dwa złote i jeść dają i wódki kieliszek—a to nie codzień można zarobić zwłaszcza teraz przy krótkim dniu.

Wieczorem Andrzejowa przyniosła ze dworu wiadomość, że do państwa znajomych o dziesięć wiorst, do Dzikowa, szukają mamki.

— A cóż, to zarobek dobry, niema co mówić. Oj, nie na mamkę ja ciebie hodowała! ale kiedy taka dola, to już chyba pójść — bo zarobić z dzieckiem nie zarobisz!

— Jakże? i ono żeby tu głodem przepadało, a ja będę cudze dziecko hołubić? niechcę, mamo, niechcę — wolę niewiem jak biedować!

— Głupia! A tak, to nie będzie głodem marło? Pójdziesz na cały dzień na zarobek, a ono będzie głodne, a ja jemu co dam? Za ten marny zarobek, myślisz, mleka kupię? jeszcze i w tej porze."

— Będę jego ze sobą brała na robotę.

— Co? na mróz, albo na słotę. Co ty głupia gadasz? Co to u ciebie mąż, grunt, gospodarstwo, dostatek? że ty możesz swoje dziecko karmić i ciebie głowa nie zaboli, co jutro do garnka włożyć. Nawarzyłaś piwa, to i pij!

Marysia ucichła, cicho też spłakała się, przewijając maleństwo, ale słowa matki powoli trafiały i do jej przekonania.

Kiedy więc w parę dni żydek z Dzikowa przyjechał z propozycyą ze dworu, była zdecydowana.

Andrzejową wprost olśniły warunki: sto rubli rocznej pensyi, zwierzchnie ubranie gotowe, bo pani życzy sobie, aby mamka nosiła takie ubranie, jakie gdzieś

na ciepłych wodach widziała — jedzenie delikatne — „na co wiele gadać“ — kończył pośrednik — ona będzie w takiej rozkoszy, jak jaka grafinia!“

Zapowiedział, że państwo przyślą furmankę, jak będzie trzeba i zostawiwszy zadatek, odjechał.

Marysia zamyślona płakała, a matka dogadywała:

— Powinnaś jeszcze Bogu podziękować za takie szczęście! — Sto rubli, toż to kawał grosza, nietylko mleka wiele chcąc dla małego będę miała, ale pod wiosnę krowę można kupić i już! A na siebie nie stracisz, jeszcze i w *zagranicznem* będziesz chodziła, a nie bez tego, żebyś i gościńca jakiego nie dostała. Bo to u państwa taki zwyczaj. A to tam, słyszę, pierwsze dziecko, to się cieszą — to już komu, komu, a mamce z tego korzyść. Czy chrzciny, czy jaki dziadunio, czy babunia, czy kto z familii przyjedzie, pocieszy się dzieckiem, a mamce też da na czepek. Bywałam ja po dworach, jak nieboszczyk żył i sługiwał — to wiem, napatrzyłam się różności.

— A tylko już trzeba się szanować, bo to nigdzie wyjść nie puszczą, ni zjeść co prostego—a koło dziecka trza czysto, jak koło szkła—ale też tyle i twojej roboty będzie.

Marysia ciągle popłakiwała.

— Czegoż płaczesz? Bogu dziękuj i Matce Najświętszej! Za twoje grzechy Pan Bóg mógł tobie jaką ciężką karę zesłać — bo tak się i należy, cóż ty sobie myślisz?— a ciebie od Boga takie szczęście spotyka i ty jeszcze płaczesz?

W tydzień potem Marysia przysłaną z Dzikowa furmankę podjeżdżała pod bramę. Tam zatrzymano się, gdyż nawet pod oficynę nie wolno było podjechać, aby turkotu nie słychać było we dworze, a gruda była i mróz. Marysia widywała dwory; sługiwała za dziewkę folwarczną, chodziła na zarobki, więc oswojona była i z wyglądem dworów i z ich ceremoniałem — ale dziś jechała w wyjątkowem usposobieniu a i trafiła na wyjątkową chwilę.

Spłakana przy rozstaniu z dzieckiem, zmęczona trzęsącą drogą, zziębła, bo niebardzo była zaopatrzona w ciepłe rzeczy, a i najcieplejszą chustkę zostawiła matce do okrywania malca—rada była się znaleźć w ciepłej izbie i pod jakąś opieką.

Ale kiedy w towarzystwie opiekunażydka zdążała, niosąc swój węzeł z rzeczami, od bramy ku dworowi, z bocznego ganku wybiegła służąca, skierowując nowoprzybyłą do oficyny:

— Zaprowadźcie mamkę do *praczkarni*. Starsza pani kazała, aby tam pobyła, nim doktór przyjdzie. A żeby do niej nikt nie przychodził i nie zbliżał się.

I pobiegła z powrotem do garderoby.

Marysi zrobiło się straszno. Dlaczego ma być zamknięta w praczkarni i odosobniona, aby się nikt do niej nie zbliżał? I doktór ma przyjść. Przecież ona nie chora. Czy to, aby zostać mamką u państwa trzeba przebyć jaką operacyę? Truchlała. W praczkarni była przygotowana na ziemi ogromna balija, mydło, jakieś buteleczki, a w kotle parowała woda. Piorą tu, no, to jeszcze nic strasznego, do

operacyi przecie musiałyby być jakieś straszne noże... Ale po chwili drzwi się otworzyły i wszedł poważny pan w okularach i herkulesowej postaci jejmość od szyi do stóp zasłonięta ceratowym fartuchem.

Dotychczasowy opiekun został odprawiony przez pana doktora, a Marysia pomimo łez i protestacyi poddana przymusowej poradzie lekarskiej dwóch połączonych powag.

Ale jeszcze więcej czuła się obrażoną, przekonawszy się, że wszystkie utensylia w pralni były przygotowane — dla niej. Traktowano ją jak zadżumioną. Doktór pogadawszy ze swą towarzyszką, choć po polsku, ale jakoś tak, że Marysia nic nie rozumiała, wyszedł, umywszy ręce wodą z dodatkiem czegoś bardzo wonnego; odchodzącego jeszcze jejmość w fartuchu zwróciła i ku wielkiemu zdumieniu Marysi opryskała takąż woniejącą wodą całe jego odzienie, za pomocą jakiejś nieznanej Marysi maszynki. Poczem olbrzymia pani kazała Marysi kąpać się w balii, nalawszy do niej owej niepachnącej wody.

Marysia walczyła długo o swój honor: cóż to ona, broń Boże, parszywa, żeby jej się kazać kąpać wśród zimy, jeszcze i w jakichś lekarstwach? Nic. nie pomogło. Pani w fartuchu wytłomaczyła jej, że wszystkie mamki na świecie muszą się temu poddawać, aby nie przyniosły dziecku lub jego matce jakiej zaraźliwej choroby, że potem co pewien czas będzie się kąpała, ale już tylko w wodzie zwykłej, że chcąc brać dobrą pensyę, trzeba się stosować do żądania państwa i t. d.

Podczas kąpieli Marysi pani tymczasem rozwiązała jej tłomok i wszystkie manatki spryskała maszynką tak jak ubranie doktora, poczem sprawdziwszy jeszcze dokładność ablucyi — wyszorowaną, woniejącą karbolem, wystrojoną Marysię zaprowadziła do dworu.

We dworze wszyscy chodzili na palcach, rozmawiali głosem przyciszonym, jak się rozmawia przy niebezpiecznie chorych, w pokoju, gdzie śmierć zapanowała, lub w kościele.

Pani Amelii wczoraj Bóg dał córeczkę, a jakkolwiek konsyliarz utrzymywał, że tak nowonarodzona jak i młoda matka znajdują się w dobrem zdrowiu, ale nie on był pierwszą osobą w domu i mając do czynienia z pacyentkami z różnych sfer nie mógł, naturalnie, wiedzieć, co osoba takiego urodzenia i stanowiska odczuwa, nawet, kiedy się ludziom zwykłym zdaje, że jest zupełnie zdrową.

Szczęściem pani Amelia u progu swego macierzyństwa miała opiekę pani Wirginii, swej matki i światłą radę jejmości w ceratowym fartuchu, pani Kasprzyckiej, która nie poniżała swego zawodu aż do pielęgnowania klijentek z niższej sfery, będąc wzywaną wyłącznie do osób płacących tęczówką. Pani Kasprzycka była tak wykwalifikowaną w swoim zawodzie, że nie pojmowała, jak ludzie mogą przychodzić na świat, wychowywać się i żyć bez całego arsenału karbolu, jodoformu, sublimatu i narzędzi do wprowadzenia w organizm tych specyałów — a raczej wiedząc, że przecie znaczna część ludzkości obchodzi się bez tych dobrodziejstw

cywilizacyi, myślała o nich: — tacy też to i ludzie!

Pokój pani Amelii obszerny i zwykle inaczej urządzony — teraz chwilowo pod dyrekcyą pani Kasprzyckiej został zamieniony na salę szpitalną; dywany, meble miękkie, portyery, firanki, jako uznane rozsadniki bakteryj chorobotwórczych zostały usuniętę; łóżko wysunięte na środek, podłoga zasłana grubą ceratą, dla ułatwienia dezynfekcyi, okna zasłonięte storami gęstemi, dającemi stały zmrok w pokoju.

Pani Amelia tonie w fali koronek, jedwabiów i haftów. O ile dojrzeć można w półzmroku wygląda blado, ale rzeźwo — tylko regulamin trzyma ją w nakazanej pozycyi i nastroju.

Przy łóżku z miną skupioną a razem czujną siedzi w fotelu pani Wirginia. Córka oparła się usunięciu tego fotelu z pokoju, aby matka mogła wygodnie czuwać przy niej — pogodzono oba względy, wybrano fotel obity ceratą — a pani Wirginia opowiadała o uwadze córki z rozczuleniem: „Cet angé, nawet w takiej chwili,

gdzie idzie o jej życie — elle ne pense qu'aux autres".

W tej chwili jednak gromi córkę zlekka:

— Mais, ma chère, zkąd ci znów te pomysły? Une femme de notre classe, musi przecie coś zrobić dla świata. Tu ne peux donc perdre ta taille, comme une paysanne.

— Kiedy właśnie, mamo, pani Julia mówiła, że karmienie, jako naturalna funkcya, bardzo dobrze wpływa...

Pani Wirginia przerywa niecierpliwie.

„Najpierw nie mów tak dużo i tak głośno—c'est defendu w twojem położeniu.

— Kiedyż ja się czuję silną, nawet więcej mię fatyguje głos tłumić.

— Fi donc. To nie tylko niezdrowo, ale wprost nieprzyzwoicie po takiem przejściu wyglądać comme si de rien n'était. A co do tych tam naturalnych funkcyj, powinnam się była domyśleć, że to nikt, tylko pani Julia ci naplotła tych nonsensów.

— O, mamo! ona taka wykształcona...

— Laisse donc, Ona jest wprost: przewrócona głowa. Elle a des idées! Z naj-

zwyklejszej rzeczy robi jakieś zasady, idee, dramaty."

— Ona mówi, że karmić, to obowiązek matki, jeśli może — a ja tak się dobrze czuję... Ona sama także karmi swoje dzieci.

— Niech sobie karmi, ale ty nie będziesz. N'as tu donc pas vu sa taille?— ze świętem oburzeniem już mówiła pani Wirginia.

— Cóż? widziałam, nic nadzwyczajnego—dość zgrabna.

— Tak? w gorsecie. Ale ja ją widziałam w negliżu. Mówię ci, une vraie nourrice!

— O, jeśli tak...

— Ależ, mon enfant, czyż *matka* mogłaby ci źle radzić. Wierz mi, ja mam doświadczenie. Karmienie męczy, osłabia, krępuje, psuje figurę, a une femme de notre position niemoże się przecie zamknąć w czterech ścianach w rok po ślubie. Można być une mère devouée sans être nourrice, ty, która zawsze tylko myślisz o drugich tu feras une mère modele, je-

stem pewna, nie potrzebując przykładów od pani Julii."

Ale pani Amelia dawno była przekonana. Przed oczami jej duszy stanęła jej własna postać w zwierciadle: rozrośnięta, otyła, karykatura jej obecnie znowu dziewiczych kształtów i pani Amelia z przerażeniem cofnęła się przed tą postacią.

„Ach, nie, zbrzydnąć, albo stracić te posągowe kształty?—nigdy!

Po chwili pani Kasprzycka cichutko wsunęła się do pokoju i wezwała panią Wirginię.

Pokój, do którego weszły, był również *ad hoc* urządzony, tylko inaczej: przedewszystkiem robił wrażenie bombonierki lub gniazdka. Główne miejsce zajmowała w nim kołyseczka, biała ze złoceniami, wypełniona zwojami białych batystów i haftów, oraz niebieskiego jedwabiu; wśród których, jak w gniazdku, tonął pakunek w takież batysty spowity: bohaterka dnia, córeczka pani Amelii. Kołyseczka stała pod zwieszającą się od sufitu firanką białą, ozdobioną niebieskiemi węzłami, a podtrzymywaną w górze przez rzeźbionego

białego amorka; firanka ta dawała się zasuwać na kołyskę, otulając ją w koło zwojami swych delikatnych fałdów.

Wszystko w tym pokoju było białe z niebieskiem, wszystko kosztowne, eleganckie, czyste, jak śnieg, a jak puch miękkie; tylko jakby dla kontrastu stało w nim łóżko proste, raczej do tapczana podobne, zasłane bardzo pospolitą pościelą: przyszłe posłanie tej, która małej bohaterce miała odtąd dawać codziennie *życie*, bo własnemu dziecku odjętą *żywność*.

— Proszę pani, mamkę już przywieźli jest gotowa. Czy pani każe zaraz jej przyjść do dziecka?

— Ach, moja dobra pani, czy tylko ona jest już dość czysta, bo to...

— O, proszę pani—odparła z godnością dama w fartuchu — *ja sama* ją poddawałam dezynfekcyi i doktór badał.

— Bo to widzi pani, ostrożności nigdy nadto. Ja się tak na tem nie znam, ale po tem, co nam pani wczoraj opowiadała o tej gorączce, to się już wszystkiego boję.

— O, bywają okropne wypadki, ale *w mojej* praktyce nic się podobnego nie zdarzyło. *U mnie* do pokoju chorej mucha bez dezynfekcyi nie przyleci,

— To też ufamy pani zupełnie. Ale co do tej mamki, to jeszcze moja córka żąda, aby póty nie dawać karmić, póki pani i doktór nie obaczą jej dziecka, czy rzeczywiście nie jest starsze, niż oni mówią i czy zdrowe. Pani stąd odjechać nie może od chorej—ale możnaby sprowadzić dziecko, Już konie zadysponowane, za dwie godziny możemy je tu mieć.

— Taki kawał drogi i zimno?...

— Ach, pani! To trudno. Moja córka jest tak troskliwą, choć młodą mateczką, że nie chce nic opuścić, co do spokoju o dziecko jest potrzebne; ci ludzie, pani, są tak przewrotni, że mogli nieprawdę powiedzieć i o wieku i o zdrowiu dziecka. Tak zaś będziemy mieli żywy dowód.

— To trzeba będzie mamkę drugi raz poddać dezynfekcyi. Straci się trocha czasu — mówiła jakby do siebie pani Kasprzycka.

— Nie, pani, pocóż mamce pokazywać jej dziecko. Niepotrzebne wzruszenie, które może wpłynąć na pokarm... Chociaż, czyż to ci ludzie mają jakiekolwiek uczucia, elle quitte son enfant dla zarobku! okropność, c'est inhumain — kończyła sama do siebie pani Wirginia.

— To i dobrze. Mamka już tu zostanie w dziecinnym pokoju, a ja dziecko obejrzę w praczkarni i natychmiast odeszlę.

Ani wiedziała Marysia, że w godzinę potem jej malec był tak blizko niej, a tak daleko. Blizko, bo na tymsamym dziedzińcu—a daleko, bo okazawszy się przy inspekcyi lekarskiej zdrowym, rozstrzygnął własny los, tracąc niepowrotnie prawo do matki, która odtąd stawała się jednym z utensyliów blado-niebieskiego pokoju i traciła prawo do obowiązków, uczuć i przywilejów naturalnych. Zostawała *mamką*.

Odtąd życie Marysi płynęło z pozoru bardzo jednostajnie, ale dla niej rozmaicie. Nie dla tego nawet, że miękki zbytek,

tak zblizka widziany, był dla niej nowością, mogącą długo bawić jej prostą naturę — ale że wpadła w klasztorno-szpitalny regulamin, do którego ani raz nałamać się nie mogła i aby nie być strofowaną przez swą władzę, energiczną panią Kasprzycką, musiała robić ciągle wysiłki umysłowe dla czuwania nad swoim sposobem postępowania

Tyle rzeczy było jej nakazanych, a tyle innych niedozwolonych, że musiała ciągle myśleć, aby się nie pomylić; że zaś do myślenia nie była przyzwyczajona, było to dla niej męczącą pracą.

Miało to jednak swoją dobrą stronę. Nie pozwalało tęsknić za dzieckiem. Bardzo więc rzadko i to bez smutku myślała Marysia o swoim Jaśku. Wszystkie elegancye i wygody, otaczające małą panienkę, powinnyby kontrastem swoim były naprowadzić Marysi myśl, o braku pieluszek u Jasia, o tej jedynej ciepłej chustce, którą mu zostawiła na okrycie, o całym niedostatku w chatce starej Andrzejowej.

Ale one batysty, hafty, jedwabie — tyle dawały Marysi utrapienia z powodu musu

ostrożnego obchodzenia się z niemi, cały ten zbytek był taką zmorą jej dni, że omal nie z ulgą wyobrażała sobie Jaśka na brudnym kawałku radna okrywającego nigdy nie zmieniane sianko, z zaślinionym gałgankiem, owijającym cukier w piąstce i... pachnącego barłogiem. Znane jest ludowe powiedzenie: „Co to mi za dziecko, co nie pachnie barłogiem!“ Marysi pupilka, kąpana dwa razy dziennie w uperfumowanej wodzie: zawijana w co godzina zmieniane batysty, robiła na niej wrażenie jakiejś bardzo *zamysłowatej* rośliny, ale nie dziecka, w jej rozumieniu, bo nie pachniała barłogiem.

Przez pierwsze dni dziesięć pobytu w Dzikowie, Marysia była staie pod kierunkiem i kontrolą pani Kasprzyckiej; bała się jej jak ognia, bo energiczna jejmość pilnowała każdego kąska, niesionego do ust przez Marysię i sprawdzała czystość każdego przedmiotu, mającego styczność z dzieckiem, a więc przedewszystkiem tego żywego sprzętu—mamki, co niesłychanie obrażało nieprzyzwyczajoną do tych wymysłów Marysię.

Kiedy dawniej uważała za dostateczne umycie się co sobota wieczór i obleczenia co niedziela czystej bielizny, a uczesanie też wystarczało na cały tydzień; jak zresztą robiły i wszystkie znajome jej kobiety i dziewczęta; teraz wymagano od niej co tydzień kapieli, a codzień bardzo gruntownego umycia i uczesania. Nie były to obowiązki przykre fizycznie, ale moralnie dręczące, bo dawały do myślenia, że się jej brzydzono a to jest jedna z największych obelg, jakie podług savoir-vivre Marysi dadzą się wyrządzić.

Gorzej jednak jeszcze dziać się zaczęło mamce po odjeździe tej prześladowczyni, Kasprzyckiej. Trzeba było samej pilnować się naznaczonych w karmieniu godzin, samej kąpać i spowijać dziecko, co Marysia doskonaleby umiała, gdyby to było *dziecko zwykłe*, albo chociaż, gdyby na niej nie spoczywały krytyczne oczy starszej i młodej pani. Przy kąpieli asystowały te panie zawsze, od kiedy pani Amelia wstała z łóżka — a choć z początku pani Wirginia odradzała jej tę fatygę,

młoda matka odważnie wytrwała przy swojem.

„Mais, maman, c'est mon devoir" — odpowiadała, kiedy matka nie chciała jej pozwolić opuścić gości na oznajmienie, że kąpiel podana dla dziecka.

I włożywszy elegancki fartuszek, szła sama polewać z gąbki pachnącą wodę na różowe ciałko córeczki.

Czasem kto z gości bardziej *intime* bywał też dopuszczany do tego obrzędu i wtedy ręce Marysi, czując na sobie tyle ciekawych oczu, jeszcze mniej śmiało i zgrabnie dotykały Marludki.

Z imieniem tem też długie były debata, nim się na nie zdecydowano i długa nauka, aby Marysia zdołała je wymówić.

Odbyła się długa narada familijna, jak się ma nazywać infantka. Wszyscy zgadzali się na to, że ma to być imię ogólnie europejskie łatwo do wymawiania w obcych językach, ale które? Ojciec prosił, aby nosiła imię swej matki, a jego najdroższej Meli; babcia proponowała Różę, bo to było imię bogatej ciotki, po której się spodziewano sukcesyi; matka zaś, jak

wszystkie matki, trochę zabobonna, chciała nazwać córkę Maryą, bo to imię sobie przyniosła—a to przynosi opiekę patronki, rodzaj duchowej *protekcyi*, tej znanej wszechmożnej potęgi.

— Więc niech będzie Marya-Róża; Marie-Rose, cela sonne bien — mówiła pani Wirginia.

— O, nie — Alfredowie myśleliby, żeśmy ich zanaśladowali. Wprawdzie to prześliczna kombinacya, spieszczenie niezrównane, Rozmarynka po polsku—ogromnie oryginalne — ale już nie oryginalne, bo taką mamy w sąsiedztwie.

I pani Amelia zamyśliła się zniechęcona, ale widocznie umysł jej pracował nad tem ważnem zagadnieniem, bo po chwili z Archimedesową radością, podskoczyła prawie na łóżku i zawołała.

— Będzie równie ładne i równie oryginalne— a nie powiedzą, że naśladowane po Alfredowej. Marie-Louise, Marludka w spieszczeniu — N'est-ce pas que c'est mignon?

— Exquis! ale dla ciotki niema cette

petite atention, która, bądź co bądź, zjednywa.

— A stryj Ludwik? przecież może się też nie ożeni, à l'âge qu'il a.

Prawda! Oj to główka mojej Meli! — wszystko pogodziła! — unosiła się p. Wirginia.

Ale Marysia stale wymawiała potem imię swej pupilki Maryutka, co zmusiło do zabronienia nazywania jej po imieniu odtąd mówiła „dziecko", albo „moja panienka", co bardzo bawiło p. Melę.

W ogóle pani Mela bawiła się mamką, dzieckiem, a najwięcej swoją rolą „de mère modèle" którą w nią wmówiła matka.

Więc czytywała książki pedagogiczne i wyciągała z nich rady, które możnaby stosować, że tak powiem, cudzemi siłami. Ponieważ dziecko, ta wątła roślinka potrzebuje ciągłej pieczy, starania i poświęcenia — więc owe starania i poświęcenie musi mieć w najobszerniejszym zakresie, a dawać je ma—naturalnie mamka.

Mamka więc musiała jadać to, co dobrze wpływa na pokarm; wychodzić do

towarzystwa innej służby niewolno jej było, bo *ci ludzie* miewają rozrywki tak mało uduchowione, że to mogłoby nastrajać mamkę zbyt hulaszczo, i źle oddziaływać na dziecko; aby więc zastąpić naturalny ruch fizyczny kazano mamce się gimnastykować, ale że łzami oblewała tę mustrę, więc skończyło się na praniu i maglowaniu garderoby infantki, dla zbawiennego ruchu.

Słowem pani Mela była wzorową... kontrolerką bardzo skomplikowanych obowiązków Marysi, a miała siebie za wzorową matkę. Marysia zaś była niewolnicą stosowanych à la tettre pedagogiczno-hygienicznych systemów.

Szczęściem dla niej nie zdawała sobie dokładnie sprawy ze swej niewoli; wszystkie te przepisy miały dla niej tajemniczość i *niepojętość* obrzędów i jak fellach przed kuglarstwem egipskich kapłanów, ona korzyła się bezmyślnie przed tą swego rodzaju potęgą.

Jedyną chwilę realną a szczęśliwą miewała Marysia, dostawszy pierwszą miesięczną pensyą. Cały dzień wtedy my-

ślała o Jaśku, co mu tam matka nakupuje za te pieniądze. Zdało się jej, że nie wiem jakie pałace i specyały będzie miał malec od tej chwili. Ciągle go miała w oczach. Odesłała pieniądze przez okazyą, znalezioną przez samą panią, gdyż sama nie mogła z nimi bezpośrednio się porozumiewać.

Ale smutnie ten dzień skończyła: niewiadomo dlaczego i kąpiel była nieodpowiedniej temperatury i gąbka nie na miejscu i pieluszki były niedobrze umaglowane i mogły uwierać delikatne ciałko Marludki, słowem — mamka się zaniedbuje, mamka nie rozumie tego, że najmniejszy ból, sprawiony dziecku, *matkę* przejmuje do serca; mamka jest niewdzięczna, bo oto dziś dostała pieniądze, a przecie drogo jej się płaci — a oto dziś biedna niewinna dziecina, Marludka, tak źle jest obsłużona.

Marysia wolałaby, aby ją pani skrzyczała, jak np. ekonom na polu, bywało, za niedbałą robotę; ale te żałośnym i monotonnym głosem wypowiadanane *łagodne* wymówki i odmieniany pieszczonym gło-

sem przez wszystkie przypadki wyraz *dziecko*, dziwnie dziś rozstraja mamkę. Łzy jak groch zaczynają kapać w kąpiel.

Oto nowy dowód, jak mamka niema do Marludki przywiązania, tyle razy słyszała, że irytacya szkodzi na pokarm i oto nie umie zrobić ze siebie tej małej ofiary, aby nie płakać, karmiąc dziecko. Doprawdy, ci ludzie nie mają serca!

Zdumienie powstrzymuje Marysi łzy.

Ale tyle razy słyszała o swoich winach, że i sama w końcu wierzy, iż zawiniła i skupia wszystkie siły umysłu, aby uważnie zawinąć, nakarmić i ułożyć do snu dziecko.

Kładnie zresztą zawsze bardzo uważnie, bo firanki kołyseczki są tak urządzone, że odsuwając je i zasuwając można zaczepić w górze za nóżkę amorka — a że w przekonaniu Marysi jestto wizerunek anioła-stróża, czuwającego nad spoczynkiem dziecka, więc miałaby sobie za świętokradztwo niemal potrącać *świętość;* ile razy zbliża się ku łóżeczku, spogląda ku górze na *janiołka*.

Taki sam przecie, choć go grzeszny

człowiek nie widzi, unosi się także nad łozinową kołyseczką Jaśka i Marysia patrząc na amorka, modli się myślą do tamtego jego niebiańskiego braciszka, aby czuwał nad jej synkiem kochanym.

I nuci Marludce do snu w takt bujającej się kołyseczki:

Spało dziecię i spać będzie,
Spało dziecię i spać będzie,
Sam Pan Jezus Stróżem będzie,
A Maryja z *janiołami*
A Maryja z *janiołami*
U dzieciątka nad głowami

Piosnka ma melodyę monotonną, senną; nic dziwnego, że dziecię usypiają łatwo przy tej kołysance.

Ale i Marysia zasnęłaby śpiewając jedno i to samo. Więc sobie czas urozmaica, zmieniając piosenki.

Troszkę weselej brzmi następna:

Ę, ę kotki dwa
Szare bure obydwa i t. d.

Mamka jest niewyczerpana w piosenkach:

Za chwilę rozlega się inna, o dziadzie, kołysanym przez babę do obiadu i bez ustanku, od wieczora do poranku.

Potem rusińskie kołysanki, np.

Chodyw son koło wikon
A dremota koło płota
Pytajet'sia son dremoty
De my budem noczowaty:
De chatynka nyzeńkaja,
De detynka małeńkaja,

I oczywiście chatynka nizka przypomina jej matczyną chatkę i maleńką dziecinę Jaśka. Ale teraz już Marludka śpi; mamce w nocy wolno myśleć o swoim Jasieńku. Oj, to też myśli aż do zaśnięcia, a potem we śnie znów widzi synka i nosi go i kołysze i śpiewa.

Tylko zbudzona kwileniem Marludki przypomniawszy sobie sen rozmyśla:

„Oj, sen mara, ale jednak, mówią, niedobrze, jak się śni małe dziecko; będzie jakieś zmartwienie, albo nieszczęście. Boże zmiłuj się, aby nie w domu! Ale przecie matka dobrze pilnuje Jaśka—a dałaby znać. Och, już pewnie jutro coś Marysia

zapomni w obsłudze *Maryusi* i Pani będzie się gniewała".

W parę dni państwo, korzystając z pięknego dnia wyjechali na spacer, co poruszyło cały dom, bo dotąd pani nie wychodziła z pokoju.

Kareta na saniach wysłana futrami, konie dobrane najspokojniejsze, pan sam sprowadza ostrożnie z ganku—jak szklanną, swoją najdroższą Melę, służba znosi coraz nowe okrycia, wszystko jest w poruszeniu, a sama bohaterka dumna ze swojej odwagi, bo Maman n'aurait jamais permis de faire cette escapade—ale mama już odjechała, a pani Mela z jednej roli przechodzi w drugą: swawolnej pensyonarki *brawującej* ze zdrowiem i konwenansem. Mąż znajduje, że w tej roli jest jeszcze bardziej *ravissante* i pani Mela *puszcza się,* pobożnie przeżegnawszy się wsiadając.

Mamka dostała rozkaz nie ruszać się z pokoju dziecka ani na krok. Ale reszta służby korzysta z rzadko się trafiającego

tak zupełnego bezkrólewia i w parę minut Marysia zostaje sama na cały dom. Dziecko śpi. Cóż mu się stanie, jak mamka wyjrzy trocha do innych pokojów, np. do salonu, gdzie się można od stóp do głów przejrzeć w tem ogromnem lustrze.

Napatrzywszy się do woli i znalazłszy, że nawet do twarzy jest jej w tym zamorskim stroju *szwajcarskim*, obchodzi wszystkie kąty, siada i buja się na sprężynach kanapy.

„O Jezu, jakie tu wszystko piękne a dziwne".

U okien stoją jardinierki z kwiatami. Wśród zimy tyle kwiatów! Czy też pachną?

Marysia spogląda w okno.

„Jezu! A toć matka idą od bramy. Bez Jaśka!"

I jednym skokiem już jest w garderobie, sieni, i kiwa na starą Andrzejową z ganeczku.

Nie myśli w tej chwili o zakazie wychodzenia, a tembardziej wprowadzania obcych do mieszkania. Toć nie obcy, to jej matka.

Pewnie Jaśka zostawiła u Stepanichy, bo takie zimno dla dzieciaka.

I uśmiechnięta, szczęśliwa całuje rękę matki i wciąga ją do garderoby, nim ktokolwiek z oficyny spostrzegł nawet przybycie starej.

Ale Andrzejowa patrzy groźnie na jej uśmiechniętą twarz.

— Czegoż zęby szerzysz? To ty taka matka? Rada, że pozbyła się?

— Toż samiście kazali mamo...

— Co? ja kazałam?

— A iść na mamkę tutaj — mówiliście, że inaczej nie wydołamy z dzieckiem. Jakże ono, mówcie!

— Jakto, nie wiesz?

I Andrzejowa zanosi się płaczem, urywanemi słowami opowiadając, że już Jasieńko: *w surowej ziemi*

Marysia nie płacze. Z zaciśniętemi zębami i błyszczącemi oczami słucha urywanych słów i składa okropną całość.

— Od czasu, jak przywozili tu Jaśka" — Marysi zęby zaciskają się silniej — żeby pokazać doktorowi, dziecko zaniemogło. Juści tyle oczów patrzyło na niego! Zaraz

jemu ścisnęło w piersiach i *wrzuciło* w gorączkę. Aż ogień szedł od niego! Zaraz *nakazałam* tu do ciebie, żebyś wiedziała i jaki ratunek dawała, toć twoje dziecko! Ale państwo *przysłało* trzy ruble na felczera i lekarstwa i kazali powiedzieć, że tobie nawet niemożna mówić, bo się zmartwisz i pokarm ich dziecku zaszkodzi.

Marysia czuje, jak jej krew w skroniach wali jak młotem, ale milczy i niema łez w oczach, lecz ogień.

„Nosiłam do felczera, powiedział, że przeziębione, dał jakieś proszki, ale nic nie pomogło—i ot Bóg zabrał."

— Posłałam do ciebie babę, żebyś choć przyszła grudkę ziemi rzucić swemu dziecku na trumienkę. A ciebie nie było. A ludzie dziwowali się i mówią: To suka nie matka. Myślę sobie: prawda. I przyszłam ciebie przeklinać.

Marysia głośno jęknęła i załamała ręce.

— A ot, oni tobie nawet nie powiedzieli, tak jakby to szczenię zdechło, nie dziecko u matki.

Ale Marysia nie słucha reszty.

— Jakto! Jasieńko umiera, a jej nie-

wolno go ratować, ani zapłakać po nim, ani grudki ziemi rzucić mu raz ostatni! I to dla nich? Dla ich dziecka? Nie, kiedy tak—to niech im tak będzie, niech ich taki żal piecze w głowie i sercu! Kiedy ona suka, to już wszystko jedno. A nie daruje! Niech i u nich nie będzie dziecka.

Z błyszczącemi oczami i zaciśniętemi pięściami przybiega do kołyski Marludki. W pokoiu półświatło, bo story spuszczone, oliwna lampka pali się przed Matką Boską Karmicielką, cicho, dziecka oddechu nawet nie słychać z za firanek.

Marysia odsuwa firankę i siłą przyzwyczajenia podnosi oczy w górę, bo się muślin zaczepił o nóżkę amorka.

I nagle ręce jej opadają, a z oczu tryskają obfite łzy. Nad tem dzieckiem anioł-stróż rozpościera swe skrzydła, a ona? ona chciała!... Toć i nad Jaśkiem był anioł, a nie upilnował — widać taka była wola Boska — a aniołowie, to Boscy słudzy.

Marysia klęka przed obrazem, mówi Anioł-Pański za duszyczkę Jasieńka, łzy strumieniem płyną po jej twarzy, a ze

łzami spływa powoli rozpacz, zemsta, ból— zostaje tylko żal i nadzieja, że Jasiek będzie *aniołem* w niebie i będzie orędował u Pana Boga wszechmocnego za swoją biedną mątulą.

Nim państwo wrócili, rozpierzchła dwornia wróciła na swoje stanowiska i Andrzejowa została wyrugowana z garderoby, ale nie dała się wypędzić z ganku i tam rzuciła nadjeżdżającym nie mało gorzkich słów.

Widząc z tego, że tajemnica przed Marysią zdradzona, pani Mela niespokojna biegła do pokoju dziecka.

Spodziewała się spazmów, narzekań, wymówek—a może, może zemsty? *Ci ludzie* są tak przewrotni i mściwi...

Zastała Marysię we łzach wprawdzie, ale na klęczkach odmawiającą Anioł Pański.

Dziecko spało spokojnie.

Pod wpływem nagłej radości pani Mela zdjęła z szyi własne korale i ofiarowała mamce: *na pocieszenie.*

Marysia pocałowała panią w rękę, przy-

jęła korale, ale prosiła, aby oddać je Andrzejowej do zawieszenia w parafialnym kościele na *ex-votum* u ołtarza Matki Boskiej.

— Wiesz, mon cher, zbudowana jestem zachowaniem się naszej mamki—opowiadała pani Mela mężowi. Najpobożniejsze z nas mogłyby się uczyć u niej poddania wyrokom Bożym.

— Albo obojętności. Idealizujesz ją. Łatwo się pocieszyła, bo więcej dba o siebie, niż o dziecko.

— Nie. Dałam jej moje korale. Wiesz, takie, o jakich przecie marzyć nie mogła. Nawet nie włożyła na siebie, oddała matce na ofiarę do kościoła.

— Eh! Stare sztuki! Wie, czem cię kupić! Matka schowa do skrzyni, aby córka po roku miała czem kokietować wiejskich adonisów.

— Méchant, que tu es!—zawołała pani Mela, jednocześnie filuternie uderzając męża końcem puszystego boa — czyż nie wierzysz we wpływ pociech religijnych?

— U nich? Quelle idée! Oni są tak na wskroś ziemscy, że nie są w stanie pojąć tajemnic naszej świętej wiary. Tylko ty, idéaliste que tu es, wmawiasz w twoją prozaiczną, bezmyślną mamkę, podniosłe poddania się i mienisz cnotą, co jest tylko głupotą.

GARDEROBA

Wspomnienie.

Do wielu, bardzo niesłusznie osławionych, przybytków — jeśli tak szumnie nazwać się to godzi — należy owa kordegarda kobieca, zwana *garderobą*.

Właściwe przeznaczenie tego miejsca ani trocha nie odpowiada swej cudzoziemskiej nazwie.

Przechowuje bowiem nie szaty, ale żywe istoty — a zła sława, jaka się o niej utarła, tyle znów ma w sobie prawdy, co wszelkie utarte, uznane prawdy!

Przywykło się mówić:

„Garderobiane maniery, garderobiany dowcip, garderobiany gust i garderobiana cnota“ — a jednak — czy mam szczerze wyznać?

Ha! dziś moda przyznawać się do wszelkich okropności, więc odwagi!

Oto ja najmilsze chwile życia zawdzię-

czam garderobie, choć nie jestem ani paniczem uprzyjemniającym sobie pod okiem rodziców wakacye...

Prawda, że to było bardzo dawno, bo przed trzydziestu laty!

W owych czasach na wsi, garderoby bywały w każdym domu szlacheckim, a w nich spędzano czas doprawdy daleko przyjemniej, niż się zdawało tym, co w salonach siedzieli.

A może ja miałam zawsze złe skłonności, bo mię zawsze do garderoby ciągnęło!

W zimowe wieczory, jak tylko podano światło i starsi usiedli koło jadalnego stołu, który służył do posiedzeń wieczornych, i mnie kazano z robótką, jak na dobrze wychowaną panienkę przystało, siadać przy mamie.

Wszyscy byli czemś zajęci:

Dziadek ciągnął pasyans, zamyślając zawsze na szczęście nieobecnego syna, przyczem wzdychał, spoglądał porozumiewająco na synowę i pomału, uważnie dobierał sekwensy. Jeżeli pasyans nie miał ochoty wyjść, dziadunio cokolwie-

czek pomagał losowi, spoglądając z pod oka, czy mama nie spostrzega tych fortelów — poczem z weselszą miną, już bez westchnień, anonsował jej:

— Widzisz moje dziecko, wyszedł „napoleoński“ a on bardzo rzadko wychodzi. Zamyśliłem, czy Franio w tym roku wróci. Może Bóg da!

I znów tasował karty—a mama kiwała głową i wzdychała z kolei.

Panna Idalia, staruszka, daleka krewna nasza, ciocia dla trzech pokoleń, robiła pończochę i przy każdej wzmiance o wyjściu lub nie wyjściu pasyansu ukradkiem ocierała łzy.

Brat mój trocha starszy odemnie, skracał sobie czas pleceniem batów, albo strugniem łuków, bo chłopiec najlepiej nawet wychowany, może próżnować i nikt go do robótek nie napędza.

Matka szyła najczęściej i myślała o czemś zapewne niewesołem, może o tym wróżonym powrocie męża, który od tylu lat pomimo napoleońskich pasyansów nie wracał z dalekiej północy... Czasem jednak czytywała głośno powieści, a wtedy

westchnienia dziadunia i cioci nie dawały się słyszeć, pasyans rozłożony leżał cały wieczór na stole, a dziadunio pochylony nad nim drzemał.

A tam tymczasem w garderobie palił się ogień na kominku i świeca łojowa na stole. Szafarka Skowrońska przędła prześliczny biały len, a wrzeciono kręciło się na końcu długiej nitki, jak nakręcony bąk; dwie dziewczyny przędły na kołowrotkach i opowiadały bajki, albo „prawdziwe zdarzenia z tych czasów kiedy to jeszcze Pan Jezus po ziemi chodził".

Ogień kominkowy napełniał garderobę jakimś jaskrawym, wesołym blaskiem, a tajemnicze opowiadanie przesycały atmosferę nastrojem strasznym, mistycznym, ale nie takim smutnym, jak tam, wśród starszych.

To też najczęściej w mojej robótce bardzo spadały oczka i co chwila trzeba było przerywać mamie robotę lub czytanie dla naprawienia moich błędów; po kilku poprawkach odważałam się zaproponować:

— Może ja pójdę do Skowrońsi, aby mi ponabierała oczka?

I otrzymywałam pozwolenie.

Po chwili i Tadzio zbyt dużo hałasu i śmieci robił struganiem łuku i otrzymywał urlop do Skowrońsi.

Właściwie powtarzano nam czasem ze zwyczaju, że dobrze wychowane dzieci nie przesiadują w garderobie, polecano wziąć „książeczki Helenki", albo „Pamiątkę po dobrej matce" i czytać, jeśli się nudzimy — ale Skowrońska była na osobnych prawach u Mamy i „iść do Skowrońsi" nie nazywało się „iść do garderoby", choć tam właśnie była jej rezydencya.

Przyszedłszy dla połapania pogubionych oczek, już nie wracałam do starszych — a nawet nie robiłam dalej podwiązki.

Wdrapywałam się na kolana Skowrońsi i póty całowałam jej poczciwą, pomarszczoną, a dla mnie śliczną wówczas, twarz—aż mi pozwoliła wziąć troszkę potarganego lnu, najmniejsze wrzeciono i przęść.

Wszystko trzeba było stworzyć własnym przemysłem, co do tej zabawy służyć miało:

Przyciągaliśmy z Tadziem drabinkę od mego łóżeczka i jeden z jej szczebli służył jako prząśnica do przywiązania kądzieli, Tadzio strugiwał mi wrzeciono, abym mogła niem władać i trzymał potem drabinkę przedemną, a ja siadałam na stołeczku, wykradzionym z pod fotelu cioci Idalci i przędłam.

— Nie wiedzieć czego się oto Maryńci zachciewa, gderała Skowrońsia, pomimo całusów. Mama kazała robić podwiązkę, a Maryńcia czas traci i len psuje. Ot, już oczka w porządku, proszę wziąć robótkę i iść do pokoju.

— O, moja droga, moja złota, moja najśliczniejsza — proszę pozwolić troszkę tu pobyć i poprząść, już mi tak ta podwiązka obrzydła! błagam Skowrońsię.

— Niech Skowrońsia pozwoli, żeby ona mi naprzędła trochę na batóg, bo mi dziewczęta nie chcą dawać swoich nici, a mnie jeszcze trzeba i na sznurek do łuku—wstawiał się Tadzio.

— To nie Maryńci rzecz prząść. Panienka powinna siedzieć w pokoju i robić tylko robótki.

— Tylko choć z godzinkę, moja Skowrońsiu, bo tam tak smutno,—prosiłam.

Musiała to najlepiej rozumieć, bo już mię nie odpędzała do starszych, a tylko prędziutko przerabiała kilkanaście razy moje drutowe arcydzieło, aby pokryć moje próżniactwo.

Dziewczęta żartowały ze mnie i mego przędzenia:

— A niech Maryńcia śpiewa jeszcze:

„Przędę, przędę długa nić.
Na wrzecionie niema nic."

Te żarty były bardzo dla mnie bolesne, tembardziej, że jak na toż, pomimo moich wielkich wysiłków, a moralnego poparcia Tadzia, któremu chodziło o moją przędzę—na wrzecionie rzeczywiście nic nie przybywało.

Com wyprowadziła nitkę na całą długość wyciągniętej ręki i już, już miałam ją na wrzeciono nawinąć—to mi się urwa-

ła, albo wprost rozłaziła i trzeba było zaczynać na nowo.

Chybioną produkcyę czemprędzej rzucałam ukradkiem w ogień, aby jej nie krytykowano.

Po wielu próbach, Tadzio niecierpliwił się i chciał mi odbierać wrzeciono, opierałam się temu i kpiłam z niego, że chce tak hańbiące mężczyznę narzędzie brać do ręki; cofał się jak oparzony, na wspomnienie historycznego Wszebora—ale też ze złości odmawiał dalszego trzymania drabinki, bez czego ja nie mogłam prząść.

Zapewne przychodziłoby nieraz między nami do bratobójczej walki, gdyby nie to, że tymczasem dziewczęta in gratiam naszego przybycia wymadlały u Skowrońsi „bajkę o zaklętej królewnie“ albo inną równie cudowną.

Myśmy przyłączali swoje prośby: między sobą robiliśmy zawieszenie broni, przysuwaliśmy się jaknajbliżej opowiadającej, bacząc, aby za plecami nie mieć drzwi od ciemnego pokoju; dziewczęta smarowały kołowrotki, aby jaknajciszej szły, dokładały skałek do kominka i...

wchodziliśmy wszyscy w czarowny świat za pomocą takiego prostego sposobu, jak wymówione przez Skowrońsię sakramentalne słowa:

— Bardzo,. bardzo dawno temu, był sobie jeden król i królowa i mieli jedynaczkę córkę, królewnę...

Znikała nam z przed oczu dość ciemna i nizka belkowana izba garderoby o obielonych ścianach i kopcąca łojówka i szare kądziele i pospolite twarze towarzyszek— a stawały przed oczyma: kryształowe pałace, o ścianach ze złota i drogich kamieni, piękne księżniczki, dzielni rycerze, okropne smoki, ptaki i źwierzęta mówiące ludzkim głosem, kwiaty płaczące i śpiewające—ludzie wielcy, dobrzy, szlachetni.

Po mnóstwie przygód nadzwyczajnych i wstrząsających, dobrzy i szlachetni a uciśnieni otrzymywali nagrodę, źli zupełnie zostawali zgładzeni, ze świata i znów głos Skowrońsi wracał nas do rzeczywistości słowami:

„I ja tam byłam, miód i wino piłam; po brodzie ciekło, — w gębie nic nie było".

Potem znowu następowały prośby, zaklęcia i nowa podróż do krainy cudów, za pomocą bajki o zaklętym królewiczu, albo opowiadania o dwunastu rozbójnikach, których herszt urastał na bohatera, obdarowującego ubogich łupami wydartemi, w tym celu, bogatym.

Cały wieczór upływał nam na takiem kolejnem przechodzeniu ze świata rzeczywistości do czasu, aż kiedy najrzeczywistsza rzeczywistość w postaci dźwięku 8-mej godziny wołała nas do jadalni na kolacyą i o dziewiątej do spania; zaczarowane pałace, smoki, rozbójnicy snuły się po głowie przy pacierzu i sen odpędzały od drabinek łóżeczka.

A kiedy się nawet zasnęło, nieraz w nocy świat czarów powracał, budził ze snu i pomimo zamykania oczu, chowania głowy pod kołdrę, wywoływał dziwy przed zamkniętemi oczami.

Wtedy zrywałam się z łóżka i boso wykradałam się do garderoby pod opiekę poczciwej Skowrońsi.

Ta, z najlepszego snu zbudzona, nie gniewała się nigdy, ale zabierała mię do

swego łóżka, drżącą ze strachu przed ciemnością i przed gniewem matki, gdyby się dowiedziała, że się boję i że uciekam po nocy do garderoby.

Okryta ciepłą pierzyną bardzo prędko musiałam zasypiać, bo odrazu czułam się jakaś uspokojona i odważna przy boku Skowrońsi — tylko nowemi czarami wydawało mi się, że zawsze jednak rano budziłam się we własnem łóżeczku.

Po dniu nie bałam się niczego, choć nie mniej szukałam na świecie zdarzeń bajecznych.

Naprzykład, gdy mię nikt nie widział, wymawiałam zapamiętane słowa zaklęcia z bajki, w obec rozmaitych martwych przedmiotów, w nadziei, że który z nich jest zaklętym królewiczem i obudzi się po mojem przemówieniu.

Kiedyś znów uzbrojeni w noże, młotki i kłębek bawełny, z napchanemi kieszeniami kawałków chleba, wyprawiliśmy się z latarnią do piwnicy oboje z Tadziem, pewni będąc, że piwnica ukrywa wejście do podziemnych lochów, które nas zaprowadzą do odległych ruin zamczyska, za-

wierającego zapewne, co najmniej, ukryte skarby.

Skończyło się na odsiedzeniu kilku godzin w ciemnej piwnicy, bo Skowrońsia, przechodząc mimo otwartych drzwi, zamknęła je na klucz, myśląc, że je zostawiono przez zapomnienie otwartem. Latarnia się wypaliła, przejścia tajemnego nie zdołaliśmy odszukać—a domowi szukali nas wszędzie, tylko nie w odległej piwnicy. Tylko kłębek Aryadny na coś się przydał, bo uczepiona u wejścia piwnicy przez nas nić białej bawełny, zwróciła uwagę kogoś z szukających i po niej dotarto do kłębka, a temsamem do nas, spłakanych poszukiwaczy skarbów.

Następstwa tego były jeszcze smutniejsze, bo matka nasza, dziadek, a nawet ciocia Idalcia, wierzyli w skuteczność rózgi, jako środka wychowawczego, a matka dość obficie go używała dla uspokojenia sumienia, że tym sposobem zastępuje w naszem wychowaniu brakującą męzką rękę.

Za to tego dnia i dni następnych, garderoba pocieszała nas, jako męczenników.

Oboje dostawaliśmy kożuszki ze wszystkich garnuszków śmietanki, oraz pełne kieszenie orzechów, ziarnek suszonych z dyń i słoneczników. Ja całemi garściami wyciągałam len z kądzieli dziewcząt na mój użytek; Tadzio dostał nici na czterokonny bat, a Skowrońsia opowiedziała bajkę o królewnie przemienionej w smoka, która to bajka była najulubieńszą ze znanych nam.

Zapewne pedagogowie uważaliby, że *garderoba* psuła nas, okazując tyle współczucia po otrzymaniu zasłużonej kary. Niewiem, uczyła nas, tym poglądowym sposobem, że dla tych, którzy cierpią, trzeba być dobrym, nie pytając dla czego cierpią i kim są, bo co prawda niczem nie zasługiwaliśmy sobie oboje na sympatyą tych poczciwych prządek i czuliśmy to dobrze, nawet wtedy.

W niedziele i święta wieczory bywały jeszcze bardziej urozmaicone: przychodził bowiem na gawędę do Skowrńnsi pan Dębski, stary ekonom, wdowiec.

O ile czas był ładny i pana Dębskiego w kościach nie kręciło, był wesół, pod-

rzucał nas na kolanach, w takt marsza „Grzmią pod Stoczkiem“ i opowiadał różne wojenne przygody, poczem Lucio rzucał bat, a gorliwiej brał się do strugania łuku i pałasza; jeśli zaś miało się na odwilż, a reumatyzm *chodził po kościach*, p. Dębski wkraczał w sferę religijną, opowiadał o duszach pokutujących, które znikąd żadnego ratunku nie mają, albo przynosił ogromny w skórę oprawny foliał Skargi, wydany przed stu pięćdziesięciu laty i czytywał głośno: Żywoty Świętych.

Niewiem, co wolałam, czy bajki czarodziejskie, czy „żywoty“ Skargi.

Przejmowałam się tak cierpieniami świętych męczenników, że nietylko płakałam gorzkiemi łzami, słuchając czytania, ale potem usiłowałam naśladować ascetyczne ćwiczenia, wymyślając sobie różne umartwienia, a nawet, z pomocą Tadzia, ubiczowałam się kiedyś na dobre.

O ile nie żyłam, za wpływem garderoby, w świecie czarów, lub religijnej ekstazy, co jak jedno, tak i drugie dawało mi tysiące silnych, nigdy niezapomnianych

wrażeń — o tyle obracałam się w arcy-prozaicznym świecie drobiazgowej, powszedniej pracy.

W garderobie nauczyłam się, jak się przędzie, szyje, pierze, prasuje, naprawia, a naśladując te wszystkie roboty i znajdując w nich większą trudność, niż w lekcyach z Mamą lub ciocią Idalcią odbywanych — nauczyłam się szanować tych, którzy te roboty wykonywują.

W garderobie nauczyłam się, że można mieć szorstkie ręce, ale miękkie i delikatne serce.

Raz, przez grymasy zapewne, a potem przez upór, nie chciałam zjeść jakiejś kaszki, danej na śniadanie. Za pokutę zamknięto mię wraz z talerzem tej kaszy do kozy, dopóki nie usłucham.

Byłam przygotowaną być do końca heroiczną i raczej zamorzyć się głodem, niż zjeść odrzuconą potrawę.

Skowrońsia przyszła do mego więzienia ukradkiem i zjadła za mnie utrapioną kaszę, której organizm jej tak nie znosił, że zawsze ciężko przechorowała.

Tym razem objawy były tak silne, że wezwano lekarza.

Tajemnica się wydała. Mnie nawet nie ukarano, ale upokorzenie, wdzięczność, podziw dla poświęcenia Skowrońsi zrobiły większe wrażenie, niż najostrzejsza pokuta.

Postanowiłam dozgonną wdzięczność mojej poczciwej obrończyni, ale czy umiałam dotrzymać?

I w tem garderoba zawstydziła salony.

Kiedy po kilku latach borykania się z interesami i oczekiwania powrotu ojca— matka nasza widziała materyalną blizką ruinę—umyśliła ograniczyć wydatki, a więc skasować część zbytkowniejszej służby.

Skowrońsia była też między zbytkownemi sługami.

Matka moja wyrobiła jej u znajomych miejsce, lepiej nawet płatne i zaproponowała rozstanie.

„Gdzie byłam, jak się lepiej powodziło, tam będę i w złej doli. Pani mi nie zrobi tej krzywdy, aby odrzucić moją pracę. Stara jestem, nie warta tej pensyi, jaką biorę, ale za kawałek chleba, jeszcze na-

szym dziatkom odsłużę“ — powiedziała ta mieszkanka garderoby i służyła darmo, a pracowała więcej, niż dawniej, bo zastępowała poodalane służące.

Ale przyszły jeszcze gorsze chwile. Młodzi poszliśmy w świat. Starym zabrakło własnego kąta dla siebie, więc i dla Skowrońsi. Wtedy odeszła bez skargi i umieściła się gdzieś przy rodzinie, mając za całą emeryturę wspomnienie, żeśmy jej przyrzekali dozgonną wdzięczność.

Potem w bardzo wiele lat, posłyszałam, że Skowrońsia nie żyje.

Nie ci zamknęli jej oczy i oddali ostatnią posługę, dla których całe życie pracowała.

A jeszcze potem, kiedy z wiekiem wspomnienia dzieciństwa silniej zaczęły występować w pamięci i postać Skowrońsi często stawała mi przed oczyma.

— Tadziu — zaproponowałam kiedyś bratu — żebyśmy też naszej Skowrońsi teraz choć odpłacili za jej wierną służbę. Postawmy jej pomnik, ponieważ stać nas teraz na to“.

Udałam się do miejsca ostatniego po-

bytu, ale nikt nie umiał wskazać mi jej mogiły.

Ktoby tam o mogiłach biedaków pamiętał.

Tak więc dług nasz poniosła ze sobą Skowrońsia do grobu!

Niechże ci kochana przyjaciółko, choć to wspomnienie będzie niegodnym ciebie pomnikiem!

FRAK

Obrazek.

Pan Stanisław kręcił się niecierpliwie na bryczce; oglądał, czy daleko oddalił się od domu, a konie jak na złość, ledwie się wlokły po piasczystej drodze.

Gdyby tak jechał jakiś turysta, miałby czas robić obserwacye nad widokami Wołyńskiego Polesia; przyjrzałby się żółtawo-popielatym podorywkom ziębli; niebieskawo-zielonym zagonom żyta, wyłaniającym się, jak wyspy, z pośród kępiastych błotnych łąk; powiedziałby sobie, że kraj ten słusznie się nazywa Polesiem, ponieważ w nim po lesie zostały ledwie ślady, w postaci karłowatych, poogryzanych przez bydło, krzaczków i licznych a ogromnych pni, czekających, aż je przerobią na ruble w dymie smolarni.

Ale pan Stanisław turystą nie był, na

Polesiu zaś urodził się, wychował; dzieckiem nieraz przejeżdżał tędy, kiedy pieńki dzisiejsze miały jeszcze bogate korony i stopniowo patrzył każdych wakacyj, przyjeżdżając do domu, jak na Polesiu ubywało lasu, a przybywało nizkich krzaczków, które pozwalały widzieć jak na dłoni rozległą okolicę, niestety, nie przedstawiającą innej rozmaitości, niż owe błota, kępy, piaski, chude zagonki żyta, czasem nizkie sosenki na podściołce z bujnych wrzosów. Słowem, jak w piosence:

Trocha łąki, trocha piasku,
Żywy strumień czystej wody!
I, jak odblask szczęścia blasku,
Choć na chwilę cień swobody."

I pan Stanisław miał „cień swobody", właśnie dzisiaj.

Oto skończył pilne roboty, załatwił niezbędne gospodarskie wydatki i — o szczęście! zostało mu na własne wydatki całe dwadzieścia rubli!

Od roku nie miał takiej summy dla siebie osobiście i pośpieszył do miasteczka powiatowego po sprawunki.

Pilno mu było.

— No Semen, a zatnij trocha konie! Tak jadąc, i do nocy nie zdążymy na miejsce — odezwał się wreszcie zniecierpliwiony.

— A jakże? Zatnę! Cóż to konie tak obroku najadły się, że mają siłę po piasku *przeć* kłusem? — zamruczał Semen poufale

— Przecież jadły dziś owies—pokornie tłómaczył p. Stanisław.

— Ehe, dzisiaj! Chudoba za *dzisiejszem* karmieniem robić nie będzie.

Koniska robią codzień jak woły, a obrok dostają czasem od święta, toż jak jedzą, tak i biegają. U *drugich* ludzi w święto i chudoba i człowiek spocznie, a nam ot trza do miasta gnać się... A nu! bodaj was choroba!—skończył, okładając batem bronione przed chwiłą szkapiny.

Pan Stanisław umilkł wobec wymownego woźnicy. Za to pogrążył się w myślach:

„Już też prawda, że u niego w gospodarstwie, nie tak jak u innych!

I nie tylko w gospodarstwie. Oto jedzie

z dwudziestu rublami do miasteczka, jakby z ogromną sumą, a tyle różnych rzeczy potrzeba, że niewiadomo, co pierwej kupić, i czy na dziesiątą część tych wydatków starczy.

A dawneż to czasy, jak ojciec na każdą wycieczkę do miasteczka miał tyle setek w kieszeni, ile on teraz rubli, nie mówiąc o Warszawie i zagranicy, gdzie się z dobrze nabitym pugilaresem jeździło. Pan Stanisław był wtedy Stasiem i wraz z bratem stał na pierwszorzędnej pensyi prywatnej w Warszawie i był pewien, że życie to pasmo rozkoszy, naturalnie po za utrapionemi lekcyami, których też się prawie nigdy nie uczył.

Rad był bardzo, kiedy nawet, wyrozumiały na lenistwo paniczyków, przełożony szkoły uznał, że dalszy jego pobyt na pensyi jest zbyteczny i polecił mu nie wracać więcej po wakacyach.

Tak się skończyła edukacya p. Stanisława. Marzył o rozpoczęciu owego pełnego rozkoszy życia, ale ciężki go spotkał zawód.

Zasoby rodzicielskie wyczerpały się,

(o czem i pan przełożony musiał mieć niejakie wskazówki) i pan Stanisław trafił w domu na bardzo już wyraźną *degringoladę*.

Najczęstszymi gośćmi byli rozmaici żydzi, zachowujący się bez dawnego respektu, owszem ze swobodą, jakby byli u siebie.

Służba coraz mniej liczna, a coraz bardziej harda i leniwa, dom zaniedbany, konie chude i spracowane; sprzęty domowe cenniejsze oszpecone urzędowemi pieczęciami, świadczącemi, że już tylko do czasu znajdują się na dawnem miejscu.

O zabawie w tych warunkach nie było co myśleć, ale i do pracy nie łatwo było przystąpić. Staś z praktycznem życiem mało był obeznany, a z gospodarstwem rolnem wcale.

Rodzicom przykro widać było wprowadzać go w taką ruinę, zresztą zamłody był na siedzenie w domu.

Oddano go na bezpłatną praktykę gospodarską do jednego z wzorowych gospodarstw w królestwie.

Zawsze to się nazywało, że Staś jeszcze się czegoś uczy, ocalało pozory.

Praktyka gospodarska nauczyła p. Stanisława dużo. Nie tyle gospodarstwa, bo jako początkujący został użyty do *prowentu* — ale najpotrzebniejszej — filozofii życiowej.

Przekonał się, że o tyle się kogoś dobrze traktuje, o ile on reprezentuje pewną wartość. A wartość człowieka polega nie na tem czem kto jest, lecz co ma.

Indywidua nie posiadające własnej nieruchomości *nie liczą się wcale*. Sąsiad mający krocie długów, ale przy nich tytuł własności, ziemskiej, wyżej stoi od takiegoż sąsiada, który wszystko oddał dłużnikom, a sam poszedł w służbę do nowonabywcy. A już sąsiad robiący pieniądze, mniejsza jaką drogą, stanowczo stoi na pierwszem miejscu.

Pan Stanisław więc skorzystał: postanowił wszelkiemi siłami trzymać się w przyszłości ojcowizny, bez której przestałby *się liczyć*.

Pewnego razu usłyszał w towarzystwie następującą rozmowę:

Pani Z. z oburzeniem mówiła gospodyni domu, że jakiś młodzieniec śmiał się oświadczyć jej córce! Pani Z. była gąską bez wykształcenia i inteligencyi, ale mąż jej posiadał duże dobra.

— Cóż mu państwo macie do zarzucenia?—spytała gospodyni domu, byle coś powiedzieć.

— Ależ pani On niema *żadnej racyi bytu!*

— Jakto!?

— No, jakże — niema majątku, niema kapitałów, więc niemoże żonie bytu zapewnić! Naiwnie wytłómaczyła p. Z. swój sposób pojmowania *racyi bytu.*

Panu Stanisławowi wyrażenie to utkwiło w pamięci, bał się utracić tę *racyę bytu,* jaką był, choćby najbardziej odłużony, majątek.

Od tego czasu upłynęło lat kilkanaście; rodzice pomarli, nie mogąc się przystosować do zmienionych warunków życia;

brat, wziął co się dało zamienić na gotówkę, i wyjechał na daleki wschód szukać karyery — a pan Stanisław borykał się z losem o *racyę bytu*.

Z początku szło mu tylko o zadowolenie ambicyi, że jeszcze nie wyszedł ze sfery ziemiańskiej, z czasem przywiązał się do swego Stawka, wraz z jego błotami, piaskami i krzakami i pieńkami—nareszcie poczucie obowiązku obywatelskiego przyłączyło się i teraz p. Stanisław trzymał się Stawka, jak mówił rękami i nogami. Pracował bardzo, odmawiał sobie wszystkiego, a nie dał się, ani bankowi, ani licznym dłużnikom wyrzucić ze swojej placówki.

Kiedy zaś przekonali się żydkowie, iż p. St. pierwej płaci procenta, niż kupuje sobie buty—czekali, co z tego będzie, czy zawzięty młodzieniec da sobie rady.

Pan Stanisław nigdzie nie bywał, u siebie gości nie miewał, bo wyjechać nie miał czem i w czem, przyjąć zaś gościa na wsi, to znaczy przedewszystkiem nakarmić czem lepszem, niż się samemu jada, a tego spiżarnia p. St. nie posiadała.

W dnie powszednie i latem nie przykrzyła się panu Stanisławowi ta samotność. Pracował cały dzień, wieczorem wracał tak zmordowany, że marzył tylko o jadle i spoczynku — ale w jesienne i zimowe długie wieczory być zawsze tylko z samym sobą, toby się największemu filozofowi sprzykrzyło, a pan Stanisław filozofią się nigdy nie bawił, miał lat 30 z czemś, zdrowy organizm, pusty duży dom i od dzieciństwa przyzwyczajenie do towarzyskiego życia.

— Ach, żeby, tak się ożenić, wzdychał każdej jesieni i zimy, zarazby było weselej!

Ale w tych warunkach ani myśleć było o żonie.

— A, niech-no trocha z długów wylezę, ruszę między ludzi — pocieszał się w duchu, a jeszcze bardziej w duchu snuł marzenia.

— Żeby tak wziąć żonę z posagiem, długi spłacić i mieć Stawek czysty! I jakby już targował się z przyszłym teściem, sam przed sobą, wyliczał swoje kwalifikacye.

— Młody jestem, zdrów niebrzydki, z dobrej rodziny, kawał ziemi mam — to już ewikcya—pracuję, nie hulam, w karty nie gram, nie piję... Ileż posażnych panien gorzej trafia? Ostatecznie i bez posagu nie zginę, ale jakby to było dobrze oczyścić Stawek!

Dziś jednak ani myślał pan Stanisław o żonie, ani o Stawku i długach.

Miał oto dwadzieścia rubli i medytował, co za nie kupi:

— Marynarka podarta na łokciach aż fe, należałoby nową kupić; z krajowego sukna nie będzie drogo, „Gdal zrobi“ w domu, na miejscu; zje z pół korca kartofli i wianek cebuli, nim uszyje, ale tanio weźmie. Najwyżej materyał i robota cztery ruble... Kożuszek móle zjadły — ale tego nie widać — no, jeszcze poczeka tę zimę—buty długie pilniejsze—tylko, że to psiarstwo najdroższe — porządnych nieprzemakalnych taniej niż 10 rubli nie kupić! Trzeba też trocha drobiazgów do domu: cukru, herbaty, i nafty... (wieczory coraz dłuższe)... tytuniu... (ej, należałoby się odzwyczaić, bo to zbytek) więc tytuń... at,

co się mam odzwyczajać, czy już i tak nie odmawiam sobie wszystkiego?

Tu dla fantazyi chciał poprawić czuba i sięgnął do głowy... „Prawda! czapkę muszę kupić! znów rubel pęknie... A niech to licho porwie takie interesa! Żebym służyć poszedł, tobym się też o buty i czapkę tyle nie nakłopotał, co na tej kochanej *własności*.

Im bliżej miasteczka, tem humor p. Stanisława psuł się bardziej, bo mu się coraz jakieś braki w garderobie i spiżarni przypominały.

Nareszcie bryczka zaczęła podskakiwać, jak szalona i turkotać, jak jakaś skomplikowana maszyna, a obok bryczki zamiast pól i krzaków, zaczęły biedz odrapane żydowskie domki, sklepiki, stragany...

Semen rozdzierającym głosem wykrzykiwał, a pan Stanisław wśród turkotu i wszelkich hałasów zaledwie dosłyszał zapytanie:

— A dokąd zajedziemy, paniczu?

— Do Abramka, bo u Surki zdzierają strasznie—odkrzyczał p. Stanisław.

Semen kiwnął głową porozumiewająco i bryczka potoczyła się dalej, ale p. Stanisław, nie mogąc znieść turkotu, zeskoczył i poszedł pieszo ku zajazdowi Abramka.

Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków chodnikiem, ktoś go zatrzymał nagle:

— Awantury! Staś, czy duch Stasia? Skąd się tu wziąłeś?

I młody wytwornie ubrany mężczyzna już oburącz chwycił pana Stanisława za ramiona.

— Cóż nie poznajesz mnie? Fortunat Bajewski! *Forbaj*, jeśli wolisz po szkolnemu.

— Ach, prawda! ale to ja właśnie powinienem zapytać, zkąd się tu wziąłeś.— Ja tu jestem u siebie.

— Że też zapomniałem, żeś ty Wołyniak! Ja bo widzisz mieszkam, aż na Uralu—ale tu mam narzeczonę, żenię się, i... ale idźmyż gdziekolwiek, bo się na nas ludzie gapią, chodź do mego hotelu...

Pan Stanisław chciał coś bąknąć o stroju swoim, ale rozgadany „Forbaj“ nie dał mu się odezwać.

— Ale, ale! Wiesz, jak tu nie wierzyć w Opatrzność! Ciebie najwyraźniej mnie Opatrzność zesłała — nie darmo jestem Fortunatem. Bo to widzisz, żenię się...

— Toś prawdziwy Fortunat!—westchnął Stanisław.

— Tak? toś ty aspirant do hymenu? No i owszem, tem lepiej — ale co innego miałem mówić. Oto, żeś moim Opatrznościowym człowiekiem. Bez ciebie nie mogę się ożenić!

Pan Stanisław parsknął śmiechem.

— A to coś nowego! Jakim sposobem?

— No, prawie, oto widzisz jest tak. Tu parafia mojej panny — choć tu nie tak rozległe parafie, jak na Uralu, ale zawsze dość, aby trudno było licznem towarzystwem wozić się do ślubu — tu więc najęliśmy hotel i odbędzie się wesele. — Wszystko niby w porządku — tymczasem bęc! Otrzymuję depeszę, że jedyny z mojej strony reprezentant, drużba przyjaciel, świadek—wszystko w jednej osobie—nie może się stawić! Wieczorem ślub, a ja nie mam ani na lekarstwo przyjaciela! Kompromitacya! byłbym jak przybłęda,

sam wśród licznych gości ze strony mojej przyszłej.

Ty oto mię ratujesz! Jesteś moim kolegą szkolnym, a zarazem miejscowym obywatelem. Musisz mi drużbować, bo zginę!

— Ależ, zmiłuj się—jestem tu, jak mię widzisz, a do domu mam opętane dwie mile—niemam rzeczy ze sobą, wypraszał się pan Stanisław.

Pan Fortunat nie myślał odstąpić od projektu.

— Cóż ci się stanie? Weźmiesz od „swego krawca“ (jak gdyby p. Stanisław miał *swego krawca*) — frakowe ubranie, resztę drobiazgów tu dostanie, wiem, bo i ja kupowałem naprędce krawat i rękawiczki.

Poznasz moję narzeczoną, a żeś amator małżeństwa, możesz sobie co upatrzeć, bo moja przyszła ma siostry, kuzynki, przyjaciółki...

Pan Stanisław miękł powoli, na ten ostatni argument stopniał, jak wosk.

— Może to przeznaczenie?—pomyślał.

I przed wieczorem pan Fortunat przedstawił weselnemu gronu swego drużbę.

Cały majątek p. Stanisława poszedł na wyekwipowanie się—pięć rubli wziął krawiec, drugie tyle lakierki; trzecia piątka na inne części galowego stroju — czwarta służyła jako kaucya krawcowi, że frak nie zostanie nadwerężony.

Pan Stanisław powiedział sobie: raz kozie śmierc! i zaangażował wszystkie kapitały w wątpliwe przedsiębiorstwo matrymonialne.

— A jeśli to przeznaczenie? — powtarzał sobie, mamże dla głupich dwudziestu rubli ominąć taką sposobność? Pal djabli marynarkę i buty, będę chodził w podartych jeszcze rok!... Fortunata panna ma posag — więc i siostry także — a cóż on lepszego odemnie?

Ślub odbył się, jak wszystkie śluby. Trocha płakano, trocha się śmiano, a najwięcej wszyscy chcieli się pokazać. Ślub zapowiadano cichy, bez wesela, ale właśnie dlatego—stroje były wymyślne, a mu-

zyka zawczasu zamówiona; niby miano tylko zagrać marsza państwu młodym, a pląsano całą noc.

Pan Stanisław od tylu lat pierwszy raz się rozruszał, więc mu nie brakło animuszu.

Spotkał znajomych z lat dziecinnych. Powietnicy rodziców. Teraz ich nie widywał. Słyszał tylko, że dobrze stoją w interesach. I oni o nim słyszeli— że bankrut.

W tańcu pan Stanisław rej wodził. Od tak dawna nie obracał się w kole równych sobie ludzi, że teraz otoczenie podziałało na niego elektryzująco. Zapomniał o Stawku, o długach, o pożyczonym fraku i głodnych w zajeździe koniach— tańczył do upadłego. A najwięcej z panną Maryą.

W kotylionie panna Marya przypięła mu trzy ordery, w mazurze wybierała tylko jego. W figurze z winem pan Stanisław jeden tylko potrafił na klęczkach, nie dotykając rękami, wypić kieliszek stojący na posadzce. Podobało się to pannom, jak również i to, że nie uciekał do

wintowego pokoju, ale niezmordowanie odtańcowywał wszystkie tańce.

— Maryniu, proszę cię, nie kompromituj się, ciągle wybierasz do figur tego pana Stanisława, pomyślą, że go ośmielasz... zrobiła uwagę matka panny młodej, młodszej córce, i kazała usiąść przy sobie na wypoczynek.

— Ależ, maman, to właśnie jedyny kawaler, którego mogę wybierać bez konsekwencyi. To przecie żadna partya, wszyscy wiedzą o tem i nikt mię nie posądzi.

— Ale on może pomyśleć — dodała jeszcze matka ostrzegając.

— A cóż to *mnie* może obchodzić? Z naiwnem okrucieństwem odparła panienka. — Niech mama już pozwoli tańczyć! — poprosiła ze śliczną minką, widząc zbliżającego się pana Stanisława.

— Idź, już idź — trzpiocie! — odpowiedziała. — Czyż matki umieją się oprzeć prośbom córek, jak te czegoś bardzo pragną,—dodała już zwrócona wpół do pana Stanisława, który te słowa wziął za najlepszą dla siebie wróżbę.

— Niech jej pan nie da się długo męczyć tańcem — zawołała jeszcze na pana Stanisława, który stawał z panną Maryą do walca.

Po tem poleceniu Marynia prawie nie dotykała stopniami ziemi, tak ją pan Stanisław w powietrzu unosił, jakby chciał okazać, że gotów tak całe życie nosić ją na rękach.

A kiedy odprowadził do matki i odszedł, Marynia szepnęła konfidencyonalnie:

— Jeśli teraz pan Justyn się nie oświadczy, to już niewiem, bo zazdrosny okropnie, jak tygrys na pana Stanisława patrzy; gotów mu zrobić jaką awanturę. A toby było zabawne!

Awantury pan Justyn nie zrobił, ale figla niemałego, bo kiedy panna Marya zażądała orszady — z takim impetem ruszył na wyścigi z panem Stanisławem, że we drzwiach uderzyli się o siebie i wzajemnie obleli się orszadą.

Mała przygoda dla kogoś, co ma frak własny...

Panna Marya, aby dobić konkurenta, podbiegła i wypiła resztę ze szklanki pana

Stanisława i dała własną pachnącą chusteczkę do wytarcia rękawa.

Potem ofiarowała sama białego mazura.

Panu Stanisławowi kręciło się w głowie od szczęścia i od wina, które ciągle wybierany w figurach wypijał.

Na pożegnanie powiedziano mu „do widzenia“ i nie upominano się o chusteczkę.

Pan Stanisław pełen nadziei poszedł się przespać u Abramka.

Śnił, że jest narzeczonym panny Maryi.

O, rozkoszny śnie!

O, smutne przebudzenie!

Krawiec przyszedł po frak i za oblany orszadą rękaw zaaresztował ostatnie pięć rubli naszego bohatera!

Pan Stanisław odjechał z miasteczka nie pożegnawszy nowo-zaślubionych, których całe towarzystwo odprowadzało na kolej—krawiec nie chciał mu już na kredyt pożyczyć ubrania, a w swojej podartej marynarce mógł tylko odjechać do Stawka.

Zostały mu na pociechę: para lakierków, rękawiczki i biały krawat, jako fundament przyszłego oporządzenia się; pachnąca chusteczka, jako pamiątka po pannie Maryi i co najlepsze zostało przeświadczenie, że gdyby nie wypadek z frakiem, byłby na najlepszej drodze ku sercu panny Maryi.

Biedny pan Stanisław.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Przysięga 1
Bez posagu 49
Dwie rozmowy 119
Dola 145
Żyd 203
Mamka 233
Garderoba 277
Frak 297

BIBLIOTEKA
UNIW
BERLIN

24.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

300125

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000174497